tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 48 (1403)
23-29.11.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

8. KONGRES ZDROWIE POLAKÓW

23-25 LISTOPADA 2026



Prof. Henryk Skarżyński

Bezpieczeństwo podstawą zdrowia Polaków



Doktor Chat nie zastąpi lekarza

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl 1561774341

SPECJALNA OFERTA NA ŚWIĘTA

DOBRE KSIĄŻKI „PRZEGLĄDU"

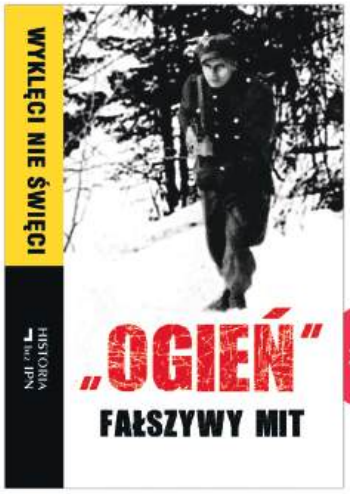

38 zł

W ramach serii „Wyklęci nie święci" pokazujemy prawdziwe oblicze wielu „wyklętych". Dziś niemal wynoszonych na ołtarze, a w rzeczywistości zbrodniarzy, którzy byli inspiratorami mordów lub za nie odpowiadają. Wśród takich postaci jest Józef Kuraś „Ogień", przez jednych – nie tylko na Podhalu – uznawany za bohatera, przez drugich za bandytę. Kim był naprawdę? Idol prawicy ma na sumieniu wiele zbrodni, w tym gwałty i rabunki w Brzozowej.



35 zł

Wstrząsająca historia bestialskiej zbrodni. Opowieść o tym, jak ludzie nazywani dzisiaj „żołnierzami wyklętymi" postanowili policzyć się z rodziną Pytlów. Stefania Pytel dostała śmiertelną kulę od mieszkańca tej samej wsi, piątkę jej dzieci usiłowano spalić, a syna Stanisława zlinczowano.

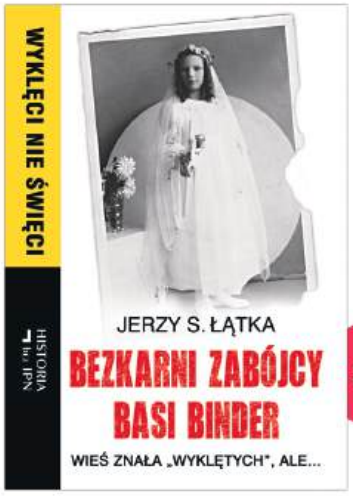

37 zł

Wieś znała „wyklętych", ale...
Najpierw zamordowali matkę z córką, bo podobno miała 25 tys. dol. przysłanych z Londynu. Gdy siostra zamordowanej zaczęła dochodzić prawdy, zabili również ją. I jej córkę Basię. Mordowali z zimną krwią, dziś uchodzą za bohaterów, „żołnierzy wyklętych". Jerzy S. Łątka prowadzi kolejne reporterskie śledztwo i ujawnia skrywane tajemnice Małopolski.

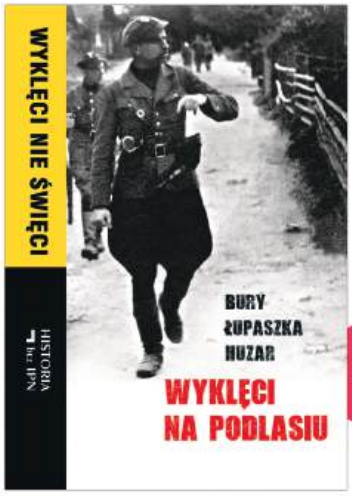

36 zł

Zbiór artykułów i materiałów archiwalnych dokumentujących represje, jakie spadły na mieszkańców tego regionu ze strony „żołnierzy wyklętych". Autorzy rzeczowo, opierając się na dokumentach, pokazują zbrodnie „Burego", „Łupaszki" i „Huzara", których ofiarami byli w pierwszym rzędzie niewinni mieszkańcy podlaskich wiosek, w większości prawosławni oraz Żydzi.

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1561774341



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Strażnik ścieku

Karol Nawrocki dobrze wie, że nie ma darmowych obiadów. Zwłaszcza gdy leci z wizytą do Trumpa. Zawiózł mu więc tron z bursztynu. Prezent tak kuriozalny, że nawet urzędnicy jego kancelarii długo to ukrywali. Chyba nie ze wstydu, bo o takie uczucie nikt w Polsce ich nie podejrzewa.

Nawrocki, czyli taki polski kieszonkowy Trump, chciałby mieć tyle władzy, by z tronu dyrygować całą Polską. I wszystkimi instytucjami, z sądami włącznie. Jakże więc musi cierpieć, miotając się między poleceniami płynącymi z Nowogrodzkiej a zobowiązaniami wobec konfederatów. Tym bardziej że często są sprzeczne.

Wyborcy Konfederacji przepchali go w wyborach prezydenckich i teraz odbierają, co swoje. Czy to w sprawie bałaganu z kryptowalutami i serii wet w interesie tych, którzy na tym zarabiają, czy też weta do ustawy o usługach cyfrowych, które Nawrocki tłumaczy rzekomym wprowadzeniem cenzury. Kłamie i manipuluje opinią publiczną. Zwłaszcza tymi, którzy wolność słowa traktują dosłownie, jako wolność do hejtu bez granic. Oczywiście anonimowo. Bo wtedy nie ponosi się za słowa odpowiedzialności.

Środowiska bliskie Nawrockiemu sprowadziły wolność słowa do ścieku, w którym im ktoś głupszy i bardziej bezwzględny, tym większe ma zasięgi w internecie. Jeśli nie chcemy topić się w tym szambie i bezradnie patrzeć, jak totalnie dewastowana jest psychika dzieci i jakie szkody ponoszą także dorośli, musimy wyrwać się z tej niemocy. Sami. Anonimowe wypowiedzi w internecie powinny być wyeliminowane z systemu. Nie podpisujesz się, tchórzliwy dewiancie – to będziesz w sieci kasowany. Degrengolada jest już taka, że to, co najgłupsze i najpodlejsze, zaczyna przeważać.

Nie bez powodu za tą coraz większą rzeką ścieków stoją wielkie platformy cyfrowe. Big techy mają tak ogromne wpływy w świecie polityki, że robią, co chcą. A im bardziej kraj zależy od USA, tym są bezczelniejsze. Płacąc symboliczne podatki, zarabiają krocie.

W Polsce ich interesów pilnuje przede wszystkim prezydent Nawrocki. Po raz kolejny stanął po stronie silnych i bogatych. Kosztem najmłodszych. Tych 75% uczniów, którzy doświadczyli przemocy w cyberprzestrzeni i 1 mln dzieci w wieku 7-12 lat, które są faszerowane hejtem, przemocą i pornografią.

Gdy dotknęło to córkę Nawrockiego, postawione w stan alarmu służby wyeliminowały hejterów. Bezpieczna rodzina to program Nawrockiego. Niestety – tylko jego rodzina. Podobnie jest u niego z wolnością słowa. Obrońca tej wolności jest jednocześnie bardzo skutecznym cenzorem. Na stronie kancelarii Nawrockiego komentarze są zablokowane.

Może więc walkę z cenzurą Nawrocki zacznie od siebie?

BĄKOWSKI



eprasa.pl 1561774341

W NUMERZE

ZDROWIE
8 **Doktor Chat nie zastąpi lekarza**
Diagnoza od AI szybka, ale bywa myląca

KRAJ
12 **Dlaczego warto słuchać fachowców?**
8. Kongres „Zdrowie Polaków”
13 **To będzie głos środowiska**
– rozmowa z prof. Henrykiem Skarżyńskim
16 **Neosędzia Zbigniew Kapiński: marionetka PiS i Karola Nawrockiego**
20 **Czy Gliwiczanom skradziono demokrację?**
Miało być referendum, został totem
23 **Przemoc karmi się ciszą**
Gdzie szukać pomocy

TECHNOLOGIE
26 **Żniwa grypy GTA**
Premiera gry wywołała „epidemię”

OPINIE
34 **Andrzej Karbownik**
O nienawiści
36 **Piotr Kimla**
W jakiej demokracji Polacy żyją?

MEDIA
39 **Czwarty Ibis**
Nagrodzeni młodzi dziennikarze z Mazowsza

ZAGRANICA
40 **Gdzie jest Europa?**
Shenzhen nie było Jałtą, ale…
42 **Trzech liderów, trzy cele**
– rozmowa z prof. Kamilem Zajączkowskim
44 **Test dla Europy**
Dlaczego do pokoju w Ukrainie wciąż daleko
48 **Wzlot i upadek króla AI**
Jensen Huang – wizjoner grzesznik

HISTORIA
52 **Za wolność i rewolucję**
– rozmowa z Jeremim Galdamezem Muñozem i Aleksandrą Lipczak

SPORT
55 **Męczy nas piłka**
Niech młodzi zastąpią tłuste koty

KULTURA
57 **Sztuka nie może kończyć się na nagrodach**
– rozmowa z Martą Miłoszewską
60 **Qulturalia**
66 **Niedokończona podróż z przyjaciółkami**
Obrazy Kamili Gruszeckiej

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Strażnik ścieku
7 **Jerzy Bralczyk**
Prawda, racja i słuszność
29 **Jan Widacki**
Jeszcze raz o nauce i szkolnictwie wyższym
43 **Andrzej Romanowski**
Adam, syn Ozjasza
47 **Roman Kurkiewicz**
Wnuczek Antygony
51 **Tomasz Jastrun**
Poza jakąkolwiek wątpliwością
61 **Wojciech Kuczok**
Bursztynowy stolec



55
SPORT

MĘCZY NAS PIŁKA
Niech młodzi zastąpią tłuste koty

57
KULTURA

SZTUKA NIE MOŻE KOŃCZYĆ SIĘ NA NAGRODACH
– rozmowa z Martą Miłoszewską





66
GALERIA

NIEDOKOŃCZONA PODRÓŻ Z PRZYJACIÓŁKAMI
Obrazy Kamili Gruszeckiej



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

ILUSTRACJA IZA MIERZEJEWSKA, FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1561774341

Tryptyk warmiński. III. Krasnoludki

Też jestem pesymistą, jak prof. Andrzej Romanowski. Przez wiele lat w Święto Zmarłych maszerowaliśmy z córką m.in. na cmentarz wojskowy w Cieszynie przy ulicy Szarych Szeregów.


Andrzej Romanowski
Tryptyk warmiński. III. Krasnoludki

W zbiorowej mogile spoczywa tam ponad 4 tys. żołnierzy Armii Czerwonej. Bezimienni. W betonowe cokoliki były wmontowane małe czerwone gwiazdy. Wydłubano je. Obecnie płot osłonięto nieprzejrzystą folią. A to dlatego, że w metaloplastycznym ogrodzeniu wykute są gwiazdy! Wstyd przeogromny. Fobie antyrosyjskie, więc i zmarłym nie dano spokoju.

Władysław A. Sacha

Szaleńcze plany prawicy


Przegląd
JESZCZE WIĘCEJ BROŃ
SZALEŃCZE PLANY PRAWICY

Nie mam broni ani pozwolenia na nią i nie mam potrzeby jej posiadania, ale uważam, że każdy Polak powinien przejść przynajmniej przeszkolenie na strzelnicy. Z reguły ludzie posiadający broń są bardziej opanowani, gdyż wiedzą, z czym to się wiąże. Przeciwnicy niech zrozumieją, że pod kołami pojazdów ginie dużo więcej ludzi, a i w każdym mieszkaniu jest tzw. broń biała, czyli noże. I właśnie w przestępstwach popełnianych przy ich użyciu ginie bardzo dużo ludzi i na to nie potrzeba wcale pozwolenia.

Dariusz Sobczak

•

Obecnie uzyskanie pozwolenia na broń do celów sportowych czy kolekcjonerskich jest prostsze od zrobienia prawa jazdy. I tak, system – wbrew opinii publicznej zbulwersowanej ostatnimi wydarzeniami w Krakowie – potrafi odsiać osoby, które nie powinny mieć styczności z bronią palną. Są wymagania co do znajomości przepisów oraz braku przeciwwskazań medycznych. Przy liczbie 500 tys. posiadaczy pozwolenia na broń przestępstwa z użyciem zarejestrowanej broni palnej są w Polsce marginesem. W naszym kraju więcej ludzi ginie na drogach niż w wyniku strzelanin. Czyli, kierując się logiką niektórych osób, należy ograniczyć ludziom dostęp do samochodów i motocykli. Tak, w każdej grupie znajdzie się wyjątek, ale nie stygmatyzujmy wszystkich posiadaczy broni palnej. Tym bardziej że w Polsce można kupić broń palną na sam dowód osobisty – broń czarnoprochową, która skutecznością nie ustępuje broni współczesnej. I jakoś nie słychać, żeby posiadacze czarnoprochowców urządzali sobie strzelaniny rodem z Dzikiego Zachodu.

Michał Czarnowski

Przecinanie węzła gordyjskiego


Przecinanie węzła gordyjskiego
Jerzy Domański
MÓJ PRZEGLĄD

Pisze red. Jerzy Domański, że „pora się zdeklarować. Tak jak ja po stronie tych, którzy próbują przywracać praworządność rozwaloną przez Ziobrę". Chciałbym zapytać, po czyjej stronie stanąć w obronie Trybunału Konstytucyjnego. Po stronie ekipy Donalda Tuska, która w listopadzie 2015 r. wsadziła w jego drzwi odpowiedni wytrych, czy po stronie ekipy Jarosława Kaczyńskiego, która ochoczo wykorzystała ten wytrych, by otworzyć furtkę na oścież. Prof. Marcin Matczak w „Gazecie Wyborczej" (7 listopada) czytelnie opisał ten problem, używając metafory piłkarskiej. Na koniec pisze: „Ale teraz już się nie da tego zrobić". Profesor pewnie ma rację, ja jednak myślę, że drużynę Tuska, tak jak i drużynę Kaczyńskiego, należałoby wyautować poza ławkę rezerwowych i na nowo stworzyć TK. Niezależny od partyjniactwa.

Józef Brzozowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Bardzo szorstka nominacja. Bez słowa, po upływie miesiąca, prezydent wręczył ministrowi finansów i gospodarki Andrzejowi Domańskiemu akt powołania na stanowisko wicepremiera. Pałac Prezydencki, 20 listopada 2026 r.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 1561774341

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Karol Nawrocki znowu zawetował rządowy projekt wdrożenia Aktu o usługach cyfrowych (DSA) umożliwiający blokowanie nielegalnych treści w internecie. Rząd przedstawi kolejną wersję przepisów chroniącą dzieci. • Decyzją rządu ceny gazu w 2027 r. będą zamrożone. • Zgromadzenie Ogólne Trybunału Konstytucyjnego zdecydowało, że Bogdan Święczkowski i Bartłomiej Sochański tracą immunitety sędziowskie i mogą być pociągnięci do odpowiedzialności karnej. • Policjanci ranni w zamachu w Krakowie, Jakub Kulik i Artur Morański, zostali odznaczeni Krzyżami Oficerskimi Orderu Odrodzenia Polski za wyjątkową ofiarność i odwagę. • Hanna Krall, wybitna pisarka i reportażystka, „wzorzec reportażu literackiego", została laureatką Nagrody Polskiego Pen Clubu im. Jana Parandowskiego. • O tak egzotycznych przyjaciół jak Trump trzeba dbać i dawać im takie prezenty jak Nawrocki, który poleciał do USA z tronem zdobionym bursztynem. Pomysł na miarę takich głów jak Przydacz i Andruszkiewicz. Podobno Trump tak się zachwycił, że zamówił jeszcze kilka mniejszych dla Melanii i dzieci. • Miklós Seszták, były minister rozwoju w rządzie Orbána, zakopał w lasach ponad 5 mld forintów, ponad 2,6 mln euro i ponad 1,25 mln dol. • W 2025 r. kierujący pojazdami z polskimi tablicami rejestracyjnymi byli sprawcami 71,7 tys. kolizji i wypadków poza Polską.

PRZEBŁYSKI



Pierwsza książka napisana po jego śmierci

Bielan Adam – macher z importu. Jego ostatnie dzieło, Karol Nawrocki, to szczytowe osiągnięcie Bielana jako politycznego krawca. Bielan udał się za ocean nie po to, by uprawiać dyplomację, lecz by zdjąć miarę z Donalda Trumpa i uszyć kostium dla kandydata PiS. W efekcie otrzymaliśmy Nawrockiego, który nie tylko mówi Trumpem i myśli Trumpem, ale nawet mruży oczy i macha rękami, jakby urodził się w Queensie, a nie w gdańskim bloku. Bielan sprowadził do Polski polityczny franchising: Nawrocki to taki McTrump – niby smakuje podobnie, ale po zjedzeniu zostaje zgaga i poczucie, że przepłacono za zestaw z frytkami…

Luksusowy pasożyt: zawsze elegancki, zawsze w cieniu, zawsze blisko ucha najsilniejszego. Jasno widzimy, że w Polsce można nie wygrać żadnych wyborów na własne nazwisko, a mimo to trzymać za gardło całą klasę polityczną. Z niszczenia uczynił rzemiosło, a z pasożytnictwa sztukę.

Sprzedaż: 668 935 668



Jak BNP PARIBAS zmienia świat rolników (w piekło)

Prezes francuskiego banku Przemysław Gdański ma siedmioro wiceprezesów, setki dyrektorów i doradców. Są tak zajęci pilnowaniem interesów francuskiego właściciela, że na skargi rolników wypinają się tym, czym kończą się plecy. Wstyd!

Pora na działanie Związku Banków Polskich. Czekamy na ruch prezesa Tadeusza Białka.

A dla BNP PARIBAS mamy nowe hasło: ROLNIKU, MY WYROLUJEMY CIĘ NAJLEPIEJ.

PYTANIE TYGODNIA

Jakie są wady i zalety dwukadencyjności w samorządach?

URSZULA PASŁAWSKA,
posłanka, wiceprezes PSL

Pierwsza wada jest fundamentalna: przepis uchodzi za niezgodny z konstytucją, choć nie zostało to potwierdzone. Ogranicza prawa obywatelskie, a to nawet w słusznych intencjach jest błędne w demokratycznym kraju. Druga wynika z wyjątkowej sytuacji związanej z wojną w Ukrainie: około połowy wójtów i burmistrzów przestałoby pełnić funkcję, a dla obrony cywilnej ważna jest ciągłość. Trzecia dotyczy małych wspólnot, gdzie często kandyduje tylko jedna osoba, a miejscowości się wyludniają, więc trudno znaleźć wójta z doświadczeniem i wizją. Zaletą jest wymiana wizji i strategii oraz szansa dla mniejszości, która nie może zmienić gospodarza gminy. Ale zmiana tylko po to, by kogoś zmienić, zawsze źle się kończy. Mechanizmy kontroli działają: co kadencję wymienia się 30-40% wójtów, są referenda, a w samorządzie sąsiad ocenia sąsiada.

SZYMON OSOWSKI,
prezes zarządu Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska

Dwukadencyjność nie jest remedium na problemy funkcjonowania polskiego samorządu, jeśli chodzi o kwestie instytucjonalne czy prawne. Zarówno jej wprowadzenie, jak i obecne próby zniesienia mają charakter polityczny – to dyskusja o stołkach, a nie o realnych wyzwaniach stojących przed gminami, takich jak finanse czy depopulacja. Samorząd wymaga głębokiej reformy, a nie sporu o kadencje. Z drugiej strony w wielu miejscach w Polsce bardzo trudno wymienić urzędujące władze w normalnych wyborach. Wójtowie czy prezydenci mają ogromne zasoby publiczne, spółki, media społecznościowe i lokalną prasę, która w roku wyborczym zamienia się w laurki, przez co kontrkandydaci są na straconej pozycji. Chcielibyśmy zobaczyć, jak dwukadencyjność zadziała, a jej zniesienie jest dziś złym pomysłem, bo nie wiadomo, jak by to wyglądało w praktyce.

CZESŁAW RENKIEWICZ,
prezydent Suwałk

Kończę czwartą kadencję i nie zamierzam kandydować, ale dwukadencyjność oceniam krytycznie – działa ze szkodą dla samorządów. Sprawne zarządzanie miastem wymaga wiedzy prawnej, ekonomicznej i unijnej, której nie daje podręcznik akademicki. Zdobywa się ją latami. Częsta rotacja włodarzy wpływa na rozwój miast i gmin, spowalnia go i zwiększa ryzyko podejmowania błędnych decyzji. Ponadto limit 10 lat odstrasza specjalistów. Po dwóch kadencjach tracą kontakt z zawodem, a państwo nie wie, jak wykorzystać ich kompetencje. Ustawodawca niepotrzebnie wyręcza mieszkańców, bo sami potrafią ocenić włodarza, a patologie powinny ścigać służby. Zmuszając do odejścia ok. 1,5 tys. znanych samorządowców, tworzy się im naturalną drogę do polityki krajowej – w wyborach do Sejmu i Senatu staną się silną konkurencją dla obecnych partii.

Rozmawiał Maciej Belowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 1561774341



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl
Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

Prawda, racja i słuszność

Prawda, czyli wartość najwyższa (dobro i piękno są relatywizowane), choć bywa gorzka i trudna, i nie zawsze jej chcemy. Racja, czyli to, co jest nasze, gdy mówimy prawdę. I słuszność, to, co mamy, gdy racja jest po naszej stronie. Bliskie sobie wartości, pojęcia i słowa, warunkujące się nawzajem. Dla niektórych synonimy, w wielu kontekstach mogą się zastępować.

Ale każde z nich naciska inny klawisz w naszej mentalności. Prawda jest poza nami, jest obiektywna, dążyć do niej możemy, ale mamy często poczucie jej nieosiągalności. Wysoko, nad nami, i głęboko zarazem. W jej imię wiele uczyniono dobrego i nie mniej złego. Bywa przeciw ludzkim partykularnym interesom, kole w oczy. Podobno jest jedna, przynajmniej w pewnym zakresie.

Racja włącza rozsądek i interes. Jest przyczyną zdarzeń – z tej racji musi być uwzględniana, a często bywa w towarzystwie innych racji, i wielu ją ma. Gdy ktoś przyznał rację obu stronom sporu, spotkał się z zarzutem, że przecież niemożliwe są sprzeczne racje – na co jemu też przyznano rację. To rodzaj żartu, paradoksu – przecież wiemy, że w konflikcie rację ma jedna tylko strona, czyli my, i nie musimy sobie jej nawet przyznawać.

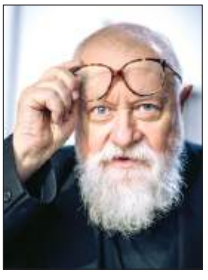

Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Słuszność bywała ideologizowana. Słuszne poglądy nie zawsze były oparte na faktach i na logice, ale były historycznie właściwe i służyły postępowej ludzkości, nawet wbrew niej czasem. A w życiu to coś, co daje nam siłę i warunkuje dobre samopoczucie. Nawet gdy przegrywamy, słuszność pozostaje naszą wartością.

Kto ma słuszność, czyja jest racja, po czyjej stronie jest prawda czy raczej: kto jest po stronie prawdy? Kto jest sędzią, kto nie jest? Jaki akt jest ważny, jaki nie? Komu przysługuje decyzja o tym, kto ma prawo do czego? Takie spory są ważne dla samej istoty sporów.

Ale rośnie przekonanie, że i tak decydują i zdecydują fakty. Mówi się o tym: metoda faktów dokonanych. Niedokonane nie mają w tym udziału. Jakoś to rozumiemy i w końcu się z tym godzimy. I byłoby to przykre, gdyby nie inne przekonanie: że w istocie to wszystko polityka i że słuszność razem z trudno odróżnialną od niej racją są na jej usługach.

I, co gorsza, prawda też. ■

eprasa.pl 1561774341

Doktor Chat nie zastąpi lekarza

Nie śpi, nie bierze urlopu i odpowiada w kilka sekund. Ale nie ma dyplomu i zmyśla, gdy nie zna odpowiedzi

Kornel Wawrzyniak



Przychodzenie do lekarza z diagnozą z internetu nie jest niczym nowym. Jeszcze dekadę temu pierwszym lekarzem wielu pacjentów był doktor Google. Dziś jego miejsce zajmuje doktor AI. Gdy boli głowa, pojawia się wysypka albo niepokojący wynik morfologii, coraz częściej rozmawiamy z chatbotem. Opisujemy objawy, wklejamy wyniki badań, przesyłamy zdjęcia zmian skórnych i oczekujemy odpowiedzi, najlepiej natychmiastowej. A sztuczna inteligencja potrafi brzmieć jak wybitny specjalista – również wtedy, gdy się myli.

Od doktora Google do doktora AI

Medycyna staje się jednym z najciekawszych i zarazem najbardziej niebezpiecznych pól testowych dla generatywnej AI. Z jednej strony, obserwujemy algorytmy osiągające wyniki porównywalne, a czasem lepsze od uzyskiwanych przez lekarzy w wybranych zadaniach diagnostycznych. Z drugiej – kolejne badania pokazują, że powierzanie chatbotom samodzielnych diagnoz może prowadzić do poważnych błędów, a nawet zagrożenia życia. W tym miejscu pojawia się jednak ważne zastrzeżenie, o którym często się zapomina. Kiedy słyszymy o spektakularnych sukcesach AI w medycynie, zwykle mowa o systemach projektowanych do konkretnych zastosowań klinicznych. Są

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1561774341

one trenowane na starannie dobranych danych medycznych, testowane w określonych warunkach i wykorzystywane przez lekarzy, którzy potrafią interpretować ich wskazania.

Przeciętny pacjent rzadko korzysta z takich narzędzi. Najczęściej otwiera popularny chatbot ogólnego przeznaczenia, ten sam, któremu chwilę wcześniej zadał pytanie o wakacje, przepis na obiad albo jak sformułować mejl. To zasadnicza różnica. Prawda, jak często bywa w przypadku nowych technologii, leży gdzieś między skrajnym entuzjazmem a katastroficznymi wizjami.

Zjawisko samodiagnozowania nie jest nowością. Na długo przed pojawieniem się takich narzędzi jak ChatGPT pacjenci godzinami przeszukiwali internet. Szacuje się, że 65-70% ludzi na świecie regularnie poszukuje informacji medycznych w sieci. W Polsce ok. 70% użytkowników internetu deklaruje, że sięga do źródeł online wtedy, gdy pojawiają się niepokojące ich objawy.

Przez lata lekarze przyzwyczaili się do pacjentów przychodzących z wydrukami stron internetowych. Dziś do gabinetów trafiają już nie ze zbiorami przypadkowych wyników z wyszukiwarki, lecz z zapisem rozmów z chatbotami. Skala zjawiska rośnie błyskawicznie. Według raportu „Zdrowie z AI", przygotowanego przez On Board Think Kong na podstawie badań SW Research, niemal 60% Polaków konsultuje kwestie zdrowotne ze sztuczną inteligencją. Około 17 mln ludzi pyta chatboty o objawy, wyniki badań, leki i możliwe choroby. Niemal jedna trzecia robi to regularnie. Najczęściej pytamy o interpretację objawów (50,7%), leki i suplementy (36%), stres, sen i zdrowie psychiczne (32%) oraz interpretację wyników badań (33%).

Same liczby nie muszą jeszcze niepokoić. W końcu wielu ludzi traktuje AI jako narzędzie informacyjne. Problem zaczyna się wtedy, gdy chatbot przestaje być wyszukiwarką, a staje się autorytetem. Aż 14,9% badanych przyznało, że potraktowało odpowiedź AI jako diagnozę medyczną. Co bardziej niepokojące, 8,3% respondentów zmieniło dawkowanie leków lub odstawiło je po sugestii systemu AI, bez konsultacji z lekarzem. To moment, w którym technologia wkracza na teren, gdzie błędy bywają kosztowne.

Niebezpieczeństwo nie polega na tym, że AI się myli, rzecz w tym, że myli się przekonująco. Jednym z największych zagrożeń związanych z generatywną sztuczną inteligencją nie jest sama liczba błędów. Ludzie, w tym najlepsi specjaliści, także popełniają błędy. Problem stanowi sposób ich prezentowania. Chatbot nie mówi: „nie wiem" albo „muszę to przemyśleć", nie okazuje wahania ani nie wygląda na niepewnego. Nie marszczy czoła, nie prosi kolegi o konsultację, nie zastanawia się na głos. Błąd generowany przez AI często wygląda tak samo jak poprawna odpowiedź. Zjawisko to badacze określają mianem halucynacji. Jeśli model językowy nie będzie czegoś wiedział, zmyśli to, zlepi, bo w jego „naturze" jest wiedzieć. Wtedy AI generuje informacje, które brzmią przekonująco, ale nie mają pokrycia w rzeczywistości.

Medycyna jest tymczasem obszarem szczególnie wrażliwym na pomyłki. W badaniu prowadzonym od 2023 r. przez zespół Vincenza Guastafierra z Humanitas University pod Mediolanem analizowane były odpowiedzi udzielane przez ChatGPT dla 200 przypadków klinicznych opracowanych przez lekarzy różnych specjalności zgodnie z aktualnymi wytycznymi diagnostycznymi. Wyniki trudno uznać za uspokajające. Błędne odpowiedzi pojawiły się w ok. 70% przypadków. W ok. 30% chatbot powoływał się na nieistniejące źródła lub zmyślone publikacje. Tylko 32% odpowiedzi było całkowicie wolnych od błędów. Wśród najniebezpieczniejszych pomyłek znalazło się błędne rozpoznanie raka skóry oraz pomylenie różnych typów nowotworów piersi. Jak podkreślał Guastafierro, takie pomyłki w rzeczywistych warunkach mogłyby prowadzić do bardzo poważnych konsekwencji klinicznych.

Dlaczego lekarz zadaje tyle pytań?

Większość pacjentów sądzi, że postawienie diagnozy polega na nazwaniu choroby. Dla lekarza to jedynie finał procesu. Najważniejszym jego etapem jest coś znacznie trudniejszego: diagnostyka różnicowa. Pacjent zgłasza ból brzucha. Lekarz musi rozważyć dziesiątki potencjalnych przyczyn. Od niestrawności, przez zapalenie wyrostka robaczkowego, po pękający tętniak aorty. Na tym etapie chodzi nie o znalezienie jednej odpowiedzi, lecz o zbudowanie listy możliwości i ustalenie, która jest najbardziej prawdopodobna, a która najbardziej niebezpieczna. Tu sztuczna inteligencja ma dziś największy problem. Badacze z Mass General Brigham przeanalizowali możliwości 21 czołowych modeli językowych, takich jak GPT, Claude, Gemini, Grok i DeepSeek. Rezultat?

Około 17 mln ludzi pyta chatboty o objawy, wyniki badań, leki i możliwe choroby. Niemal jedna trzecia robi to regularnie.

Choć modele często radziły sobie dobrze z końcowym rozpoznaniem po otrzymaniu pełnego zestawu danych laboratoryjnych i obrazowych, nie były w stanie poprawnie stworzyć diagnozy różnicowej w ponad 80% przypadków. Innymi słowy, kiedy rozwiązanie zagadki było już niemal gotowe, AI potrafiła wskazać poprawną odpowiedź. Gdy trzeba było dopiero rozpocząć proces myślenia klinicznego, jej skuteczność gwałtownie spadała. Marc Succi, współautor badania, nazwał diagnostykę różnicową „sztuką medycyny". I tej sztuki współczesne modele wciąż nie potrafią wiernie odtworzyć.

Pacjenci zastanawiają się, dlaczego lekarze zadają tyle pytań. Paradoksalnie właśnie to jest jednym z powodów, dla których pozostają niezastąpieni. Badania cytowane przez „Nature" wskazują, że nawet 80% diagnoz można postawić wyłącznie na podstawie prawidłowo przeprowadzonego wywiadu medycznego.

eprasa.pl 1561774341

Pacjenci często nie wiedzą, które informacje są kluczowe. Nie wspominają o niedawnym wyjeździe za granicę, pozornie niewinnym omdleniu albo nowym leku przyjmowanym od tygodnia. Lekarz wie, o co zapytać. Chatbot najczęściej wie tylko tyle, ile sam użytkownik zdecyduje się napisać.

Badanie Uniwersytetu Oksfordzkiego pokazało, że osoby korzystające z chatbotów medycznych pomijały istotne informacje znacznie częściej, niż powinny. Miały też kłopot z właściwą oceną znaczenia otrzymanych odpowiedzi, a to fundamentalna sprawa. AI może być świetna w analizowaniu danych. Gorzej, gdy tych danych brakuje. W medycynie zaś niemal zawsze czegoś brakuje. Medycyna to sztuka układania chaosu, nie podręcznik, w którym idzie się od punktu A do punktu B. Sztuką jest ułożyć zestawy objawów w odpowiednim kontekście.

W świecie akademickim każda choroba ma zestaw charakterystycznych objawów. W rzeczywistości pacjent rzadko przypomina przypadek z podręcznika. To na ten problem zwraca uwagę dr David Wu z Harvard Medical School. Jak zauważa, nie udało się jeszcze wykazać, by systemy AI dobrze radziły sobie z nieuporządkowaną rzeczywistością kliniczną. Kiedy podczas badań Wu poprosił testowany algorytm o drugą opinię medyczną, otrzymał odpowiedź zawierającą skrajnie niebezpieczną sugestię terapeutyczną. To doświadczenie doprowadziło jego zespół do opracowania metody NOHARM służącej do identyfikowania potencjalnie szkodliwych porad generowanych przez AI.

Wyniki okazały się alarmujące. Analiza 31 zaawansowanych modeli pokazała, że ryzyko wygenerowania porady mogącej prowadzić do poważnej szkody dla pacjenta pojawiało się w ok. 22% przypadków. W farmakologii żaden lek nie zostałby dopuszczony do obrotu przy tak słabo poznanym profilu bezpieczeństwa.

Ja lekarz i AIsystent

I tu pojawia się paradoks, bo równie liczne są badania, które pokazują imponujące możliwości AI. Z eksperymentu opublikowanego w „Science" wynikało, że model o1-preview OpenAI podczas analizy rzeczywistych przypadków z oddziału ratunkowego bostońskiego szpitala osiągał trafniejsze wyniki diagnostyczne niż dwóch doświadczonych lekarzy. Największą przewagę uzyskał na etapie triażu, czyli błyskawicznej oceny, którzy pacjenci wymagają pilnej pomocy. Model trafnie rozpoznawał przypadki w ok. 67% sytuacji, podczas gdy lekarze osiągali wyniki na poziomie 50-55%.

Zbliżone były rezultaty systemu AMIE stworzonego przez Google Research. W badaniach z udziałem rzeczywistych pacjentów algorytm osiągał podobne wyniki jak lekarze podczas wstępnego wywiadu i tworzenia listy potencjalnych diagnoz.

Problem nie polega na tym, że AI się myli, rzecz w tym, że myli się przekonująco.

Jeszcze bardziej imponujące wyniki miał DeepRare, system przeznaczony do identyfikacji chorób rzadkich. W testach obejmujących niemal 6,5 tys. przypadków klinicznych AI wyprzedziła doświadczonych specjalistów pod względem trafności pierwszego rozpoznania. Czy to oznacza, że lekarze są zagrożeni? Niekoniecznie. To raczej zapowiedź przyszłości, w której zmieni się charakter ich pracy.

W nowoczesnym lotnictwie bezpieczeństwo opiera się nie na jednym pilocie, lecz na współpracy człowieka z systemami wspomagającymi podejmowanie decyzji. Tandem człowieka i komputera daje najlepsze wyniki. Coraz więcej wskazuje na to, że medycyna zmierza w podobnym kierunku. Nie lekarz albo AI, ale lekarz wyposażony w dodatkowe narzędzie analityczne. Interesujące są wyniki badań przeprowadzonych przez naukowców Harvard Medical School. Początkowo lekarze korzystający z ChatGPT nie uzyskiwali lepszych efektów niż ci pracujący samodzielnie. Sam chatbot osiągał jednak zaskakująco wysoką skuteczność diagnostyczną. Dopiero zmiana modelu współpracy przyniosła przełom.

Gdy lekarze najpierw zapoznawali się z analizą AI, a dopiero potem stawiali własną diagnozę, skuteczność rosła. Tak samo było wtedy, gdy traktowali model jako źródło dodatkowej opinii. W tym kierunku wydaje się dziś zmierzać medycyna. Nie lekarz albo AI. Lekarz wspomagany przez AI. To podejście określane czasem mianem „Me + AI" promują m.in. eksperci zajmujący się cyfrową transformacją systemów ochrony zdrowia.

Nie można jednak zachwycać się tym tandemem na wyrost. Okazuje się, że współpraca lekarza z AI zrodziła problem, którego nikt się nie spodziewał – to utrata kompetencji przez specjalistów. Historia pokazuje, że każda technologia pomaga nam w czymś kosztem czegoś. Kalkulatory osłabiły potrzebę wykonywania działań w pamięci. Nawigacja GPS zmniejszyła nasze zdolności orientacji przestrzennej. AI może mieć analogiczny wpływ na medycynę.

Badanie opublikowane w „The Lancet Gastroenterology and Hepatology" potwierdziło niepokojące zjawisko. Po wdrożeniu systemu AI wspierającego wykrywanie zmian przednowotworowych podczas kolonoskopii lekarze zaczęli osiągać gorsze wyniki, gdy nagle musieli pracować bez wsparcia algorytmu. Nadmierna zależność od sztucznej inteligencji może zatem prowadzić do tzw. deskillingu, czyli utraty części kompetencji zawodowych.

To zjawisko nie dotyczy wyłącznie medycyny. Zbliżone efekty obserwuje się już u programistów, którzy intensywnie korzystają z AI przy pisaniu kodu. Jeżeli maszyna staje się odpowiedzialna za analizę, człowiek stopniowo przestaje ją wykonywać samodzielnie.

Wreszcie, co chyba najważniejsze, należy pamiętać, że pacjent także nie jest idealnym użytkownikiem AI. W debacie o sztucznej inteligencji często zakłada się, że problemem jest niedoskonałość modelu. Tymczasem równie ważnym ogniwem jest użytkownik. Specjalista medycyny wspomagający się AI wie, czego szuka. Na dodatek domyślnie przejdzie jakiś kurs pisania promptów. Natomiast

eprasa.pl 1561774341

przeciętny pacjent jest laikiem. Większość ludzi nie potrafi formułować szczegółowych, neutralnych opisów medycznych. Dodatkowo typowy użytkownik AI, który pyta ją o przepisy na obiad czy o zakup samochodu, nie zwraca uwagi na sposób komunikacji z modelem językowym.

Wystarczy spojrzeć na sposób, w jaki młodzi ludzie komunikują się z chatbotami podczas odrabiania zadań domowych. Są to zwykle krótkie, chaotyczne komunikaty przypominające równoważniki zdań. Diagnostyka medyczna wymaga czegoś przeciwnego: kontekstu, chronologii, informacji o wcześniejszych chorobach, zażywanych lekach, wywiadu rodzinnego i wreszcie okoliczności pojawienia się objawów. Bez tych danych nawet najlepszy model będzie zgadywał. A zgadywanie nie jest medycyną.

Co więcej, istnieje zjawisko dobrze znane studentom medycyny. Początkujący adepci sztuki lekarskiej mają tendencję do rozpoznawania rzadkich chorób na podstawie popularnych objawów, zamiast szukać popularnych chorób dających nietypowe objawy. Pacjenci korzystający z AI często wpadają w tę samą pułapkę. Ból głowy staje się guzem mózgu. Zmęczenie oznaką egzotycznej choroby metabolicznej. Kołatanie serca zwiastunem śmiertelnej arytmii. Doświadczenie kliniczne polega m.in. na umiejętności odrzucania takich fałszywych tropów.

Przyszłość nie należy do doktora AI

Wbrew medialnym nagłówkom nie obserwujemy narodzin elektronicznego lekarza, który zastąpi człowieka. Widzimy raczej narodziny nowej kategorii narzędzi diagnostycznych. Ważna jest też rola specjalisty, bo to na nim spoczywa odpowiedzialność za pacjenta. Sam Altman, twórca ChatGPT, na siebie jej nie weźmie.

Wiceminister zdrowia Tomasz Maciejewski twierdzi, że czas, gdy AI była tylko gadżetem, minął bezpowrotnie. Według niego algorytmy w aparatach USG same mierzą i pilnują procedury, a lekarz zyskuje czas na rozmowę z pacjentami. Ricardo Baptista Leite z HealthAI jest ostrożniejszy: „Jeśli dołożysz AI do niewydolnego systemu, stajesz się po prostu bardzo sprawny w byciu niewydolnym". Jego zdaniem AI pomoże przejść od leczenia do profilaktyki, ale tylko przy zmianie zasad finansowania. Dane potwierdzają, że tempo wdrożeń wyprzedza nadzór. Jak podał szef WHO Europa Hans Henri P. Kluge, dwie trzecie z 53 krajów regionu korzysta już z diagnostyki opartej na AI, a strategie nadzoru ma tylko jedno państwo na 12, co naraża pacjentów na ryzyko.

Jak tomograf komputerowy nie zastąpił radiologa, a stetoskop internisty, tak AI prawdopodobnie nie zastąpi lekarzy. Może jednak zwiększyć ich skuteczność. Pomagać w analizie obrazów medycznych. Podpowiadać rzadkie diagnozy. Automatyzować dokumentację. Zmniejszać kolejki. Wspierać pracę przeciążonych systemów ochrony zdrowia. Kluczowe jest jednak, by nie mylić asystenta z decydentem.

Ten podział intuicyjnie wyczuwają pacjenci. Z raportu „Polacy o AI w medycynie. Edycja 2026" platformy UCE Research i fundacji Medigent wynika, że 46,7% popiera wykorzystywanie AI jako wsparcia dla lekarzy, ale głównie w zadaniach technicznych: monitoringu pacjenta (37,9%), dokumentacji (36,4%) i umawianiu wizyt (21,3%). Zaledwie garstka badanych wskazuje analizę badań obrazowych (7,5%), diagnostykę (6,1%) i dobór terapii (4,7%). „Pacjenci oczekują, że ostateczna decyzja będzie należała do człowieka, który bierze za nią pełną odpowiedzialność", ocenia Piotr Piątek z fundacji Medigent, współautor raportu.

Podobnie wygląda to za oceanem. Badanie West Health-Gallup Center, przeprowadzone w sierpniu 2026 r. na próbie 5330 dorosłych Amerykanów, którzy w poprzednim roku odwiedzili lekarza podstawowej opieki zdrowotnej, pokazało, że 56% akceptuje decyzje AI dotyczące diagnozy lub leczenia, jeśli lekarz może je zmienić albo odrzucić. Gdyby algorytm działał bez kontroli człowieka, komfort takiego rozwiązania uznałoby zaledwie 9% badanych. W przypadku analizy obrazów medycznych samodzielne działanie systemu akceptowało 13%, a przy decyzjach dotyczących leków – 11%. Autorzy zastrzegają, że to deklarowany komfort wobec hipotetycznych scenariuszy.

Ostrożność widać też po drugiej stronie. Jedno z największych badań dotyczących opinii klinicystów pokazało, że 95% lekarzy dostrzega korzyści płynące z wykorzystania AI w praktyce medycznej. Jednocześnie tylko niewielka część uważa, że modele językowe są gotowe do samodzielnego podejmowania decyzji klinicznych. To doskonale pokazuje, w jakiej fazie rozwoju sztucznej inteligencji jesteśmy. AI może być znakomitym konsultantem. Może być dodatkową opinią. Może być asystentem. Może nawet czasem zauważyć coś, co umknęło człowiekowi. Ale medycyna nie jest konkursem wiedzy ani testem wielokrotnego wyboru. To proces podejmowania decyzji w warunkach emocji, niepewności, niedoboru informacji, nieprzewidywalności ludzkiego organizmu.

Lekarz wie, o co zapytać. Chatbot najczęściej wie tylko tyle, ile sam użytkownik zdecyduje się napisać.

Dlatego najrozsądniejsze podejście można streścić w jednym zdaniu: nie pytajmy, czy AI zastąpi lekarza. Pytajmy, jak sprawić, by lekarz i AI wspólnie popełniali mniej błędów niż każde z nich osobno. Na razie wszystkie dostępne dane wskazują, że przyszłość medycyny nie należy ani do człowieka, ani do maszyny.

Pamiętajmy jednak, że medycyna przede wszystkim potrzebuje lekarzy, którzy działają w świecie rzeczywistym. Taką postacią jest prof. Henryk Skarżyński, twórca Światowego Centrum Słuchu w Kajetanach. Organizowany przez niego Kongres „Zdrowie Polaków" pokazuje, że przyszłość medycyny zależy nie tylko od nowych technologii, ale również od dialogu ekspertów. Więcej na s. 12.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1561774341



DLACZEGO WARTO SŁUCHAĆ FACHOWCÓW?

8. Kongres „Zdrowie Polaków”: potrzebujemy dialogu opartego na wiedzy, ale również gotowości do podejmowania decyzji

Robert Walenciak

To impreza dobrze przemyślana. Ma swojego autora – bez prof. Henryka Skarżyńskiego, bez jego zaangażowania i jego autorytetu, bo przecież nazwisko profesora ją firmuje, nie doszłaby do skutku. A odbędzie się po raz ósmy. Tym razem pod hasłem „Bezpieczeństwo – podstawa zdrowia Polaków”.

Dlaczego tak? „Ostatnie lata pokazały, że sprawnie funkcjonujący system ochrony zdrowia jest równie istotny jak bezpieczeństwo militarne, energetyczne czy gospodarcze. Pandemia COVID-19, zagrożenia epidemiczne, rosnące potrzeby zdrowotne starzejącego się społeczeństwa, rozwój nowych technologii, cyberzagrożenia… Bezpieczeństwo zdrowotne wymaga dziś spojrzenia znacznie szerszego niż tylko zapewnienie dostępu do leczenia”, tłumaczy prof. Henryk Skarżyński.

Chodzi więc o wpisanie systemu ochrony zdrowia w mapę priorytetowych zadań państwa. Ale w sposób szczególny – poprzez wymianę poglądów ekspertów i tych, którzy rządzą. Jak mówi prof. Skarżyński: „Kongres ma być miejscem, w którym wiedza ekspercka spotyka się z możliwościami organizacyjnymi i finansowymi państwa”.

To jest klucz. W Polsce, choć nie tylko u nas, obserwujemy rozejście się świata ekspertów i świata polityków. Ci drudzy, atakowani każdego dnia przez media, i te tradycyjne, i te społecznościowe, zmuszani do medialnej aktywności, mają coraz mniej czasu, by słuchać fachowców i uwzględniać ich opinie. Raczej muszą brać pod uwagę podpowiedzi specjalistów od PR i kampanii politycznych, ich aktywność przesuwa się w sferę politycznego teatru, zabiegów o popularność, a nie konkretnych działań.

Ale efektem takiej polityki są zaniechania, błędy. By ich uniknąć, by wprowadzić wszystko na właściwe tory, konieczne jest współdziałanie tych, którzy wiedzą, i tych, którzy decydują. Eksperci też muszą mieć wiedzę z pierwszej ręki, muszą mieć świadomość, które z ich podpowiedzi mają szanse na realizację, a które nie. Politycy muszą z kolei wiedzieć, jak realnie wyglądają sprawy, za które odpowiadają. I jakie rozwiązania są na stole. Inaczej będziemy skazani na pomyłki.

Spójrzmy na służbę zdrowia – co z tego, że państwo przeznacza na ochronę zdrowia obywateli coraz więcej pieniędzy, skoro są one nieefektywnie wydawane? I czasami można odnieść wrażenie, że więcej z nich szkód niż pożytku. Bo wieści ze Szpitala Południowego w Warszawie czy informacje o milionowych zarobkach niektórych lekarzy są jak uderzenie młotem. Jaki jest więc efekt wydawania przez rząd dodatkowych pieniędzy na ochronę zdrowia? Z punktu widzenia obywateli i z punktu widzenia rządu – zerowy.

Mamy naturalną potrzebę dialogu. Eksperci muszą się wyzwolić z poczucia bezradności. Decydenci – z poczucia niemocy.

eprasa.pl 1561774341

Mamy zatem naturalną potrzebę dialogu. Eksperci muszą wyzwolić się z poczucia bezradności. Decydenci – z poczucia niemocy.

Kongres „Zdrowie Polaków" jest oczywistą okazją, by te dwie grupy zaczęły rozmawiać. Osoba prof. Henryka Skarżyńskiego, Kajetany, czyli ośrodek na światowym poziomie stworzony praktycznie z niczego, lista gości z pierwszego szeregu – to wszystko jest gwarancją poważnej debaty, zachęca, by przyjechać, by rozmawiać.

•

Lista gości... Długo można ich wymieniać: profesorowie uczelni, konsultanci krajowi wszystkich dziedzin medycyny, doświadczeni lekarze, przedstawiciele zawodów medycznych i samorządów lekarskich. A z drugiej strony mamy kierownictwo Ministerstwa Zdrowia i Narodowego Funduszu Zdrowia, ministrów rządu RP, marszałka Sejmu. A w zasadzie nie „z drugiej strony", bo goście podczas debat siedzą w półkolu, chodzi więc nie o konfrontację, lecz o wymianę myśli, wzajemne inspirowanie.

„Konsultanci krajowi dzięki swojej wiedzy, znajomości sytuacji mogą wskazać najważniejsze zagrożenia dla bezpieczeństwa pacjentów – wyjaśnia prof. Skarżyński. – Chcemy zapytać ich nie tylko o to, czego w systemie brakuje, ale również o to, co należy w nim zmienić. Jakie rozwiązania organizacyjne są dziś nieefektywne? Które świadczenia należy rozwijać".

I co dalej? Co z tą wiedzą? „Odpowiedzi na te pytania powinny stać się punktem wyjścia do dyskusji z ministrem zdrowia, kierownictwem resortu i Narodowego Funduszu Zdrowia – podkreśla prof. Skarżyński. – Celem nie jest bowiem stworzenie kolejnej listy problemów, lecz próba przejścia od diagnozy do konkretnych decyzji i rozwiązań. Najważniejszym rezultatem kongresowych debat powinno być określenie priorytetów i kierunków zmian w poszczególnych dziedzinach medycyny oraz wskazanie rozwiązań możliwych do wdrożenia

TO BĘDZIE GŁOS ŚRODOWISKA

Musimy pokazać swoje dokonania i projekty zmian. Wtedy będziemy w grze

Rozmawia Robert Walenciak



Prof. HENRYK SKARŻYŃSKI

Panie profesorze, czy warto angażować się w organizację kongresu ? Czy przynosi to oczekiwane efekty?

– Tak, warto. Społeczeństwo musi wiedzieć, co i dlaczego robimy jako środowisko. Bez tego obraz naszej pracy będzie wypaczony i nie będzie do nas zaufania. A ono jest potrzebne każdemu z nas, bo każdy był, jest lub będzie w potrzebie.

A czy łatwo zgromadzić w jednym miejscu tylu znakomitych gości? Ekspertów i decydentów?

– Nie było i nie jest to łatwe. Wyznaję zasadę trzeciego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Thomasa Jeffersona: „Jest nieprawdopodobne, ile może zrobić człowiek, jeżeli to, czym się zajmuje, robi systematycznie". Musimy być w tym, co proponujemy, systematyczni, wtedy będziemy skazani na sukces.

I kropla drąży skałę? Czy te rozmowy mają skutek?

– Muszą mieć, nawet jeżeli ktoś to lekceważy. Środowisko medyczne musi pokazać swoje dokonania, obecne cele i oczekiwania. Inaczej będzie postrzegane jako pasywne, niezdolne do pokazania potrzeb i rozwiązań dla decydentów.

Porozmawiajmy o samym kongresie. Które obszary ochrony zdrowia wymagają najpilniejszych działań?

– Z całą pewnością większość, ale nie podejmuję się przed kongresem zaproponować gradacji potrzeb.

Zapytam więc inaczej: czy będziecie debatować nad tym, jak zmienić system SOR-ów?

– Jeżeli konsultanci krajowi nadzorujący ten obszar opieki zdrowotnej uznają, że trzeba to zmienić, będą mieli szansę zaprezentować swoje pomysły i wdrożenia.

Następną bolączką są kolejki do specjalisty. Czy to da się zmienić? Czy trzeba rozbić obecny system?

– Kolejki były, są i będą. Są różne w poszczególnych specjalnościach. Obecnie przygotowywane zmiany z udziałem konsultantów krajowych, we współpracy ze specjalistami z Ministerstwa Zdrowia, NFZ i Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, są już daleko zaawansowane.

Wiemy, że w ochronie zdrowia wiele zależy od pieniędzy. A ile od dobrej organizacji i racjonalnych wyborów?

– Dużo, a nawet bardzo dużo. Więcej, niż zdajemy sobie z tego sprawę w codziennym postulowaniu dróg wyjścia.

Czego spodziewa się pan po kongresie?

– Przygotowania realnego programu działań i rekomendacji, które zostaną przedstawione, jak co roku, w pierwszych dniach marca 2027 r. parlamentarzystom i decydentom szczebla centralnego, regionalnego i rejonowego. Liczę, że będzie to nasz wkład do dyskusji. Spodziewam się takiej w kampanii przedwyborczej. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1561774341

w kolejnych latach. Potrzebujemy dialogu opartego na wiedzy, danych i doświadczeniu, ale również gotowości do podejmowania decyzji".

•

Czy to nie są założenia zbyt ambitne? Zwłaszcza w roku wyborczym? Uwzględnijmy, że założenia kongresu sięgają dalej niż kalendarz wyborczy. Organizatorzy postawili sobie za zadanie, można rzec, pracę nad świadomością społeczną. Nad tym, by politycy, ale i media, i ogół Polaków, byli dobrze poinformowani, jak wygląda sytuacja w ochronie zdrowia i jakie działania powinny być realizowane. Tak by stały się wspólne, czyli ponadpolityczne i niepodlegające wahaniom wyborczym.

Takich obszarów, dla których można uzgodnić pakiet działań, jest oczywiście więcej. Podczas kongresu, który będzie trwał trzy dni, ma się odbyć 18 debat, przewidziane są też dziesiątki paneli i wykładów.

•

Organizatorzy kongresu wśród tematów, które mają być w Kajetanach poruszane, umieścili „przygotowanie systemu na konsekwencje zmian demograficznych". A że te są nieuchronne i nie są zaskoczeniem, państwo powinno się na nie przygotować.

„Rosnąca liczba osób starszych, pacjentów z wielochorobowością i osób wymagających długotrwałej opieki będzie w kolejnych latach jednym z największych wyzwań dla ochrony zdrowia. Potrzebujemy systemu, który pozwoli seniorom nie tylko żyć dłużej, ale przede wszystkim jak najdłużej zachowywać zdrowie, samodzielność i dobrą jakość życia", przypominają organizatorzy.

Łączy się z tym inne wyzwanie. „W 2026 r. jednym z najważniejszych wyzwań ochrony zdrowia nie będzie już wyłącznie zwiększanie nakładów finansowych. Równie istotna będzie odwaga do podejmowania trudnych, ale koniecznych decyzji organizacyjnych oraz lepszego wykorzystania dostępnych kadr, infrastruktury i środków", czytamy w zapowiedzi kongresu.

Co te słowa znaczą? Za chwilę pada odpowiedź: „Jednym z przykładów jest transformacja szpitalnictwa, w której nadrzędną zasadą powinno być bezpieczeństwo pacjenta, a nie utrzymywanie za wszelką cenę dotychczasowej struktury organizacyjnej. Zmiana profilu niektórych jednostek może jednocześnie pozwolić rozwijać świadczenia bardziej potrzebne lokalnym społecznościom – geriatrię, rehabilitację, opiekę długoterminową, psychiatrię, diagnostykę czy ambulatoryjną opiekę specjalistyczną".

Tak oto doszliśmy do kolejnej bolączki systemu ochrony zdrowia, z którą nie potrafią sobie poradzić kolejne ekipy. Mamy rozbudowany system szpitali, jednak sporo tych placówek, zwłaszcza powiatowych, generuje potężne koszty, niewiele w sumie dając. Ale żadna władza nie ma odwagi problemu ruszyć, bo wie, że to polityczne samobójstwo. Gdy więc pada pytanie, czy w obecnym systemie ochrony zdrowia musi być tyle szpitali i wiele oddziałów, w których wykonuje się kilka zabiegów miesięcznie, a nawet rocznie, odpowiedź brzmi: tak, musi.

A jeśli tę zmianę dałoby się przeprowadzić „sposobem"? „Zmieniać system nie oznacza zamykać – tłumaczy prof. Skarżyński. – Jak wspomniałem, powiększa się grupa senioralna i z tym faktem trzeba się mierzyć. To może być realna szansa dla oddziałów, w których dzieje się mało lub w ogóle nic".

Inne wyzwanie, które zmienia reguły gry w systemie ochrony zdrowia, to rozwój sztucznej inteligencji. Ta rewolucja stwarza ogromne możliwości w diagnostyce i leczeniu, ale także nowe niebezpieczeństwa. Czy lekarze są przygotowani na zmianę? Czy algorytmy nas nie zdominują? A co z ochroną danych pacjentów? Jak się chronić przed cyberatakami na placówki medyczne?

Świat się zmienia i my musimy zmieniać się wraz z nim. Państwo musi być przygotowane na nowe zadania. A przygotować się do nich można tylko w jeden sposób – najpierw trzeba mieć wiedzę. A potem, w sposób rozumny, podejmować decyzje.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

8. Kongres „Zdrowie Polaków"

Odbywa się w dniach 23-25 listopada 2026 r.

w Światowym Centrum Słuchu w Kajetanach k. Nadarzyna przy ul. Mokrej 17.

Hasło kongresu: „Bezpieczeństwo podstawą zdrowia Polaków".

W programie przewidzianych jest 18 debat i kilkadziesiąt paneli i wykładów. Poruszane będą m.in. następujące zagadnienia:

- Jak przygotować polską ochronę zdrowia na sytuacje kryzysowe?
- Czy wszystkie szpitale zapewniają pacjentom odpowiedni poziom bezpieczeństwa?
- Jak przekształcać oddziały, zamiast je zamykać?
- Co należy zmienić, aby lepiej w ochronie zdrowia wykorzystywać dostępne środki?
- Rozwój dziecka – wpływ ekranów na rozwój mózgu, czyli jak chronić nasze dzieci?
- Jak sztuczna inteligencja zmienia medycynę?
- Jak wydłużać naszą aktywność, życie w zdrowiu, sprawności i niezależności?

eprasa.pl 1561774341

PRZEGLĄD
na XXXIV Targach Książki Historycznej

26-29 listopada 2026 r.

stoisko nr 35

Arkady Kubickiego
Zamku Królewskiego w Warszawie

SPOTKANIA Z NASZYMI AUTORAMI

Zapraszamy po dedykacje i książki w promocyjnych cenach!

piątek, 27 listopada

- godz. 16.00-17.00 – **Paweł Dybicz**

„KOŚCIUSZKOWCY. Niechciani zwycięzcy”

sobota, 28 listopada

- godz. 15.00-16.00 – **Tomasz Turowski**

„Chichot hieny”, „Wzrok Cerbera”

- godz. 16.00-17.00 – **Piotr Ciszewski**

„Dąbrowszczacy”

niedziela, 29 listopada

- godz. 12.00-13.00 – **Jerzy Domański**

tygodnik „Przegląd”

WSTĘP NA TARGI BEZPŁATNY



eprasa.pl 561774341

Neosędzia Zbigniew Kapiński: **marionetka PiS i Karola Nawrockiego**

Andrzej Sikorski



Zbigniew Kapiński albo kłamie, albo stracił kontakt z rzeczywistością. Jedno i drugie dyskwalifikuje go jako sędziego i pierwszego prezesa Sądu Najwyższego.

Na czele tzw. obrońców skompromitowanego Trybunału Konstytucyjnego nieoczekiwanie pojawił się pierwszy prezes Sądu Najwyższego Zbigniew Kapiński. Choć karierę w SN zawdzięcza on PiS i Karolowi Nawrockiemu (w maju br. prezydent powołał go na to zaszczytne stanowisko), nigdy – jak twierdzą jego znajomi – nie wykazywał skłonności do przemocy. Tymczasem cała Polska zobaczyła, jak nobliwy prawnik w towarzystwie byłego kibola Lechii Gdańsk zaprawionego w bandyckich ustawkach wdarł się nocą z 30 na 31 października do budynku TK. Mimo że sędzia Anna Korwin-Piotrowska, kobieta drobnej postury, nie miała szans w tym nierównym i niehonorowym starciu, Kapiński miał swoją wersję wydarzeń.

Opowieści z mchu i paproci

„Nie mam żadnej wątpliwości, z czyjej strony była przemoc. To Korwin-Piotrowska zaatakowała prezydenta. To rzecz zupełnie niedopuszczalna w cywilizowanym państwie. To, co zaprezentowali ci państwo, dyskredytuje ich w sposób jednoznaczny, żeby kiedykolwiek zasiadali w Trybunale Konstytucyjnym, ale w jakimkolwiek sądzie. To jest niegodne sędziego ani każdego przyzwoitego człowieka", mówił pierwszy prezes SN w TV Republika, hejterskiej stacji, nawołującej do nienawiści i przemocy.

Jak powszechnie wiadomo, Republika nie tylko ciągnęła miliony złotych z giełdy Zondacrypto i organizowała z nią wspólne przedsięwzięcia, np. wiec wyborczy Karola Nawrockiego w Jasionce, ale też wściekle atakowała rząd za to, że chciał uregulować szemrany rynek kryptowalut. To Tomasz Sakiewicz, prezes Republiki, miał obiecywać Przemysławowi Kralowi ułaskawienie u prezydenta, co przecież jest przestępstwem.

„Dlaczego zgodził się Pan wystąpić w TV Republika, wiedząc, że stacja ta notorycznie łamie prawo, a ponadto działała na rzecz założonej przez przestępców giełdy kryptowalut Zondacrypto?" – to jedno z pytań, na które nie dostałem odpowiedzi od pierwszego prezesa SN. Ale nie ma co się dziwić, gdyż Kapiński unika dziennikarzy zadających niewygodne pytania. Niedawno neosędzia udzielił wywiadu „Naszemu Dziennikowi" i w zasadzie był to czterokolumnowy manifest polityczny godny Jarosława Kaczyńskiego. Oto kilka złotych myśli najważniejszego prawnika RP.

* „Trybunał Konstytucyjny przestał funkcjonować w normalnym trybie, ponieważ budynek został otoczony przez policję. (…) Z punktu widzenia prawa kluczowe jest to, że w budynku przebywa obecnie jedynie trzech sędziów legalnie wybranych, którzy dopełnili wszelkich formalności. Pozostała piątka to osoby, które nie spełniły wymogów formalnych, by móc legalnie i pełnoprawnie sprawować urząd sędziego Trybunału Konstytucyjnego. (…) Działania tej ósemki odbywają się pod wyraźną osłoną i kontrolą władzy wykonawczej".

* „Aby przywrócić porządek konstytucyjny, należy przede wszystkim wycofać siły policyjne oraz umożliwić legalnemu Prezesowi,

eprasa.pl 1561774341

Wiceprezesowi, sędziom oraz pracownikom powrót do obowiązków".

* „Nie istniały żadne podstawy prawne do odsunięcia od obowiązków legalnie urzędującego prezesa Święczkowskiego".

* „Uważam, że Polska powoli traci suwerenność. Jesteśmy krajem, w którym kluczowe instytucje przestały prawidłowo funkcjonować. Mamy fundamentalne wady prawne w przypadku powołania osoby na zajęte przecież stanowisko Prokuratora Krajowego. Trybunał Konstytucyjny faktycznie nie działa, ponieważ zasiadają w nim uzurpatorzy. Pojawiają się jawne groźby pod adresem Sądu Najwyższego. Jak państwo może funkcjonować normalnie w warunkach paraliżu Trybunału Konstytucyjnego, zagrożenia niezależności Sądu Najwyższego i chaosu wokół obsady Prokuratury Krajowej? Do tego dochodzi głęboki kryzys w innych obszarach – nie mamy dziś chociażby prawidłowo działającego sądownictwa dyscyplinarnego. Bezprawnie odwołano rzeczników dyscyplinarnych i brakuje należycie umocowanych sędziów w tych sprawach. Wiele organów państwa po prostu nie realizuje swoich zadań. Ten postępujący rozkład instytucjonalny sprawia, że krok po kroku tracimy suwerenność, bo osłabione wewnętrznie państwo przestaje sprawnie działać".

* „Nie ma (…) państwa suwerennego, które oddałoby stanowienie prawa w obce ręce. Jeśli proces ten przestanie odbywać się w Warszawie – w polskim Sejmie i Senacie, pod podpisem Prezydenta RP – a zacznie być dyktowany z zewnątrz (np. przez trybunały międzynarodowe narzucające własną interpretację naszej Ustawy Zasadniczej), stracimy suwerenność, a tym samym niepodległość".

Zamachowcy i uzurpatorzy

Zbigniew Kapiński albo kłamie, albo stracił kontakt z rzeczywistością. Jedno i drugie dyskwalifikuje go jako sędziego i pierwszego prezesa SN.

To PiS w 2015 r. dokonało zamachu, nie dopuszczając do orzekania legalnie wybranych przez Sejm sędziów TK. W ich miejsce zainstalowano tzw. dublerów, czyli uzurpatorów. To za rządów PiS sąd konstytucyjny przestał odgrywać swoją rolę i stał się przybudówką partii rządzącej, działając na polityczny obstalunek. Przypomnijmy haniebny wyrok z 22 października 2020 r., w którym TK uznał za niezgodną z konstytucją możliwość przerywania ciąży z powodu ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu. O prezesce TK Julii Przyłębskiej Jarosław Kaczyński mówił, że „jest jego wielkim odkryciem towarzyskim" i bywa u niej w domu. Odkryciem okazał się też mąż prezeski Andrzej Przyłębski, tajny współpracownik peerelowskiej Służby Bezpieczeństwa, który został ulokowany na stołku ambasadora RP w Berlinie, choć nie był dyplomatą.

Paraliż TK pogłębił się, gdy na jego czele stanął Bogdan Święczkowski, były szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i prokurator krajowy w rządach PiS, a co najważniejsze – wierny żołnierz Zbigniewa Ziobry. Święczkowski nie ma kwalifikacji, żeby być sędzią, bo brakuje mu „nieskazitelnego charakteru". To on odpowiada za śmierć Barbary Blidy, która zginęła zaszczuta w wyniku intrygi. Ale wrabianie ludzi w wyimaginowane przestępstwa jest jedną z metod działania Święczkowskiego. W podobny sposób, czyli szukając haków, chciał skompromitować m.in. Jarosława Wałęsę, mecenasa Wojciecha Brochwicza, Aleksandra Kwaśniewskiego, Romana Giertycha, Bartosza Kramka i jego żonę Ludmiłę Kozłowską z Fundacji Otwarty Dialog, a nawet byłego zastępcę prokuratora generalnego Andrzeja Kaucza (pisaliśmy o tym w artykule „Rzeźnik sprawiedliwości", nr 51/2024).

Jak wynika z tzw. raportów Adama Bodnara, prokuratura pod rządami Święczkowskiego została przekształcona w zorganizowaną grupę przestępczą, której zadaniem było niezasadne wszczynanie śledztw wobec przeciwników PiS i chronienie tych osób, które dopuściły się przestępstw, a były związane z ówczesnym obozem władzy.

Jako prezes TK Bogdan Święczkowski przestał się zajmować sprawami ważnymi dla państwa i obywateli (zaległości w TK sięgają kilkunastu lat), a jego głównym zadaniem była obrona interesów PiS. Za niekonstytucyjne uznawano każde odstępstwo od linii partii. Między innymi uchwałę Sejmu o powołaniu komisji śledczej ds. Pegasusa, odsunięcie Dariusza Barskiego od pełnienia funkcji szefa Prokuratury Krajowej, nieuwzględnianie ocen z religii w średniej ocen ucznia, przepisy regulujące pociągnięcie do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu członka KRRiT (chodziło o zapewnienie bezkarności Maciejowi Świrskiemu) czy rozporządzenie w zakresie wzorów dokumentów w sprawie małżeństw jednopłciowych zawartych za granicą. To Święczkowski wprowadził nieznane wcześniej absurdalne zabezpieczenia, blokady prawne mające chronić nominatów PiS przed odwołaniem.

Tak się zagalopował, że w ten sposób „zabezpieczył" sędziemu Piotrowi Schabowi niemal 80-metrowe mieszkanie komunalne przy Łazienkach Królewskich, które ten zajmuje nielegalnie, bo ma dom pod Warszawą. Dzięki „zabezpieczeniu" warszawski ratusz nie może wyeksmitować Schaba. Trefny lokator to człowiek Ziobry. Za rządów PiS był głównym rzecznikiem odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów sądów powszechnych i miał przezwisko „rzeźnika", „kata" lub „egzekutora", bo wraz ze swoimi zastępcami Przemysławem Radzikiem i Michałem Lasotą represjonował sędziów za to, że ci stosowali się do wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, Europejskiego Trybunału Praw Człowieka oraz Sądu Najwyższego i protestowali przeciwko upolitycznianiu przez PiS sądownictwa. Zdaniem prokuratury „rzeźnicy Ziobry" dopuścili się licznych przestępstw, ale dla neosędziego Kapińskiego to bohaterowie narodowi.

Przy tym pierwszy prezes SN zdaje się nie zauważać, że jeśli już ktoś doprowadził do zamachu na TK i wymiar sprawiedliwości, to oprócz PiS właśnie Bogdan Święczkowski i Karol Nawrocki. Prezydent odmawia zaprzysiężenia pięciu sędziów wybranych przez Sejm. A nie chce przyjąć od nich ślubowania, bo PiS

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1561774341

straciłoby kontrolę nad sądem konstytucyjnym. Święczkowski zaś nie chciał dopuścić sędziów do orzekania, mimo że ci złożyli ślubowanie wobec prezydenta. A już absurdalne są wywody Kapińskiego o utracie suwerenności i niepodległości przez Polskę w wyniku wyroków wydawanych przez międzynarodowe trybunały.

Kukiełka skompromitowanej władzy

Stając po stronie PiS, Zbigniew Kapiński walczy także o swój interes. Jak zauważył prof. Michał Romanowski, ten interes polega na tym, „że Trybunał Konstytucyjny, który w tej chwili zaczął działać, będzie miał zdolność dokonania oceny m.in. ustaw, które za czasów poprzedniej koalicji Zjednoczonej Prawicy doprowadziły do tego, że pan Kapiński został sędzią Sądu Najwyższego".

Otóż w 2022 r. (jako legalny sędzia Sądu Apelacyjnego w Warszawie) Kapiński przystąpił do zorganizowanego przez neo-KRS konkursu na wakat w Sądzie Najwyższym. Było to już po tym, gdy przejęta bezprawnie przez PiS Krajowa Rada Sądownictwa została wyrzucona z Europejskiej Sieci Rad Sądownictwa, a Europejski Trybunał Praw Człowieka i Trybunał Sprawiedliwości UE oraz Naczelny Sąd Administracyjny i Sąd Najwyższy zakwestionowały jej legalność, a co za tym idzie, legalność nominacji sędziowskich. Zgodnie z orzecznictwem międzynarodowych trybunałów sędziowie powołani przez politycznie uzależnioną neo-KRS nie dają gwarancji bezstronności, a składy orzekające z ich udziałem nie są sądem w rozumieniu prawa UE. Kapiński był więc świadomy tego, że uczestniczy w nielegalnym procederze i będzie nielegalnym sędzią SN.

W październiku 2022 r. Zbigniew Kapiński został powołany przez Andrzeja Dudę do SN, a już niecałe pół roku później prezydent wskazał go na prezesa Izby Karnej SN w miejsce legalnego sędziego Michała Laskowskiego.

„Nie pamiętam takiej sytuacji w historii Sądu Najwyższego, żeby kandydat, który jest niespełna rok sędzią Sądu Najwyższego, zostawał prezesem izby, i to z poparciem pewnej wyodrębnionej części jej sędziów. To nasuwa przypuszczenie, że jest to typowo polityczna decyzja, jakby wpisująca się w tę »dobrą zmianę«, która ani w Sądzie Najwyższym, ani w sądownictwie, ani w ogóle w wymiarze sprawiedliwości niczego dobrego nie przyniosła", mówił sędzia Laskowski. Ta wyodrębniona część sędziów, o której wspomniał ustępujący prezes Izby Karnej SN, to zainstalowani przez PiS w Sądzie Najwyższym neosędziowie.

Święczkowski nie ma kwalifikacji, żeby być sędzią, bo brakuje mu „nieskazitelnego charakteru". To on odpowiada za śmierć Barbary Blidy.

Kapiński szybko zaczął spłacać polityczny dług. Gdy w grudniu 2023 r. posłowie PiS Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik zostali prawomocnie skazani na więzienie za nadużycie władzy w CBA, marszałek Sejmu Szymon Hołownia wydał postanowienia stwierdzające wygaśnięcie ich mandatów. Skazani politycy nie zgodzili się z wyrokiem sądu (twierdzili, że zostali skutecznie ułaskawieni przez Andrzeja Dudę w 2015 r., a więc jeszcze przed wydaniem prawomocnego wyroku) i złożyli odwołania do SN, bezpośrednio i za pośrednictwem marszałka Sejmu.

Chodziło o to, żeby trafiły one do nielegalnej i obsadzonej przez stronników PiS Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. Gdy wniosek Kamińskiego znalazł się jednak w Izbie Pracy SN, wkroczył Kapiński. Zastępując pierwszą prezes SN Małgorzatę Manowską, wydał zarządzenie, że sprawą byłego szefa CBA ma się zająć IKNiSP. Oczywiście neosędziowie uchylili decyzję marszałka Hołowni o wygaśnięciu mandatów Kamińskiego i Wąsika. Wprawdzie nie miało to już żadnego znaczenia, ale upolitycznieni sędziowie pokazali swoim protektorom z PiS, że ci zawsze mogą na nich liczyć. Za przekierowanie sprawy Kamińskiego do IKNiSP Kapiński usłyszał zarzuty dyscyplinarne.

Kolejny raz Kapiński okazał bezwzględną lojalność wobec PiS, gdy z dwoma innymi neosędziami znalazł się w składzie orzekającym, który stwierdził, że Dariusz Barski, niedoszły poseł PiS, świadek na ślubie Zbigniewa Ziobry i ojciec chrzestny jego syna, jest legalnym prokuratorem krajowym. Przypomnijmy: Ziobro powołał Barskiego na prokuratora krajowego w 2022 r. w miejsce Bogdana Święczkowskiego, który został oddelegowany przez obóz władzy do TK. Barski od maja 2010 r. był na prokuratorskiej emeryturze (w stan spoczynku przeszedł, mając zaledwie 42 lata). W styczniu 2024 r. minister Adam Bodnar uznał, posiłkując się opiniami prawnymi, że Ziobro przywrócił przyjaciela do pracy w prokuraturze na podstawie nieobowiązujących przepisów, i usunął go z funkcji prokuratora krajowego. Oczywiście Barski, prezydent Andrzej Duda i politycy PiS nie uszanowali decyzji ministra sprawiedliwości. Ale mając kwit podpisany przez neosędziów, skompromitowany obóz władzy mógł krzyczeć o bezprawiu pod rządami Donalda Tuska.

Jako prezes Izby Karnej SN Zbigniew Kapiński wydawał zarządzenia, które miały doprowadzić do wyeliminowania wniosków prokuratury o wyłączenie neosędziów ze składów orzekających. Według wyroków trybunałów europejskich tacy prawnicy nie tworzą legalnych sądów i nie gwarantują prawa do legalnego procesu. Strony postępowań wielokrotnie zaskarżały wyroki wydane przez neosędziów do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, a ten je uchylał i przyznawał obywatelom odszkodowania, wypłacane z budżetu państwa (dotychczas wypłacono ponad 6,5 mln zł). Ale to nie koniec, bo w kolejce do rozpatrzenia przed ETPCz jest niemal tysiąc spraw,

eprasa.pl 1561774341

a odszkodowania mogą sięgać nawet kilkudziesięciu milionów złotych.

Zdaniem grupy legalnych sędziów SN Kapiński, wydając zarządzenia, dopuścił się przestępstwa, bo naruszył prawa stron do rzetelnego procesu przed niezależnym i bezstronnym sądem. Zawiadomienie prawników trafiło do prokuratury. „Przesłuchano zawiadamiających w charakterze świadków oraz zgromadzono dokumentację obejmującą zarządzenia wydawane przez kierującego Izbą Karną Sądu Najwyższego, jak również rozstrzygnięcia podejmowane na ich podstawie w sprawach dotyczących wniosków o wyłączenie sędziów. Analiza zgromadzonego materiału dowodowego doprowadziła do powstania uzasadnionego podejrzenia popełnienia przestępstwa określonego w art. 231 par. 1 k.k. (przekroczenie uprawnień – przyp. A.S.)”, poinformowała w czerwcu br. Prokuratura Krajowa.

•

Jednak Kapiński może spać spokojnie. Ponieważ SN jest pod kontrolą jego i innych neosędziów, krzywda mu się nie stanie i nie straci immunitetu. Zabiegi pierwszego prezesa SN o uratowanie Bogdana Święczkowskiego nie skończyły się na bohaterskiej przepychance z sędzią Anną Korwin-Piotrowską. Kapiński chciał zwołać Zgromadzenie Ogólne SN, by przyjąć uchwałę potępiającą rząd Donalda Tuska, ale zabrakło kworum, bo legalni sędziowie stanęli okoniem. Niezrażony zwołał więc Kolegium Sądu Najwyższego (czyli pisowskich stronników), a towarzystwo uchwaliło pozbawiony mocy prawnej „stanowczy sprzeciw wobec działań podważających konstytucyjne zasady funkcjonowania władzy sądowniczej, polegających w szczególności na odsuwaniu osób sprawujących funkcje w jej organach od wykonywania przysługujących im kompetencji, co nastąpiło bez wymaganej podstawy prawnej i z pominięciem ustawowych procedur”.

Potem Kapiński zaskarżył w SN zarządzenie sędzi Korwin-Piotrowskiej o zawieszeniu w czynnościach Bogdana Święczkowskiego i jego zastępcy Bartłomieja Sochańskiego. Jednak nawet nielegalna Izba Odpowiedzialności Zawodowej SN orzekła, że to nie jest sprawa dla niej, ponieważ „zakres kognicji Izby Odpowiedzialności Zawodowej nie obejmuje sędziów Trybunału Konstytucyjnego”. Niezrażony Kapiński przekazał sprawę zaufanej neosędzi Marii Szczepaniec, prezesce IOZ, a ta powołała odpowiednio dobrany trzyosobowy skład, który uchylił decyzję IOZ, by uchylić zarządzenie sędzi Korwin-Piotrowskiej (sic!).

Mając taki kwit, Święczkowski próbował dostać się do budynku TK, ale odbił się od płotu. Wrócił do swojego mieszkania w towarzystwie Stanisława Piotrowicza, Jarosława Wyrembaka oraz Bartłomieja Sochańskiego. Dołączył do nich Zbigniew Kapiński. „Co Pan robił w mieszkaniu Bogdana Święczkowskiego? Czy prawdą jest, że ustalał Pan z nim strategię obrony Trybunału Konstytucyjnego?” – na to pytanie pierwszy prezes SN też mi nie odpowiedział.

Andrzej Sikorski



eprasa.pl 1561774341

CZY GLIWICZANOM SKRADZIONO DEMOKRACJĘ?

Mateusz Cieślak



Katarzynie Kuczyńskiej-Budce udało się zrealizować oryginalny pomysł: na prestiżowej ulicy Zwycięstwa spowolniono ruch poprzez wymuszenie „meandrowania". Nz. briefing na temat przebudowy ulicy, 4 sierpnia 2026 r.

Czy istnieje związek pomiędzy odpaleniem granatnika przez komendanta głównego policji w Warszawie a referendum w sprawie odwołania prezydentki Gliwic? Jak najbardziej.

Gliwice od Warszawy dzieli kilkaset kilometrów. Gen. Jarosław Szymczyk wystrzelił z granatnika w grudniu 2022 r. Z kolei inicjatorzy odwołania Katarzyny Kuczyńskiej-Budki z funkcji prezydenta Gliwic wystrzelili w jej kierunku wnioskiem o przeprowadzenie referendum w październiku br.

Głowica odpalona w 2022 r. przez gen. Szymczyka nie wyleciała poza mury Komendy Głównej Policji. Przed uderzeniem w przeszkodę nie zdążyła się uzbroić, więc nie eksplodowała. Sam wystrzał spowodował uszkodzenia pomieszczeń na trzech kondygnacjach budynku, doprowadził do obrażeń u jednego pracownika komendy, a komendanta głównego na pewien czas pozbawił słuchu. Referendum odpalone w Gliwicach również nie eksplodowało. Rozbroił je komisarz wyborczy w Katowicach, odrzucając ponad 7 tys. podpisów złożonych wraz z wnioskiem o przeprowadzenie referendum. Zabrakło więc wymaganej przez prawo liczby podpisów.

Sprawa głowicy ma jednak ciąg dalszy. Generał „Granatnik" usłyszał zarzuty posiadania broni bez wymaganego zezwolenia oraz nieumyślnego sprowadzenia zdarzenia zagrażającego życiu i zdrowiu wielu osób oraz mieniu w wielkich rozmiarach. Jego proces ruszył we wrześniu br. Sprawa referendum też będzie miała ciąg dalszy. Mecenas Robert Dopierała, twarz tego przedsięwzięcia, zapowiedział zaskarżenie postanowienia komisarza wyborczego do wojewódzkiego sądu administracyjnego, notabene z siedzibą właśnie w Gliwicach. Piłka, by nie rzec głowica, w grze.

Katarzyna Kuczyńska-Budka prezydentką Gliwic jest dopiero pierwszą kadencję. Mówi o sobie „prezydentka", więc i my się tego trzymamy. Swojego kontrkandydata, ówczesnego wiceprezydenta miasta, pokonała dopiero w drugiej turze o włos. Oddano na nią 540 głosów więcej niż na niego.

Trzęsienie ziemi

To było prawdziwe trzęsienie ziemi, odczuwalne daleko poza Gliwicami. Przez kilkadziesiąt lat miastem rządził Zygmunt Frankiewicz. Dziś jest senatorem, a schedę po nim przejął jego zastępca Adam Neumann. Z kolei z Kuczyńską-Budką rywalizował zastępca Neumanna, Mariusz Śpiewok. Za rządów Frankiewicza i jego obozu miasto rozkwitło. Jest piękne i bogate, toteż trudno było znaleźć coś, do czego można by się przyczepić. Ale Katarzyna Kuczyńska-Budka coś takiego znalazła. Krytykowała poprzednie władze Gliwic za to, że nie potrafiły wybudować nowego szpitala. Obecny działa w budynkach pamiętających jeszcze niemieckie czasy. Mówiła, że nowy szpital wybuduje szybko i sprawnie. To była jej główna obietnica wyborcza.

Poprzednie władze Gliwic zostawiły następczyni gotowy projekt nowego szpitala miejskiego. Na przygotowanie dokumentacji wydano ponad 5,6 mln zł. Ale Katarzyna Kuczyńska-Budka postanowiła uszczęśliwić Gliwiczan szpitalem znacznie większym. Wręcz gigantem. Zamiast miejskiego miał powstać jeden z większych szpitali w Polsce. Nie na 400, lecz na ponad 700 łóżek. Wybudować go miał Śląski Uniwersytet Medyczny. Koszt budowy szacowano na 2,3 mld zł.

FOT. KARINA TROJOK/DZIENNIK ZACHODNI POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 1561774341

Był tylko jeden drobny problem: skąd wziąć 2,3 mld zł? Śląski Uniwersytet Medyczny takich pieniędzy nie miał. Miało je dać Ministerstwo Zdrowia. Tyle że ministerstwo też ich nie miało. Szpitalom brakuje pieniędzy na leczenie ludzi, a w Gliwicach zamierzano wybudować jedną z największych placówek w kraju. Za pieniądze rządowe. Na oficjalnej stronie gliwickiego magistratu co rusz pojawiały się hurraoptymistyczne informacje o krokach przybliżających nas do budowy tego giganta. Tylko w czerwcu ub.r. takich wiadomości było aż sześć. W listopadzie ub.r. informowano, że formalne przygotowania do budowy są zaawansowane.

Potem komunikaty zamarły. A co się stało z gotowym projektem szpitala miejskiego, za który Gliwiczanie zapłacili ponad 5,6 mln zł? Przekazano go Nysie. Może więc dzięki Katarzynie Kuczyńskiej-Budce szybciej nowego szpitala doczekają się mieszkańcy Nysy niż Gliwic. W maju Ministerstwo Zdrowia „zabezpieczyło" na ten cel pół miliarda złotych.

Gigantyczna awantura

Wróćmy jednak do gliwickiego giganta. Ów szpital uniwersytecki miał nosić nazwę Centrum Chorób Cywilizacyjnych. Gdy wyszło na jaw, że miały się w nim znaleźć kliniki Śląskiego Uniwersytetu Medycznego przeniesione z Zabrza, Bytomia i Katowic, zrobiła się afera. Szczególnie w Zabrzu, gdzie trwała wówczas kampania przed referendum w sprawie odwołania tamtejszej prezydentki Agnieszki Rupniewskiej.

Awantura biła mocno w Rupniewską, która jak Budka należy do Koalicji Obywatelskiej. Toteż Śląski Uniwersytet Medyczny wraz z władzami Zabrza ogłosił budowę nowego kampusu za 300 mln zł. Przyjrzyjmy się jednak finansowym podstawom tych akrobacji planistycznych.

8 sierpnia 2025 r. opublikowano wyniki kontroli przeprowadzonej przez Ministerstwo Zdrowia w Śląskim Uniwersytecie Medycznym. Wykazała ona poważne nieprawidłowości w gospodarce finansowej uczelni, w tym naruszenia przepisów prawa. Przez niemal dwa miesiące 2023 r. uczelnia nie miała wymaganej prawem podstawy do wydatkowania pieniędzy. Nieprawidłowości dotyczyły także księgowości, sprawozdawczości oraz nadzoru nad finansami.

Z roku na rok pogłębiały się straty uczelni. W 2023 r. było to 16 mln zł, a rok później już 20 mln zł. Kontrolerzy nie dopatrzyli się skutecznych działań naprawczych.

I oto Ministerstwo Zdrowia miałoby powierzyć ponad 2 mld zł uczelni, której gospodarkę finansową samo tak fatalnie oceniło. W dodatku w sytuacji, gdy nie było w stanie załatać dziury w budżecie NFZ. Trzeba było sporej dozy optymizmu, by wierzyć w powodzenie tych przedsięwzięć. Przedstawię swoją teorię na temat źródła tego optymizmu.

Katarzyna Kuczyńska-Budka miała potężnego sojusznika politycznego, a był nim jej mąż. Przypomnijmy, że Borys Budka przez pewien czas stał na czele Platformy Obywatelskiej. Gdy żona obejmowała władzę w Gliwicach, zasiadał w rządzie Donalda Tuska. Był ministrem aktywów państwowych. Piastował więc jedno z najważniejszych stanowisk w rządzie, a jego wpływy polityczne były niemałe. Może stąd brała się wiara w to, że dla Gliwic znajdą się w Warszawie pieniądze na wielką lecznicę, choć inne szpitale toną? Tyle że Borys Budka wkrótce przestał być ministrem. Został europarlamentarzystą i zajmuje się rządzeniem już nie tylko Polską, lecz całą Europą.

Katarzyna Kuczyńska-Budka prezydentką Gliwic jest pierwszą kadencję. Kontrkandydata pokonała w drugiej turze 540 głosami.

Meandrowanie, totem i Manhattan

Gigantyczny szpital to niejedyna wielka wizja Katarzyny Kuczyńskiej-Budki. Gliwice miały też mieć swój mały Manhattan. W centrum miasta, nieopodal dworca kolejowego, miały stanąć dwa stumetrowe wysokościowce. Prezydentka była orędowniczką tego pomysłu. Nie podobał się on jednak części mieszkańców. Pojawiły się pytania o wpływ tak wielkich budowli na otoczenie i o to, jak z dodatkowym ruchem samochodowym poradzą sobie już dziś zatłoczone ulice. Podczas sesji rady miasta, na której omawiano temat, prezydentkę poniosły emocje. Nie pomogło. Nawet część radnych z jej obozu politycznego wstrzymała się od głosu.

O ile gliwicki Manhattan na razie pozostał na papierze, o tyle na ulicy Zwycięstwa udało się pani prezydent wprowadzić w życie dość oryginalny pomysł. Ulica Zwycięstwa to jedna z najpiękniejszych arterii w całej aglomeracji śląsko-zagłębiowskiej. Dla Gliwic jest ulicą o wyjątkowym prestiżu. Prowadzi od dworca kolejowego, wybudowanego jeszcze w czasach niemieckich, do zabytkowej starówki. Otóż z tej ulicy, prostej jak strzała, zaprojektowanej z niemiecką precyzją, zrobiono serpentynę. W niektórych miejscach na jezdni ustawiono platformy wypoczynkowe z ławkami i donicami. Na jezdni wymalowano linie, zmuszając jadących do ciągłego kręcenia kierownicą.

Nazywając to „meandrowaniem", Katarzyna Kuczyńska-Budka tłumaczyła radnym: „Meandrowanie jest najskuteczniejszą metodą spowalniania ruchu". Jednocześnie podzieliła się z nimi interesującym spostrzeżeniem natury socjologicznej: „Gliwiczanie są mocno konserwatywni i cenią szybką jazdę".

Prezydentka postanowiła również obdarować Gliwiczan nowym symbolem miasta. W czerwcu ub.r. uroczyście odsłoniła rzeźbę przedstawiającą rękę ze sterczącym ku niebu kciukiem. Mieszkańcy dowiedzieli się, że jest to totem. „To znak, symbol nowej tożsamości Gliwic", oznajmiła prezydentka. A przecież Gliwice mają już wieżę Radiostacji Gliwickiej. To najwyższa drewniana konstrukcja na świecie. No ale drewniana wieża to jednak nie to samo co totem – sterczący kciuk.

eprasa.pl 1561774341

Granatnik i piłka

Wróćmy do gen. Szymczyka. W czerwcu 2024 r. znalazł się on w radzie nadzorczej Piasta Gliwice. Katarzyna Kuczyńska-Budka tłumaczyła, że to nie ona, lecz mniejszościowy akcjonariusz klubu wskazał generała do rady nadzorczej. Gdy jednak w Gliwicach rozpętała się kolejna awantura, okazało się, że prezydentka potrafi tupnąć nogą. Zwróciła się do mniejszościowego akcjonariusza, by wymienił Szymczyka na kogoś innego. Ostatecznie generał sam zrezygnował. Jego kariera w gliwickiej piłce nożnej trwała raptem kilka dni.

Kroplą, która przelała czarę referendalnej goryczy, była zmiana hasła promocyjnego Gliwic. Znany gliwicki adwokat Robert Dopierała postanowił odnieść się do sposobu rządzenia miastem. Swoje uwagi miał przedstawić podczas czerwcowej sesji absolutoryjnej rady miasta. I wtedy wybuchła sensacja. Dopierała oznajmił z mównicy, że zamierzał powiedzieć coś zupełnie innego, niż za chwilę powie. Oto bowiem na schodach ratusza prezydentka miała go nakłaniać, by nie zabierał głosu. Miała także wspomnieć o zawiadomieniu organów adwokatury. Mecenas odebrał to jako próbę zastraszenia.

Jak mi później powiedział, doszedł wówczas do wniosku, że tej prezydentury nie ma już co naprawiać. Kuczyńska-Budka nie otrzymała od radnych wotum zaufania, a w sierpniu ruszyła zbiórka podpisów pod wnioskiem o przeprowadzenie referendum w sprawie jej odwołania.

Szpitalom brakuje pieniędzy na leczenie ludzi, a w Gliwicach zamierzano wybudować jedną z największych placówek w kraju.

Podpisów pod wnioskiem zebrano znacznie więcej, niż wymagało prawo. Z kolei z sondaży wynikało, że większość Gliwiczan zamierzających wziąć udział w referendum zagłosuje za odwołaniem Katarzyny Kuczyńskiej-Budki. Prezydentka miała więc powody do niepokoju. Z nieoficjalnych informacji wynika, że szukała już znaczącego stanowiska w samorządzie województwa śląskiego.

Pesele zza grobu

Prezydentka mogła jednak odetchnąć z ulgą. Komisarz wyborczy w Katowicach Paweł Wysocki uznał za wadliwe ok. 40% podpisów. Z 18 075 podpisów pozostało 11 019. Do przeprowadzenia referendum potrzeba było 12 716.

Do przeprowadzenia referendum zabrakło 1697 podpisów.

Szczególne poruszenie wywołała informacja, że inicjatywę referendalną poparli nawet nieboszczycy. Na kartach poparcia znalazły się dane 245 osób zmarłych. Jak podkreśla mecenas Dopierała, nie wystarczyło pójść na cmentarz i pospisywać imiona i nazwiska z nagrobków. Trzeba było dysponować również numerami PESEL tych osób. Adwokat zastanawia się, skąd się wzięły te karty. Ma nadzieję, że tę zagadkę wyjaśni prokuratura, którą komisarz wyborczy zamierza zawiadomić. I tłumaczy, że przekazanie wraz z wnioskiem o referendum kart z podpisami zmarłych było sprzeczne z interesem inicjatorów referendum. Nie sposób odmówić mu racji co do tego ostatniego.

Ale to nie wyborcy z cmentarza przesądzili o losach referendum. Podpisy 2850 osób zakwestionowano z powodu innego lub niepełnego adresu zamieszkania. Wyobraźmy sobie, że ktoś przeprowadził się z jednego końca Gliwic na drugi, ale nadal głosuje w tym samym lokalu wyborczym co przed przeprowadzką. Podpisując się pod wnioskiem o przeprowadzenie referendum, podał swój faktyczny adres zamieszkania. I właśnie dlatego jego podpis mógł powędrować do kosza.

Według mecenasa Dopierały owe 2850 osób ma prawa wyborcze w Gliwicach. Mecenas zwrócił się do komisarza wyborczego, by ten jednoznacznie to potwierdził. Komisarz jednak uznał tę kwestię za nieistotną z prawnego punktu widzenia. Powołał się na przepisy Kodeksu wyborczego, wytyczne Państwowej Komisji Wyborczej i dotychczasowe orzecznictwo sądów.

Dopierała ma też zastrzeżenia do samego sposobu weryfikowania podpisów. Według niego nawet literówka w nazwie ulicy mogła zdyskwalifikować podpis, przy czym jeden z weryfikujących uznawał taki podpis za prawidłowy, a drugi nie. Mecenas zarzuca również niektórym pracownikom biura wyborczego, że w obecności członków komitetu referendalnego wypowiadali się o bezsensowności tej inicjatywy.

Do przeprowadzenia referendum zabrakło 1697 podpisów. Przypomnijmy, że z powodu niezgodności lub niekompletności adresów zakwestionowano ich aż 2850. Czy zatem Gliwiczanom skradziono demokrację? Teraz piłka, by nie rzec głowica, jest po stronie wojewódzkiego sądu administracyjnego.

Mateusz Cieślak

STOWARZYSZENIE KUŹNICA
POKOLENIA

KONFERENCJA NAUKOWA

Rola organizacji młodzieżowych w systemie Polski Ludowej i III RP W 50-lecie Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej

Kraków, 26 listopada 2026
godz. 10.00-14.00

Sala Miedziana Muzeum Krakowa
Rynek Główny 35 (Pałac Krzysztofory)

eprasa.pl 1561774341

PRZEMOC KARMI SIĘ CISZĄ

Zmiana zaczyna się od nadziei

Maciej Belowski

– Bardzo często osoby doświadczające przemocy dzwonią w dużym lęku, a jednocześnie z wątpliwościami: czy nie przesadzam, czy to na pewno przemoc, czy ponoszę jakąś część odpowiedzialności, czy nie zwariowałam. Bo często jest im to wmawiane – opowiada psycholożka Paula Klemińska, wieloletnia konsultantka i koordynatorka Ogólnopolskiego Pogotowia dla Osób Doznających Przemocy Domowej Niebieska Linia prowadzonego przez Stowarzyszenie Niebieska Linia.

Skala wątpliwości znajduje odzwierciedlenie w liczbach. W 2025 r. policja odnotowała 91 330 osób doznających przemocy domowej: 50 767 kobiet, 11 353 mężczyzn oraz 29 210 małoletnich. Przemoc stosowało 60 889 osób, w tym 52 424 mężczyzn, prawie 25 tys. sprawców było pod wpływem alkoholu (druk sprawozdawczy policji, formularz III/8 „Sprawozdanie z podjętych przez policję działań wobec przemocy domowej dotyczące procedury »Niebieskie Karty«", stan na 6 stycznia 2026 r.). To jednak tylko ułamek rzeczywistości, przytoczone dane dotyczą wyłącznie przypadków objętych policyjną procedurą „Niebieskie Karty".

Warto w tym miejscu wyjaśnić: najbardziej znane Niebieskie Linie są dwie. To niezależne organizacje o wspólnych korzeniach: Stowarzyszenie Niebieska Linia, które prowadzi całodobowe ogólnopolskie pogotowie (800 120 002), oraz Niebieska Linia Instytutu Psychologii Zdrowia (IPZ), przy której działa poradnia, 116 123. Obie są często pierwszym kontaktem dla osoby pokrzywdzonej: pracujący tam ludzie wysłuchają, doradzą i wskażą, gdzie iść dalej. W każdej zostanie nam udzielona pomoc.

Wstyd, lęk i poczucie winy

Po pomoc telefoniczną rzadko sięga się z pewnością, że to decyzja słuszna. Wahanie wynika z mechanizmu przemocy, która najczęściej nie jest ciągła. Klemińska opisuje cykl, który zna wiele osób doznających przemocy: narastanie napięcia, faza ostrej przemocy, a potem tzw. miesiąc miodowy. – To faza, w której wiele osób stosujących przemoc przeprasza, obiecuje poprawę, deklaruje, że zgłosi się na terapię. Może być niebezpieczna, bo osoby doznające przemocy wycofują się wtedy z działań, dają kolejną szansę, karmią nadzieję, że to się jakoś samo ułoży.

Do organizacji osoby pokrzywdzone zwykle dzwonią po fazie ostrej przemocy, choć nie zawsze – część z nich dopiero przygotowuje się do zmiany i układa plan ewakuacyjny. O barierach na tej drodze mówi Maja Kuźmicz, kierowniczka Niebieskiej Linii IPZ, psycholożka i superwizorka. Pierwszą przeszkodą bywa to, że osoby, które doznają przemocy, nie zdają sobie z tego sprawy. – Żyją tak od wielu lat, a cykl przemocy polega na naprzemienności faz, od ostrej przemocy do miodowego miesiąca, i podporządkowywaniu sobie osoby pokrzywdzonej do tego stopnia, że jedynym punktem odniesienia jest człowiek, który stosuje przemoc. Do tego dochodzą wstyd, lęk i poczucie winy, bo sprawca przerzuca odpowiedzialność i poniża. Często też powtarza: „Beze mnie nic nie znaczysz, nie utrzymasz się". Wreszcie reakcje otoczenia: „Co zrobisz sama?", „Wstyd, jak się rozstaniecie".

Do pogotowia można zadzwonić, nawet nie mając planu ucieczki i bez pewności, że „jest już wystarczająco źle". Paula Klemińska podkreśla: – Można zadzwonić

„Co dzieje się w domu, zostaje w domu" – to przekonanie wciąż jest żywe, choć na szczęście słabnie.

zupełnie spontanicznie, dopiero układając sobie w głowie, czego się chce i czego się potrzebuje. Nie trzeba być specjalnie przygotowanym. Wystarczy po prostu zadzwonić.

Konsultanci pogotowia pytają, czego dzwoniąca osoba potrzebuje, co, chociażby niewielkiego, można

ILUSTRACJA SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1561774341

zrobić na początek i kto już ją wspiera. Klemińska mówi, że ta praca skupia się na nadziei. – Wszystkie osoby dzwoniące do nas to osoby, które przeżyły i przetrwały. Są niezwykle wytrzymałe, odważne, często bardzo kreatywne. Chcemy, żeby zobaczyły się w innym świetle, nie tylko tak, jak przedstawia je osoba stosująca przemoc.

Zmowa milczenia

Zanim ktoś sięgnie po słuchawkę, musi się przebić przez milczenie wokół siebie. „Co dzieje się w domu, zostaje w domu" – to przekonanie wciąż jest żywe, choć na szczęście słabnie. Maja Kuźmicz pracuje w Niebieskiej Linii IPZ od ponad 20 lat i widzi różnicę. – Jesteśmy bardziej skłonni reagować, nazywać przemoc przemocą, pytać, czy ktoś potrzebuje pomocy. Przemoc nie jest zjawiskiem dotyczącym nizin społecznych. Kiedyś uważano, że to problem rodzin z bezrobociem czy uzależnieniem. A ona ma miejsce w każdej grupie społecznej.

Maja Kuźmicz: Kiedyś uważano, że przemoc to problem rodzin z bezrobociem czy uzależnieniem. A ona ma miejsce w każdej grupie społecznej.

W danych Ogólnopolskiego Pogotowia Niebieska Linia widać tę znaczącą rolę świadków. W czerwcu 2025 r. przeprowadzono 1631 rozmów; wśród dorosłych dzwoniących 73% stanowiły kobiety, a 24% rozmów prowadzono ze świadkami przemocy. W przypadku 67 nowych interwencji aż 70% zgłoszeń pochodziło od świadków i tylko 14% od samych osób doznających przemocy (raport z działalności pogotowia za czerwiec 2025 r.).

Paula Klemińska dodaje, że zmieniła się też świadomość sytuacji dzieci. – Osoby, które się z nami kontaktują, znacznie częściej rozumieją, że dzieci wychowujące się w rodzinie z przemocą, obserwujące tę przemoc, ponoszą ogromne skutki psychologiczne.

Równocześnie zmienia się forma przemocy. Dochodzi technologia: śledzenie, podsłuchiwanie, rozpowszechnianie zdjęć i materiałów drogą elektroniczną. Struktura zgłoszeń w pogotowiu pozostaje jednak od lat podobna: najczęściej dotyczy przemocy psychicznej, potem fizycznej, ekonomicznej i zaniedbania. Najrzadziej zgłaszana jest przemoc seksualna, co według Klemińskiej nie znaczy, że jest najrzadsza. – Raczej myślę, że to wciąż temat tabu. Nie każdy jest gotowy w pierwszej rozmowie z obcą osobą podejmować tak intymne kwestie.

Milczenie ma swój rachunek – zarówno dla rodziny, jak i dla społeczeństwa. Maja Kuźmicz przekonuje, że przemoc kosztuje nas wszystkich, bo terapie, interwencje służb i procesy są finansowane ze środków publicznych, a opublikowany w kwietniu 2025 r. raport „(Nie)widzialne koszty przemocy domowej w Polsce" (przygotowany wspólnie przez SGH i Niebieską Linię IPZ) pokazuje, że wiele kosztów ponoszą prywatnie osoby doznające przemocy i ich rodziny. Jak podkreśla psycholożka, im szybciej przemoc zostaje zatrzymana, tym mniejsze są koszty ekonomiczne, zdrowotne i emocjonalne. Autorzy raportu szacują koszt obsługi jednej procedury Niebieskiej Karty na 5,2-5,5 tys. zł.

Państwo nie zna skali

Skoro przemoc tyle kosztuje, warto zapytać, co państwo o niej wie. Zdaniem Mai Kuźmicz brakuje rzetelnych danych. – Nie wiem, jaka jest skala zjawiska, bo nasz kraj nie gromadzi informacji, które pozwalałyby o tym rzetelnie mówić. Dane w poszczególnych resortach są niepełne, niewłaściwie agregowane. Planujemy budżety i działania, nie znając skali – trzeba to powiedzieć wprost.

Warto przy tym zaznaczyć, że procesy i postępowania związane z przemocą domową często trwają bardzo długo. – Przemoc w postaci znęcania się jest przestępstwem, w myśl art. 207 Kodeksu karnego. Osoba, która uczestniczy w sprawach, zeznaje, ponownie odtwarza doświadczenia i wraca do nich emocjonalnie. Z perspektywy psychologicznej mogłaby być szybciej wyprowadzona z traumy, ale przewlekłe procedury nie pozwalają jej tego tematu domknąć – zwraca uwagę kierowniczka Niebieskiej Linii IPZ.

Wskazuje też, że pomoc psychologiczna i prawna muszą iść równolegle, ponieważ zabezpieczenia, izolacja sprawcy czy terminy wymagają działań osoby pokrzywdzonej, która często jest przerażona i zagubiona. W miejscach pomocowych powinien być dostępny i psycholog, i prawnik, a wsparcie powinno trwać miesiącami, nie tylko podczas pierwszej interwencji.

Maja Kuźmicz opisuje etapy tej drogi: – Najpierw jest psychoedukacja. Dowiedzenie się, w czym tkwię, jaki to mechanizm, co mogę zrobić. Potem decyzja, np. o separacji czy nakazie opuszczenia mieszkania przez sprawcę, i wytrwanie w niej, kiedy trzeba jeszcze opiekować się dziećmi, chodzić do pracy i uczestniczyć w procedurach. Najdłuższym procesem jest odbudowanie poczucia wartości i sprawczości w życiu.

Z jej słów wynika, że potrzebne są rzetelne dane, dostępni psycholodzy i prawnicy oraz współpraca służb. Ale brakuje czegoś jeszcze: – Mam wrażenie, że w podejściu decydentów nie widać należytej uważności i nadania problemowi społecznemu rangi, jaką powinien mieć.

Życie po przemocy

Za systemem i statystykami stoją konkretni ludzie. Jedną z takich osób jest Paulina (imię zmienione), matka kilkuletniej dziewczynki. W małżeństwie doświadczyła przemocy psychicznej i fizycznej. Zanim nazwała to przemocą, minęły lata. Na początku było jak w bajce: komplementy, kwiaty, a pierwsze „kocham cię" padło po tygodniu znajomości. Potem ślub, przeprowadzka z dala od rodziny i upragniona ciąża. Gdy urodziła córkę, a świat zamknęła

eprasa.pl 1561774341

pandemia, zaczęły się uwagi: że niczego dziecka nie uczy, że zrobiła za mało, że rodzinie lepiej za dużo nie mówić. – W domu nie latały talerze ani wyzwiska, ale w tym, co słyszałam od męża, brakowało podstawowego szacunku. Wszystkie moje próby dyskusji były „krytyką", za którą musiałam przepraszać – opowiada.

Gdy poszła do psychologa, sądziła, że problem leży w niej. Każda próba ratowania małżeństwa wywoływała jednak jeszcze gwałtowniejsze reakcje: ubliżanie, szantaż emocjonalny; raz był to pilot, który poleciał w kierunku jej twarzy. – Żałowałam, że siniak zrobił się od wewnętrznej strony ust, więc nikt w pracy nie miał szans zauważyć spuchniętej wargi. Ale wszystko, co złe, przeplatane było „kocham cię", kwiatami i wycieczkami, więc wciąż wydawało się, że jest o co walczyć.

Przełom przyszedł później, gdy przypadkiem trafiła na film o przemocy psychicznej. – Nagle okazało się, że wszystko, czego doświadczałam, pasuje do schematu i ma swoje nazwy: manipulacja, dewaluacja, gaslighting. Im większej liczbie osób opowiadałam o swojej codzienności, tym bardziej docierało do mnie, jak źle to wygląda.

Jednak największą motywacją do zmiany była myśl, że patrzy na to córka. – Wychowuje się w przemocowym domu i na tym będzie budować swoją wizję rodziny i relacji w ogóle – dodaje Paulina.

Psychoterapeuta pomógł jej zrozumieć, że „dobre dni" nie przekreślają doznanej krzywdy. Pomocy, głównie prawnej, szukała w ośrodkach wyspecjalizowanych w przemocy domowej, takich jak punkt interwencji kryzysowej, Centrum Praw Kobiet, Niebieska Linia czy miejski ośrodek pomocy rodzinie.

Paulina: Nagle okazało się, że wszystko, czego doświadczałam, pasuje do schematu i ma swoje nazwy: manipulacja, dewaluacja, gaslighting.

Znalazła tam zrozumienie i realne wsparcie w postaci konsultacji psychologicznych i prawnych. Miała nagrania i inne dowody przemocy; mężowi założono Niebieską Kartę. Największą jednak przeszkodą okazało się prawo. – Dopóki sąd nie wyda postanowienia w sprawie opieki nad córką, oboje mamy takie samo prawo decydować o jej miejscu zamieszkania. Miałam prawo się wyprowadzić, ale on miał takie samo prawo ją zabrać. Mimo posiadanych dowodów. To było za mało, by liczyć na zakaz zbliżania, a tym bardziej na realną szansę wygranej w procesie karnym o znęcanie się.

Gdy zaplanowała wyprowadzkę do rodziny, mąż był przygotowany – odebrał córkę pierwszy i był z kolegą, który wszystko nagrywał. Paulina zdołała odjechać z dzieckiem, ale po kilku dniach mąż pojawił się pod blokiem i zabrał córkę siłą. Paulina miesiącami widywała dziecko tylko pod jego nadzorem, aż do mediacji i porozumienia rodzicielskiego, po którym zaczęli opiekę naprzemienną. O szczęśliwym zakończeniu nie mówi.

– Ze związków z osobą przemocową się nie odchodzi, z nich się ucieka. Wspólne rodzicielstwo nie pozwala na całkowite zerwanie kontaktu, a to sprzyja przemocy poseparacyjnej. Ale ani ja, ani nikt w historiach, które słyszałam, nie żałował odejścia. Jakkolwiek byłoby źle, i tak jest o niebo lepiej.

Paula Klemińska mówi, że osoby, które po wyjściu z przemocy wracają do pogotowia, często chcą coś przekazać innym. – Nawet jeśli bardzo się boją i przez jakiś czas będzie trudno, życie po wyjściu z przemocy jest lepszym życiem. To uczucie wolności i bycie w miejscu, w którym nikt nie poniża i nikt nie straszy, daje ogromny komfort.

Tym, którzy tkwią w podobnej relacji, Paulina radzi, by rozmawiali z wieloma osobami i szukali wsparcia profesjonalistów, dopóki nie poczują się zaopiekowani. Zwraca się także do świadków: – Gdy masz choć cień podejrzenia przemocy domowej, masz prawo działać: zgłosić głośną awanturę na policję, podsunąć koleżance kontakt do punktu interwencji kryzysowej albo zadzwonić na Niebieską Linię i dowiedzieć się, jak pomóc.

– Przemoc karmi się ciszą, więc nie pozwalajmy, by wciąż miała pożywkę – kończy Paulina.

Maciej Belowski

GDZIE SZUKAĆ POMOCY

Numer	Kto odpowiada	Dla kogo
112/997	Numer alarmowy/policja	Bezpośrednie zagrożenie zdrowia lub życia
800 120 002	Ogólnopolskie Pogotowie dla Osób Doznających Przemocy Domowej Niebieska Linia	Osoby doznające przemocy i świadkowie; całodobowo, bezpłatnie
116 123 lub **22 668 70 00**	Niebieska Linia IPZ – poradnia dla osób w kryzysie emocjonalnym	Dorośli w kryzysie; bezpłatnie, anonimowo
116 111	Telefon zaufania Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę	Dzieci i młodzież; bezpłatnie, anonimowo
800 702 222	Centrum Wsparcia dla Osób Dorosłych w Kryzysie Psychicznym	Dorośli; całodobowo, bezpłatnie

eprasa.pl 1561774341



Bilbord reklamujący najnowszą cześć „GTA" w Warszawie.

Żniwa grypy GTA

Dlaczego świat zachorował na jedną grę

Kornel Wawrzyniak

19 listopada odbyła się premiera „Grand Theft Auto VI". Miliony ludzi wzięły wolne, część „zachorowała" na zawołanie. Tymczasem ekonomiści na całym świecie liczą straty. Jak gra wideo stała się kulturowym fenomenem, który wpływa na światowe gospodarki?

Epidemia grania

Jeśli w miniony czwartek w waszym miejscu pracy czy w rodzinie nagle ktoś „źle się poczuł", podejrzewajcie nie wirusa, tylko grę komputerową. Za oceanem ukuto na to zjawisko nazwę GTA flu, czyli grypa GTA. Polega na tym, że gracze – głównie mężczyźni, ale nie tylko – nie chcą stracić ani godziny premierowej zabawy, więc biorą urlop albo po prostu zgłaszają chorobę.

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że nie mogę teraz rozmawiać, bo gram w „GTA VI" – śmieje się w telefonie Marcin Goździeniak, współtwórca podcastu o muzyce i popkulturze „Synestezja". Rozmawiamy w czwartek rano, więc podpytuję Marcina o szczegóły jego dnia. – Umówiłem się z kumplem. Do północy w środę graliśmy jeszcze w poprzednią część. A potem odpaliliśmy szóstkę. Grałem do czwartej. Ale te cztery godziny jeszcze nie pozwoliły sprawdzić nawet w drobnym stopniu możliwości tej gry. Nie dziwię się, że była tak wyczekiwana. Ten kulturowy fenomen nie wziął się z samego marketingu. To po prostu świetna gra – podsumowuje Goździeniak.

Z badania firmy BambooHR wynika, że wolne w dniu premiery planowało 18% amerykańskich pracowników, a z pokolenia Z aż 32%. Połowa graczy przyznawała, że rozważa zwolnienie lekarskie zamiast urlopu. Analitycy szacowali, że w samych Stanach Zjednoczonych do pracy nie przyjdzie ok. 1,5 mln osób, a straty gospodarki mogą sięgnąć 1 mld dol. To czterokrotnie więcej niż przy premierze poprzedniej części w 2013 r., kiedy nieobecność 400 tys. pracowników kosztowała

eprasa.pl 1561774341

ok. 250 mln dol. W Wielkiej Brytanii wzięcie wolnego na 19 listopada zadeklarowało 65% dorosłych graczy, a fałszywe L4 miało rozważać niemal 900 tys. osób. Niektóre firmy po prostu skapitulowały przed premierą: Logitech, producent peryferiów do komputerów, ogłosił dla załogi Game Day, czyli dodatkowy dzień wolny przeznaczony wyłącznie na granie, a kanadyjski Edison Motors zamknął się całkowicie na dwa dni.

Nie inaczej jest w Polsce. Według raportu „GameTrack 2025" w gry wideo gra u nas 15,9 mln osób, z czego 74% to dorośli. Największy wzrost liczby wniosków urlopowych odnotowano w branży IT. Eksperci od absencji chorobowej bili na alarm, że pod koniec roku, gdy pula dni wolnych jest na wyczerpaniu, pokusa sięgnięcia po e-zwolnienie będzie wyjątkowo duża. Prezes ZUS Liwiusz Laska odpowiedział na to… żartem na LinkedInie. Ale warto przypomnieć: od 13 kwietnia 2026 r. obowiązują doprecyzowane zasady kontroli, a pracownik, który na L4 robi coś utrudniającego rekonwalescencję, traci zasiłek za cały okres zwolnienia. Samo granie w czasie prawdziwej choroby nie jest automatycznie przewinieniem, ale uczciwszą drogą pozostaje zwykły urlop.

Skąd ta gorączka? Gracze czekali na nową część 13 lat. Szacuje się, że produkcja kosztowała grubo ponad 1 mld dol. – to więcej niż najdroższe hollywoodzkie superprodukcje. Firma analityczna Newzoo przewiduje, że w pierwszym tygodniu gra znajdzie 37 mln nabywców, co przełoży się na 4,5 mld dol. przychodów. Dla porównania: „GTA V" sprzedała się do dziś w liczbie ok. 250 mln egzemplarzy i przyniosła rekordowe 8,5 mld dol. zysku. Tymczasem bijący rekordy popularności film „Avengers: Koniec gry" zarobił niecałe 3 mld dol. Nowa część „GTA" zarobiła jeszcze przed premierą za sprawą przedsprzedaży 1,45 mld dol.

Kulturowy fenomen

Wszystko zaczęło się w 1997 r. od pierwszej gry „Grand Theft Auto". Oglądana z lotu ptaka historia o gangsterskiej karierze od początku budziła oburzenie brutalnością. I tu ciekawostka: wydawca nie tylko się nie przestraszył, ale jeszcze wykorzystał skandal w kampanii reklamowej. Bo głośne potępienie to najlepsza reklama – lekcja, którą twórcy zapamiętali na dekady.

Przełom przyniosła „GTA III" (2001), pierwsza odsłona w pełnym trójwymiarze, a kolejne części – „Vice City" (opowieść o Miami lat 80.), „San Andreas", „GTA IV" i „GTA V" – robiły z serii coraz większe widowisko. Każda premiera dorzucała nowe kontrowersje: sceny przemocy, wątki seksualne, a w „GTA V" szczególnie krytykowaną scenę tortur. Tygodnik „Polityka" ocenił z tego powodu grę w skali 1-6 na 0. Kwalifikacja „18+" nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością, bo wśród graczy nie brakuje nastolatków (włącznie z piszącym te słowa, który w „GTA III" i „Vice City" grał jako dorastający chłopak).

CO WARTO WIEDZIEĆ O SERII „GTA"

1. Co znaczy tytuł? „Grand Theft Auto" to po angielsku kradzież samochodu. Pierwsza gra z 1997 r. dotyczyła właśnie gangsterskiej kariery opartej na kradzieżach aut.

2. Skromne początki. Serię stworzyło studio DMA Design, które dziś działa jako Rockstar North. Wydają ją Rockstar Games i Take-Two Interactive.

3. Radio zamiast ciszy. W grach jeździ się samochodem, słuchając wirtualnych stacji radiowych z prawdziwymi przebojami. Dla wielu to kultowy element gry. W najnowszej odsłonie didżejami są m.in. Bad Bunny i Lana Del Rey. W poprzedniej części audycje prowadzili Iggy Pop czy Kenny Loggins.

4. Droższe niż film. Budżet najdroższych filmowych hitów rzadko przekracza pół miliarda dolarów. Tymczasem „GTA VI" kosztowała ok. 2 mld dol.

5. Rekordzistka wśród gier. Poprzednia część, „GTA V" z 2013 r., znalazła do dziś ok. 250 mln nabywców.

Spór o „GTA" jest częścią starej jak świat debaty, czy brutalne gry wpływają na agresję dzieci i młodzieży. Od lat po każdej głośnej tragedii z udziałem młodego sprawcy wracają oskarżenia pod adresem gier, a „GTA" – jako symbol przemocy w wirtualnym świecie – bywa pierwsza na liście. Zdarzało się, że sprawcy zbrodni naśladowali to, co widzieli w grze, a po „GTA IV" w sieci modne stały się nagrania pokazujące coraz wymyślniejsze sposoby „egzekucji" wirtualnych postaci. Badacze nie są jednak zgodni, czy gry czynią kogoś agresywnym, czy raczej trafiają do ludzi, którzy już mają problem. Pewne jest jedno: „GTA VI" znów rozpali dyskusję, tym bardziej że – jak zauważają komentatorzy – granice naszej tolerancji są dziś inne niż 13 lat temu. Zapowiadana jako gangsterska ballada o współczesnych Bonnie i Clydzie, pełna brawury, na pewno nie będzie bajką dla najmłodszych.

Dlaczego miliony ludzi kochają tę serię? Bo to nie tylko strzelanie, ale przede wszystkim interaktywne kino: barwni bohaterowie, satyryczny obraz Ameryki, rozmach i dopracowanie świata, który wydaje się żywy. Seria dawno wyszła poza środowisko graczy. W Polsce nawiązania do niej słychać w rapie – do świata „GTA" odwoływali się tak popularni twórcy jak Taco Hemingway i Quebonafide. Dla pokolenia, które w nią grało, to wspólny kod kulturowy. W Elblągu pojawił się mural z bohaterami nowej gry, a krakowska marka MISBHV ubiera postacie w „GTA Online". Piłkarz Sebastian Szymański ze stambulskiego Fenerbahçe został zaś pokazany przez swój klub jak postać z gry – w żółtym garniturze na tle palm.

W serii ważną rolę odgrywają znane osoby. W jednej z odsłon, „Vice City Stories", w roli samego siebie wystąpił Phil Collins, a światowe gwiazdy użyczały głosów lub pojawiały się jako bohaterowie. Kultowa jest też muzyka – w grach jeździ się samochodem, słuchając wirtualnych stacji radiowych, które odtwarzają prawdziwe przeboje epoki, od disco i rocka z lat 80. po współczesny hip-hop. Dla wielu graczy to właśnie

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1561774341

radio jest najmilszym wspomnieniem. Wystarczy wyobrazić sobie podróż samochodem z ulubioną playlistą, tylko w świecie pełnym neonów, pościgów i czarnego humoru.

Mistrzowie marketingu i rzemiosła

Za serią stoi Rockstar Games, wydawca należący do koncernu Take-Two Interactive. Studio słynie z dwóch rzeczy: z perfekcyjnego marketingu i z wybitnego rzemiosła. Przed premierą „GTA VI" w miastach pojawiły się gigantyczne bilbordy. Firma poszła jednak o krok dalej. Najpierw wzorowała swoje Vice City na Miami. Następnie przy okazji premiery zaczęła zamieniać pierwowzór w Vice City – klub NBA Miami Heat we współpracy z Rockstar Games przekształcił halę Kaseya Center w stadion rodem z Vice City. Wszystko to w ramach jednorazowego wydarzenia A Night in Vice City podczas meczu z Milwaukee Bucks. Gracze MH mieli specjalne koszulki, a w strefie gastronomicznej pojawiły się restauracje fastfood znane z serii „GTA". Na stadionie widniał też napis „Welcome to Vice City" (Witaj w Vice City) widoczny z samolotów przelatujących nad miastem.

Gracze już 10 listopada mogli pobrać pliki gry, by w dniu premiery nie zablokować serwerów. Operatorzy szacują, że sama aktywacja gry wywoła ruch w sieci porównywalny z finałami piłkarskich mistrzostw świata. Do tego dochodzi umiejętne podsycanie napięcia: lata ciszy, wyczekiwane zwiastuny, memy w sieci. Nawet prezes Take-Two Strauss Zelnick żartował, że czwartek przejdzie do historii jako dzień masowych niedyspozycji.

Sam marketing jednak nie wystarczy – trzeba mieć towar. Rockstar to także „Red Dead Redemption II" (2018), western ceniony za fabułę, krajobrazy i mnóstwo szczegółów, który wielu uważa za jedno z największych osiągnięć w dziejach branży, oraz takie tytuły jak „Max Payne" czy „L.A. Noire". Wspólny mianownik to filmowa narracja i obsesyjna dbałość o detal.

Fenomen „GTA" trudno oddzielić od gatunku, który serię rozsławił: gier z otwartym światem. Zamiast przechodzić poziom po poziomie, gracz dostaje całe miasto – a często nawet stan – i sam decyduje, co robić: wypełnić zadanie, pojeździć bez celu, obejrzeć zachód słońca czy wywołać chaos. To jak różnica między filmem a wyprawą w nieznane. Otwarty świat daje poczucie wolności i swoistej prawdziwości, a każdy gracz opowiada potem inną historię.

Z tej formuły korzystają dziś najgłośniejsze produkcje, także polski „Wiedźmin 3". Ale to „GTA III" pokazała przed ponad dwiema dekadami, że tętniące życiem miasto może być placem zabaw. „GTA VI", rozgrywająca się w świecie inspirowanym Miami i klimatem Vice City, ma przesunąć tę granicę jeszcze dalej. Czy sprosta oczekiwaniom po 13 latach? Przekonamy się wkrótce, a ci, którzy w czwartek zostali „chorzy" w domu, już wam pewnie powiedzieli.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata pocztowa PRZEGLĄDU 2027

Jeden egzemplarz w prenumeracie 9 zł

- **I kwartał – 117 zł**
- **I półrocze – 234 zł**
- **cały rok – 468 zł**

Zamówienia można składać do 25 listopada 2026 r.

we wszystkich placówkach pocztowych lub u listonoszy albo drogą elektroniczną pod adresem: **sklep.poczta-polska.pl**



eprasa.pl 1561774341



Z Galicji Jan Widacki

Środowiska naukowe domagają się większych nakładów na naukę. Postulują, aby z budżetu przeznaczać na naukę nie jak dotąd 1% PKB, ale 3%. Podkreśla się przy tym, że budżet jednego tylko, wprawdzie wedle wszystkich rankingów najlepszego, Uniwersytetu Harvarda w USA jest raptem o niespełna jedną trzecią mniejszy niż budżet całej nauki polskiej. To prawda.

Prawdą jest też, że zarobki naukowców w Polsce nie tylko są znacznie niższe od uposażenia ich kolegów w innych krajach Unii Europejskiej, ale na dodatek są niekonkurencyjne w stosunku do zarobków w biznesie czy w wolnych zawodach w Polsce. Stypendia dla doktorantów z trudem pozwalają na przeżycie, więc najzdolniejsi absolwenci szkół wyższych z zasady nie wybierają kariery naukowej, a jeśli już się na nią decydują, próbują się realizować na uniwersytetach w krajach zachodnich.

Fundusze na granty Narodowego Centrum Nauki i podobnych instytucji również są stosunkowo niewielkie, a gospodarka, choć podobno już 20. w świecie, pozostaje za słaba, by finansować badania wdrożeniowe, nie mówiąc już o badaniach podstawowych.

To wszystko prawda. Ale nie cała. Od lat piszę i mówię, że stan naszej nauki zależy nie tylko od tego, ile pieniędzy państwo przeznacza na naukę, ale w równej mierze od tego, jak te środki są wydawane. A wydawane są fatalnie. Większość środków przeznaczonych na naukę pochłania fundusz płac marnej kadry naukowej, pracowników administracji i obsługi stu kilkudziesięciu uczelni publicznych. Prawie w co drugim powiecie jest publiczna uczelnia! Złośliwi twierdzą, że gdyby nakłady na naukę zwiększyć tak, jak się postuluje, trzykrotnie, to mielibyśmy uniwersytet w co drugiej gminie. Czy to wpłynęłoby na poziom nauki? Zdecydowanie tak. Tyle że ujemnie. Najlepsze polskie uniwersytety znalazłyby się wtedy w światowych rankingach nie w czwartej-piątej setce, jak dotychczas, ale zapewne ze dwie setki niżej.

W krótkim czasie doktorzy i doktorzy habilitowani na tych gminnych uniwersytetach zdominowaliby środowisko naukowe, a w ślad za tym gremia decydujące o nauce i jej rozwoju. Choć nie ma jeszcze gminnych uniwersytetów, a co najwyżej powiatowe, ten proces już się zaczął i nie będzie łatwo go zatrzymać. Nawet gdyby była taka wola. Mam podstawy sądzić, że nad tym procesem nikt już nie panuje. O przypadku obrony na Akademii Sztuki Wojennej pracy doktorskiej na temat więziennictwa, której promotorem był pilot nawigator, cała Polska dowiedziała się wyłącznie dlatego, że doktoryzował się znany polityk. Dowiedziała się cała Polska i co? Ano nic. Ostatnio na jednym z nowych uniwersytetów obroniono pracę doktorską na temat kontaminacji śladów kryminalistycznych na miejscu przestępstwa. Promotorem nie był żaden kryminalistyk ani medyk sądowy. Był nim specjalista od nauk o bezpieczeństwie (jaki jest zakres tych nauk?), autor prac o wojskowych operacjach specjalnych. Trzeba przyznać, że niektóre mają wyszukane i frapujące tytuły, np. „Współczesne ujęcie dyrektyw walki Tadeusza Kotarbińskiego” albo „W poszukiwaniu teorii operacji specjalnych”. Intrygujące, nieprawdaż? Ale z kryminalistyką niemające nic wspólnego. Recenzentami zaś było trzech innych panów, z których żaden nie ma w dorobku ani jednej pracy choćby pokrewnej kryminalistyce czy naukom sądowym. Sama praca doktorska na dobrej uczelni nie przeszłaby jako licencjacka.

Jeszcze raz o nauce i szkolnictwie wyższym

To nie jest odosobniony przypadek. Takich doktorów i doktorów habilitowanych dzięki hojności Rady Doskonałości Naukowej, która rozdaje uprawnienia do doktoryzowania i habilitowania na lewo i prawo, mamy już wielu. I z każdym miesiącem będziemy mieli więcej. Przecież to się będzie mnożyć w postępie geometrycznym! Naturalnie będzie ich przybywać w rozmaitych gremiach naukowych, z Radą Doskonałości Naukowej włącznie!

Nie wiem, jak to zatrzymać. Może najpierw trzeba przywrócić tzw. minima kadrowe, czyli wymóg posiadania odpowiedniej liczby profesorów i doktorów habilitowanych, aby uruchomić kierunek studiów, uzyskać prawo doktoryzowania, habilitowania. Taki wymóg był. Został zniesiony przez reformę ministra Gowina. Z całą pewnością trzeba zaostrzyć kryteria przyznawania uczelniom nazwy uniwersytet, a w przypadku niespełniania kryteriów – pozbawić prawa używania tej nazwy. Dziś nie jest to możliwe. Jeśli jakaś uczelnia raz uzyska prawo do nazwy uniwersytet, to ma prawo jej używać, choćby nie pracował tam już żaden profesor ani doktor habilitowany. Takich absurdów wynikających z megalomańsko nazwanej Konstytucją dla nauki ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce jest więcej. Może czas poważnie tę ustawę przeanalizować?

Może mi ktoś zarzucić, że piszę o sprawach interesujących wąskie grono Czytelników „Przeglądu”. Być może. Ale piszę właśnie dlatego, by problemem nauki i szkolnictwa wyższego zainteresować grono jak najszersze. Problemy nauki oraz szkolnictwa wyższego, a już zwłaszcza ich skutki, dotyczą nas wszystkich. Nawet jeśli tego nie odczuwamy bezpośrednio na co dzień. ■

eprasa.pl 1561774341

SPECJALNA OFERTA NA ŚWIĘTA

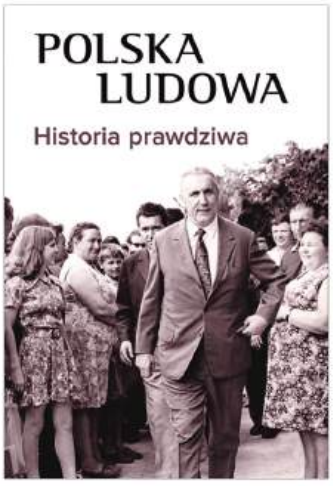

69 zł



79 zł



66 zł



78 zł



53 zł



85 zł



68 zł



52 zł

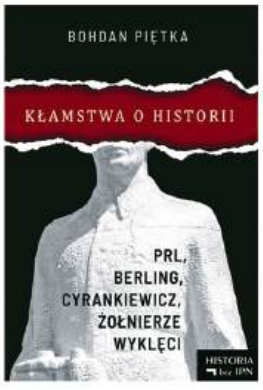

45 zł



50 zł

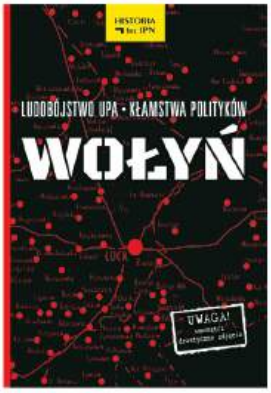

44 zł

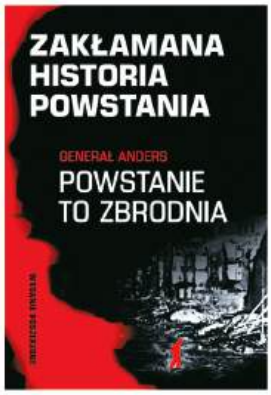

60 zł



70 zł



41 zł

eprasa.pl 1561774341

DOBRE KSIĄŻKI „PRZEGLĄDU"



79 zł



59 zł



67 zł

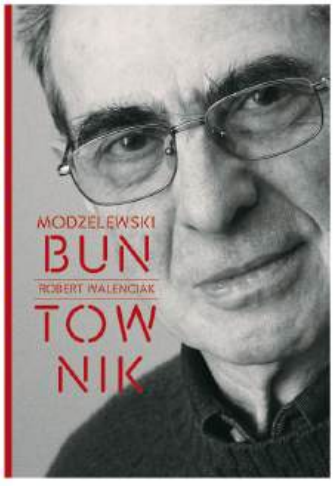

55 zł



75 zł

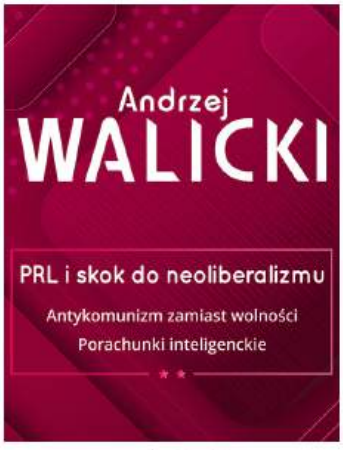

76 zł



77 zł



67 zł

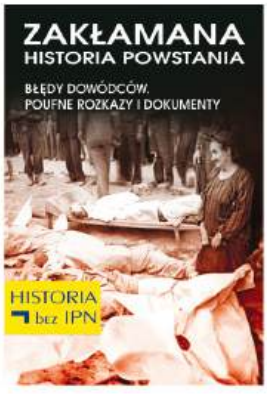

42 zł

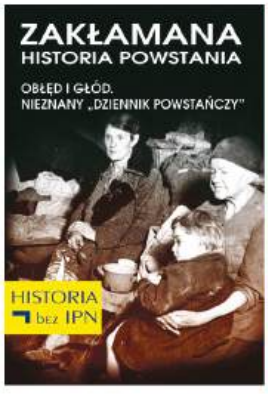

40 zł



34 zł

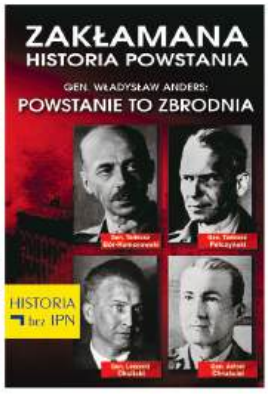

43 zł

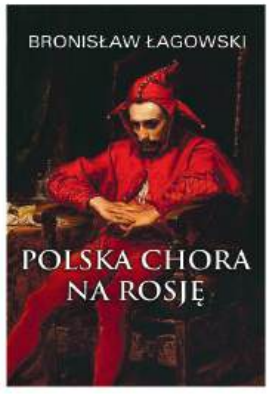

48 zł

eprasa.pl 1561774341



37 zł

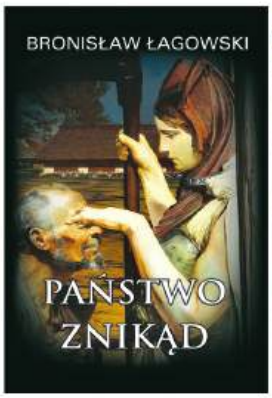

46 zł

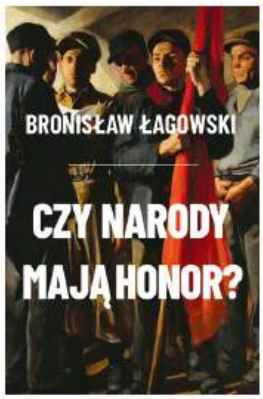

58 zł

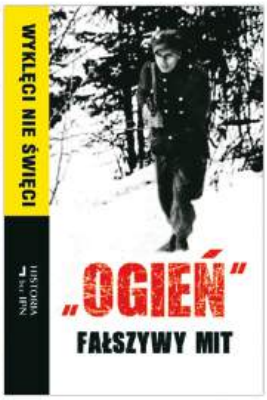

38 zł



35 zł

SPECJALNA OFERTA NA ŚWIĘTA

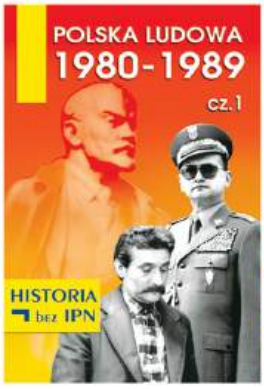

44 zł

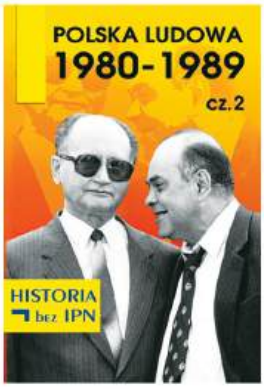

45 zł



29 zł



30 zł

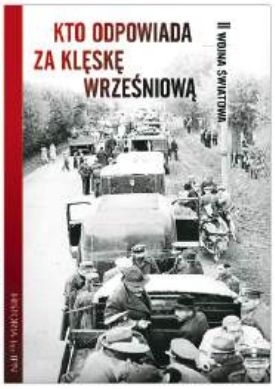

35 zł

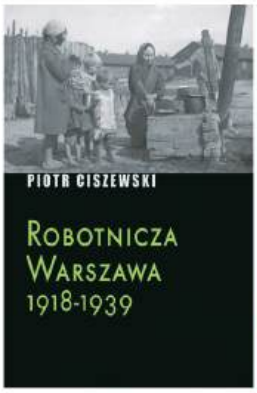

42 zł

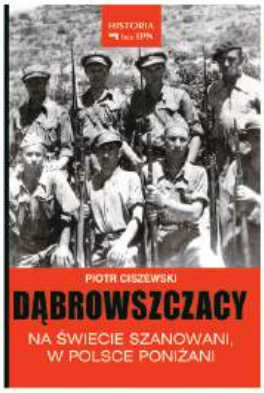

49 zł



17 zł

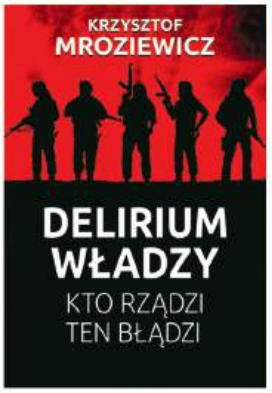

35 zł



58 zł

eprasa.pl 1561774341

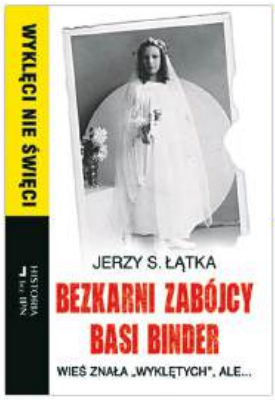

37 zł

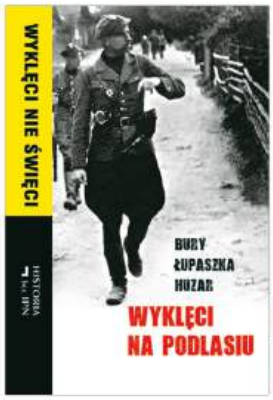

36 zł



49 zł



42 zł



43 zł

DOBRE KSIĄŻKI „PRZEGLĄDU"

sklep.tygodnikprzeglad.pl



34 zł



46 zł



38 zł



41 zł

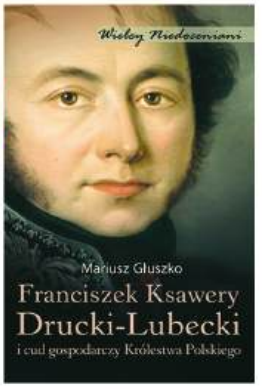

41 zł



25 zł



48 zł

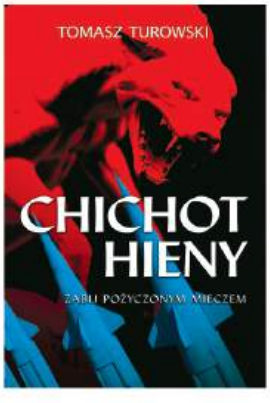

39 zł

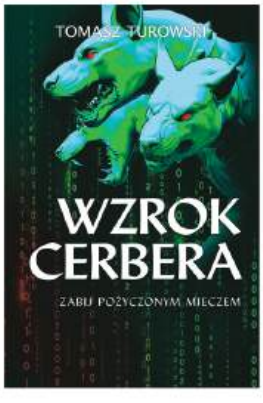

38 zł

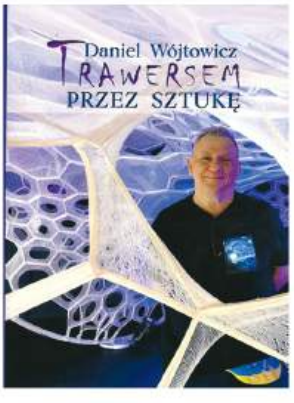

125 zł

eprasa.pl 1561774341

O nienawiści

Jej źródła, skutki i rola w życiu publicznym

Andrzej Karbownik

Historia jest często produktem bezmyślności.
Jest bękartem ludzkiej głupoty, płodem zaćmienia, idiotyzmu i szaleństwa.
Ryszard Kapuściński, „Heban"

Nigdy sobie nawet nie wyobrażałem, że dożyję czasów, w których wybrany przez naród prezydent RP dopuści się przemocy fizycznej wobec kobiety, w dodatku sędzi Trybunału Konstytucyjnego, żeby przemocą wejść do siedziby tej instytucji. Było to kibolskie zachowanie wobec kobiety – trudno nie użyć wobec Karola Nawrockiego określenia damski bokser. Wstyd mi za takiego prezydenta, który z szaleństwem i nienawiścią w oczach stoczył fizyczny pojedynek z sędziami TK, zamiast odebrać od nich ślubowanie. W świetle tych wydarzeń aż prosi się, żeby ktoś przytoczył prezydentowi Nawrockiemu sentencję Horacego: „Sapere aude", miej odwagę być mądrym. Ale chyba oczekuję zbyt wiele.

Po co prezydent Nawrocki wdarł się w nocy do budynku? Wydawało mu się zapewne, że opanuje budynek TK i przywróci do władzy Bogdana Święczkowskiego lub jego zastępcę Bartłomieja Sochańskiego.

Premier Donald Tusk wygłosił w telewizji orędzie, w którym m.in. powiedział: „Wrzask, kłamstwo i bijatyka nie mogą być źródłem prawa w Polsce i nie będą. Państwo prawa tym różni się od prawa dżungli, że o racji nie decydują mięśnie i chamstwo. W państwie prawa sędzia, choćby była to filigranowa kobieta, nie ustępuje przed agresywnym osiłkiem. Od lat istnieją w Polsce organizacje i politycy, którzy demokrację i praworządność chcą zniszczyć. Czy to jest chciwość, głupota, czy zdrada? Jestem pewien, że Trybunał Konstytucyjny zacznie działać tak, jak powinien. Niezależnie także ode mnie, samorządnie i zgodnie z konstytucją".

Wypada mi się zgodzić z tymi zdecydowanymi, ale rozsądnymi słowami premiera Donalda Tuska, który, jak wiadomo, politycznie wspiera naprawę i odrodzenie Trybunału Konstytucyjnego. Dlaczego to jest takie trudne? Myślę, że powody są trzy.

Po pierwsze, na przeszkodzie stoi Jarosław Kaczyński i jego partia, ponieważ TK pod przewodnictwem Bogdana Święczkowskiego ma za zadanie jawnie bronić ich interesów.

Po drugie, odnowieniu Trybunału Konstytucyjnego zdecydowanie przeszkadza prezydent Karol Nawrocki, który, działając w interesie PiS i na jego korzyść w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych, sypie piach w tryby działalności rządu Koalicji 15 Października. Ponadto chce on pełnić funkcję nie prezydenta RP, ale króla Polski, któremu wszystko wolno, bez liczenia się z konstytucją oraz innymi przepisami prawa.

Po trzecie, pisowscy politycy i ich zwolennicy wszelkiej maści nienawidzą Donalda Tuska – którego rząd wspiera naprawę TK – bo tak im nakazuje Jarosław Kaczyński.

W 2007 r. Tusk zdecydowanie pokonał Kaczyńskiego w debacie telewizyjnej, w efekcie czego 21 października tamtego roku Platforma Obywatelska wygrała wybory parlamentarne i utworzyła koalicyjny rząd z PSL. PiS na osiem lat przeszło do opozycji, czego Jarosław Kaczyński do dziś nie jest w stanie wybaczyć Donaldowi Tuskowi i zapewne dlatego jawnie go nienawidzi.

Kaczyński przez wszystkie te lata, kiedy zajmował się polityką, kierował się nienawiścią do ludzi, do obcych, do świata zachodniego, do Niemiec, do Unii Europejskiej. Dzielił ludzi i doprowadził do trwałego podziału społeczeństwa, przy czym ta część obywateli, która mu sprzyja, głosuje na PiS i popiera bez zastrzeżeń jego samego oraz jego politykę niszczenia demokracji i praworządności w Polsce. Przejęła od niego również nienawiść do Tuska oraz do wszystkiego i wszystkich, co tylko można z Tuskiem łączyć.

Jarosław Kaczyński musi bardzo nienawidzić narodu polskiego, skoro niszczył demokrację i zniszczył praworządność, m.in. za pomocą TK, przez osiem lat, kiedy PiS tworzyło rząd. Jego wręcz chorobliwa nienawiść w oczach była nadzwyczaj wyraźna, kiedy w 2017 r. z trybuny sejmowej wrzeszczał na posłów PO: „Nie wycierajcie swoich mord zdradzieckich nazwiskiem mojego świętej pamięci brata. Niszczyliście go, zamordowaliście go, jesteście kanaliami".

Podobną nienawiść widziałem u dwóch zwolenników Kaczyńskiego, Błażeja Pobożego i Jana Dziedziczaka, kiedy 1 listopada br. w programie TVN 24 wypowiadali się o Donaldzie Tusku i zamieszaniu wokół Trybunału Konstytucyjnego. W pewnym momencie Sebastian Gajewski, wiceminister w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, powiedział przytomnie do Błażeja Pobożego: „Panu się udziela atmosfera szaleństwa, którą rozniecacie pod Trybunałem Konstytucyjnym".

Głębokie pokłady nienawiści dostrzegam przy różnych okazjach u wielu innych polityków PiS oraz zwolenników tej partii.

Spróbujmy krótko rozważyć, co wiemy na temat stanu emocjonalnego człowieka dotkniętego nienawiścią. Nienawiścią, moim zdaniem, można nazwać bardzo silne uczucie wrogości i niechęci, a czasem też pogardy wobec drugiego człowieka. Nieraz budzi ono pragnienie zemsty lub przynajmniej skłania do życzenia nieszczęścia drugiej osobie. Nienawiść często zniekształca postrzeganie rzeczywistości, pozbawia obiektywizmu w ocenie sytuacji oraz

eprasa.pl 1561774341

uniemożliwia dialog. Można w takim razie powiedzieć, że nienawiść to bardzo silne uczucie. Nie jest to więc cecha charakteru człowieka ani uczucie, które przynależy do niego na zawsze, jest to uczucie nabyte. A skoro tak, można również śmiało się go pozbyć, pod warunkiem że mamy świadomość ulegania mu, znamy jego pierwotne źródło i chcemy żyć bez niego.

Człowiek pielęgnujący w sobie nienawiść najczęściej okazuje – świadomie lub nieświadomie – wrogość, niechęć i pogardę znienawidzonej osobie lub też mówiąc o niej. Przyczyny wykształcenia się uczucia nienawiści mogą być różne: doznana krzywda, ból po stracie bliskiej osoby, bycie oszukanym lub głębokie zranienie i inne, które trudno uogólnić.

Nie potrafię zrozumieć, skąd u prezydenta Nawrockiego tak wiele nienawiści do sędziów Trybunału Konstytucyjnego wybranych poprawnie przez Sejm w ostatnim czasie, i to nienawiści posuniętej tak daleko, żeby na oczach telewidzów znieważyć kobietę – sędzię Trybunału. Człowiek dotknięty nienawiścią ma najczęściej jednostronny osąd rzeczywistości. Jarosław Kaczyński i jego zwolennicy nienawidzą premiera Donalda Tuska tak dalece, że będą nawet kłamać i zniekształcać rzeczywistość, byle tylko jednoznacznie wyrazić swoją nienawiść do niego. Poza tym są tak zaślepieni w swojej nienawiści, że trudno się z nimi rozmawia, chyba że rozmówca zgodzi się z tym, iż Jarosław Kaczyński to genialny polityk wszech czasów, a może i dłużej.

Wielu moich znajomych zrezygnowało ze spotkań ze swoimi znajomymi lub nawet z przyjaciółmi, którzy byli zwolennikami PiS i Kaczyńskiego, gdyż nie potrafili z nimi normalnie rozmawiać. Prezentowali oni najczęściej swoją nienawiść do Tuska, a przy tym nie potrafili spojrzeć krytycznie na poczynania PiS.

Przeciwieństwem nienawiści jest miłość. Można zatem powiedzieć: zamiast nienawidzić drugiego człowieka, kochajmy go. Zdanie to może być szczególnie istotne dla katolików, którzy zamiast nienawidzić ludzi, powinni kochać bliźniego swego jak siebie samego.

Według religii katolickiej nienawiść jest czymś złym i godnym potępienia, czyli jest po prostu grzechem. Należy w tym miejscu zauważyć, że nienawiść jest uczuciem, które może być niezależne od naszej woli. Jeżeli rodzi się w nas uczucie nienawiści do innego człowieka, lecz swoim rozumem i wolą nie zgadzamy się na nie i nie podążamy za nim, czyli nie kierujemy się nim w życiu, to być może nie jest grzechem. Ale wówczas nie powinniśmy się zgadzać na to uczucie, powinniśmy umieć je pokonywać.

Nie poczuwam się do choćby minimalnej tolerancji dla nienawiści oraz wobec ludzi, których opanowało to niecne uczucie. Dla zwolenników Jarosława Kaczyńskiego mam natomiast skromne przesłanie: jego i wasza nienawiść do Tuska i innych ludzi z nim związanych jest chorobliwa. Nie dawajcie się jej zwodzić, gdyż jest ona zaraźliwym złem. Powtórzę w tym miejscu za Markiem Edelmanem: „Nienawiść jest łatwa. Miłość wymaga wysiłku i poświęcenia”.

Prof. Andrzej Karbownik – były rektor Politechniki Śląskiej w Gliwicach, wiceminister gospodarki w rządzie Jerzego Buzka



eprasa.pl 1561774341

Piotr Kimla

W jakiej demokracji Polacy żyją?



RYS. MAŁGORZATA TABAKA

Otrzymuję ponaglenia od jednego z czytelników „Przeglądu”, którego zdanie cenię, że temat demokracji nie jest przeze mnie dokończony. W artykule „Jakiej demokracji Polacy potrzebują?” (nr 41/2026) podzieliłem się opinią, że ustroju, w którym funkcjonujemy, nie uda się utrzymać jako nomokratycznej (opartej na prawie) demokracji liberalnej, choć jako obywatele bardzo tego potrzebujemy do dalszego rozwoju. Stoję na stanowisku, że ustrój, w którym żyjemy, nie jest liberalną demokracją, jaka istniała w Polsce jeszcze, powiedzmy, 15 lat temu.

Ta zmiana zaszła zresztą nie tylko u nas. Czy można by sobie wyobrazić 15 lat temu, że wybory w USA ponownie wygra człowiek, który jako urzędujący prezydent dokonał zamachu na amerykańską demokrację? Czy jeszcze niedawno uwierzono by, że premierem kraju należącego do UE zostanie ktoś, komu postawiono zarzuty kierowania zorganizowaną grupą przestępczą funkcjonującą wewnątrz aparatu państwowego?

Ustrój, w którym żyjemy, nie jest liberalną demokracją, jaka istniała w Polsce jeszcze, powiedzmy, 15 lat temu.

Takim człowiekiem jest premier Słowacji Robert Fico, który w nadchodzących wyborach ponownie ma szansę na wygraną. Kiedy podczas wrześniowej konferencji CEPSA (Central European Political Science Association) w Pilznie pytałem kolegę z uniwersytetu w Bratysławie, w jaki sposób Słowacy głosujący na Ficę uzasadniają swój wybór, wiedząc o wspomnianych zarzutach, profesor odpowiedział mi, że mówią: „Inni politycy też kradną”.

Proponuję w pierwszym kroku zastanowić się, jak znaleźliśmy się w tej przepaści. W jaki sposób liberalna demokracja przestała być państwem prawa, a stała się areną brutalnych zmagań populistów. Ludzi, dla których państwo, instytucje, prawo, podział władzy ani dobrobyt obywateli nie mają specjalnego znaczenia (poza retorycznym gołosłowiem), a już zupełnie, gdy stają im na drodze do zdobycia lub utrzymania władzy. Państwo dla nich to de facto zasoby, z których chcą bezpardonowo czerpać, sprawując władzę bez kontroli i bez ponoszenia odpowiedzialności. Dla nas, obywateli, to po prostu kosmiczna katastrofa. Nie ma w polityce groźniejszej sytuacji niźli ludzie sprawujący władzę z przeświadczeniem o swojej nietykalności. Przeświadczeniem, które okazuje się prawdą.

Zaszokuję teraz znakomitą większość czytelników „Przeglądu” – wzorowych demokratów – i powiem bez ogródek, że ustrój demokratyczny ma wiele dokuczliwych wad. Naturalnie istnieją ważkie powody, które sprawiają, że ani czytelnicy, ani piszący te słowa by się nie zamienili. Omawianie ich to jednak temat na osobną dyskusję. Teraz skupmy się na podstawowym problemie wpychającym demokrację w duszący uścisk populistów. Nie chcąc choć raz chować głowy w piasek, trzeba otwarcie powiedzieć, że niebezpieczeństwo osunięcia się demokracji w populizm tkwi w podstawowym kryterium rozstrzygania spraw w tym ustroju. W demokracji, rzecz oczywista, rozstrzyga większość obywateli. Otóż rozstrzygająca większość nie jest w stanie zadać sobie rzetelnego trudu poznawczego, a mówiąc bardziej uczenie, trudu epistemicznego, aby dogłębnie badać sprawy i decydować na podstawie wiedzy.

Chcę zwrócić uwagę, że nie chodzi o czcze utyskiwania. Jest to immanentna, niewyrugowywalna cecha demokracji i nie ma co się na nią zżymać, bo to tak, jakbyśmy

eprasa.pl 1561774341

chcieli się zżymać na to, że ptaki mają skrzydła, a koty ogony. Po prostu nie ma takiej możliwości, aby tzw. większość, uwikłana w walkę o przetrwanie, o codzienną egzystencję, o sprawy kluczowe dla jej powodzenia uczuciowego, towarzyskiego, zawodowego i materialnego, mogła metodycznie, długo, precyzyjnie przyglądać się danej sprawie i na podstawie zdobytej wiedzy kompetentnie decydować. Czy przy formie demokracji bezpośredniej zwanej recall – pozwalającej na odwołanie np. prezydenta miasta – obywatele udają się do urzędu, studiują dokumenty, rozmawiają z zainteresowanymi stronami i, poinformowawszy się w ten sposób, rozstrzygają w referendum o politycznym być albo nie być lokalnego polityka? Nigdy w życiu. Decydują na podstawie opinii dziennikarzy, innych polityków, blogerów, youtuberów, tiktokerów, wujków/ciotek, bliższych lub dalszych sąsiadów itd.

Opisuję w ten sposób tzw. epistemologiczny argument przeciwko demokracji, sformułowany w starożytności przez Platona, ale wciąż obowiązujący. Platona, który demokracji, mówiąc oględnie, nie cenił. Kryterium rozstrzygania przez większość wydało mu się bezdennie głupie, ponieważ większość nie posiada żadnego monopolu na rację czy prawdę. Możemy łatwo sobie wyobrazić sytuację, kiedy to jednostka broni „prawdy" przeciwko większości.

Wybitny ekonomista Joseph Schumpeter, lubujący się w kontrowersyjnych przykładach, wskazuje Piłata jako jednostkę, która broni prawdy przeciwko większości. Piłat, który dobrze się poinformował, bo rozmawiał z Jezusem, nie znajdował żadnej winy w tym człowieku. Ogół jednak krzyczał: „Ukrzyżuj!". Piłat bronił prawdy, ale nie w sposób absolutny. Na to nie mógł sobie pozwolić. Był w końcu politykiem kompetentniejszym od naszych współczesnych, a zatem rozumiejącym, że odpowiada za pokojową koegzystencję ludności Judei. Dlatego zgodnie z życzeniem większości uwolnił Barabasza, a kazał ukrzyżować Jezusa.

Na marginesie odnotuję, że dzięki temu przykładowi widać jak na dłoni, że kryterium rozstrzygania przez większość może być wadliwe w dochodzeniu do faktycznego stanu rzeczy, ale jest wprost genialne, jeśli chodzi o zachowywanie społecznego pokoju. Także jeśli chodzi o, jak mówią politolodzy, pokojową tranzycję władzy. Wyłania się z tego niepokojący wniosek, że pokój społeczny cenimy sobie w demokracji wyżej od prawdy i to ostatecznie powoduje, że nie chcielibyśmy wymienić tego ustroju na niedemokratyczny.

Jeśli zgodzimy się, że rozstrzyganie w demokracji zasadniczych kwestii politycznych przez większość oznacza otwarcie się na decyzje podejmowane na podstawie opinii, nie zaś wiedzy, to w jaki sposób udawało się w przeszłości utrzymywać demokrację jako ustrój nomokratyczny, oparty na prawie?

Dla populistów państwo to de facto zasoby, z których chcą czerpać, sprawując władzę bez kontroli i ponoszenia odpowiedzialności.

Aby udzielić odpowiedzi, trzeba się zastanowić, kto w przeszłości miał decydujący wpływ na opinię wyborców. Były to tzw. media głównego nurtu. Gazety codzienne, tygodniki, miesięczniki, kwartalniki, kanały telewizyjne i stacje radiowe. Fakt, miały one i mają swoją linię polityczną, swoje interesy. Jednocześnie są tam zatrudnieni redaktorzy naczelni, redaktorzy prowadzący – ludzie odpowiedzialni za ukazujące się materiały, powodujący, że dziennikarze muszą w miarę rzetelnie wykonywać swoją pracę. Nie być w każdym razie stale na bakier z tym, co rzeczywiście się dzieje.

Ponieważ mediów głównego nurtu było/jest wiele, co ambitniejszy obywatel mógł konfrontować jedną linię ideologiczną z drugą i wyciągać wnioski dla siebie. Czy wspomniane media odzwierciedlały pełne spektrum opinii obywateli? Zapewne nie. Zarazem jednak nie było w ich przekazie i nie ma po dziś dzień różnej maści ekstremizmów, ksenofobii, szczucia na siebie różnych grup społecznych, nacjonalizmu, faszyzmu, szerzenia wrogości religijnej itp. Generalnie rzecz biorąc, była to czwarta władza strzegąca swojej autonomii przed zakusami polityków.

Stoję na stanowisku, że jednym z zasadniczych powodów przekształcenia się nomokratycznej demokracji liberalnej w woluntarystyczny populizm jest upadek czwartej władzy. Nastąpił on za sprawą internetu i tzw. mediów (anty)społecznościowych. Rzecz jasna, początek był szczytny. Internet miał pozwolić na wyrażenie pełnego spektrum opinii, miał zagwarantować pełnię wolności słowa. Skończyło się jednak tym, że sprytni politycy zamknęli popierających ich obywateli w stworzonych przez siebie więzieniach informacyjnych, nazywanych z niepotrzebną łagodnością bańkami. Nic im oczywiście o tym nie mówiąc.

Nie powiedzieli przede wszystkim tego, że z wyborców informowanych przez poważne, odpowiedzialne i niezależne media uczynili wyznawców, głuchych na wszystkie głosy odbiegające od ortodoksji, którą się ich karmi. Pozbawili wyborców resztek krytycyzmu, zdolności do podawania w wątpliwość wysłuchiwanych opinii. To dlatego prezydent Donald Trump mógł sobie pozwolić w kampanii wyborczej na słynną już uwagę, że gdyby stanął na środku Piątej Alei w Nowym Jorku i kogoś zastrzelił, i tak nie ubyłby mu ani jeden wyborca.

Zauważmy na marginesie, że wyborców mu ubyło, ale dopiero wtedy, gdy przestała mieć znaczenie trumpowska ortodoksja. Rozwiała się ideologiczna narracja, bo znakomita większość Amerykanów naprawdę dostała od Trumpa zdrowo po kieszeni. Na taki zaś fakt wciąż nie pomagają żadne ideologiczne zaklęcia. Zresztą Polacy także odczuli trumpowską „politykę" na własnej

eprasa.pl 1561774341

skórze. Ekonomiści twierdzą, że trzyipółprocentowa inflacja w Polsce wynosiłaby 2%, gdyby nie amerykańsko-izraelska wojna z Iranem. Nie mamy jednak jak Trumpa za to rozliczyć, a ta część Polaków, która jest zamknięta w antyplatformerskim getcie informacyjnym, święcie wierzyła, wierzy i wierzyć będzie, że szalona w ich oczach inflacja jest wyłącznie dziełem ministra Domańskiego, a ostatecznie oczywiście premiera Tuska.

Pora postawić zasadnicze pytanie, jak ograniczona zdolność decydowania obywateli w systemach demokratycznych na podstawie wiedzy (wskazany wyżej epistemologiczny argument przeciwko demokracji), cynicznie wykorzystana i spotęgowana przez polityków za sprawą przeniesienia się procesu „informowania" do internetu (przekształcenie wyborców w wyznawców i zamknięcie ich w gettach informacyjnych), przekłada się na przejście od demokracji liberalnej jako państwa prawa do tyranii demokracji woluntarystycznej. Inaczej mówiąc, dlaczego prawo – łącznie z ustawą zasadniczą – może być permanentnie łamane przez polityków i dlaczego przestali oni się obawiać, że jeśli złamią konstytucję, spróbują zniszczyć sąd konstytucyjny i generalnie niezależność władzy sądowniczej, a także niezależne media, jeżeli ulegną korupcji lub zdefraudują publiczne środki, to skończą w więzieniu, a ich nazwisko stanie się synonimem hańby na dziesiątki lat? Dlaczego np. mogą na oczach milionów wyborców bezkarnie wygrażać funkcjonariuszom policji, uderzać w ich kaski z numerami służbowymi, a prokuratorzy nic z tym nie robią? Ostatecznie dzieje się tak dlatego, że nie ma już wyborców, są jedynie wyznawcy. Wyznawców zaś nie można tak naprawdę o niczym poinformować. A już z pewnością nie o winach ich bożków polityków. Tak długo zaś, jak bożkowie politycy mają za sobą parę milionów głosów wyznawców, mogą kpić sobie z prawa i ze wszystkich instytucji państwowych. Kto się odważy pociągnąć ich do odpowiedzialności? Nikt. I kto ma oczy do patrzenia, może obserwować ten fenomen każdego dnia w Polsce.

Dążę do uwyraźnienia faktu, że nie istnieje w państwie autorytet, który mógłby wpłynąć na wyznawców w taki sposób, że jeśli popierali, perfidnie zmanipulowani, gwałcicieli porządku prawno-państwowego, to zobaczą ich właśnie jako gwałcicieli porządku prawno-państwowego, a nie jako niewinne ofiary okrutnej nagonki. Takiego autorytetu, takiej mocy nie ma nowa władza wykonawcza, jeżeli jakimś cudem uda się jej zwyciężyć starą, skorumpowaną. W oczach wyznawców starej władzy nowa zwalcza tylko „naszych" z zawiści i zemsty.

Powiem bez ogródek, że ustrój demokratyczny ma wiele dokuczliwych wad.

Nie ma też takiego autorytetu władza sądownicza – wyznawcy starej uważają, że nie po to „nasi" pracowali nad „reformą" tej władzy (czyli jej rozmontowaniem), abyśmy tych, którzy ośmieliliby się sądzić „naszych", nie mogli nazwać sługusami nowej władzy wykonawczej, nie zaś niezależnymi sędziami. Nie mają takiego autorytetu intelektualiści i profesorowie.

To, co piszę, nie wynika z faktu, że jestem prawdziwie zatroskany, może załamany stanem demokracji w Polsce i czuję się w obowiązku uwrażliwić na niebezpieczeństwa opinię publiczną. Skądże, jestem tylko funkcjonariuszem takiego czy innego polityka, takiej czy innej partii (jakiej?), bezwzględnie realizującym ich interesy.

Jeśli powyższe ujęcie jest poprawne, jasno widać, jak państwo prawa traci grunt pod nogami i przekształca się w tyranię skrytą za fasadą demokracji. Nie można wyegzekwować odpowiedzialności prawnej polityków, którzy prawo złamali, bo naprawdę nie wiadomo, czy niedługo nie wrócą oni do władzy. A jeśli wrócą, to co zrobią z tymi, którzy ośmielali się wskazywać ich przewinienia? Rozumiemy teraz dobrze, dlaczego prokuratorzy nic nie robią – boją się realizacji powyższego scenariusza. Rozumiemy, dlaczego wielu dziennikarzy uprawia tzw. symetryzm i nie chce nazywać winy po imieniu. Co z nami będzie, myślą, gdy odważymy się nazwać rzeczy po imieniu, a winowajcy wrócą do władzy i zaczną z drwiącym uśmiechem „się przechadzać, jak bohaterowie, którzy wrócili spod Troi"?

Widzę tylko dwie ewentualności, które mogą napawać strachem współczesnych populistów – niszczycieli państwa, niszczycieli prawa, porządku i liberalnej demokracji. Dwa przypadki, kiedy masowo tracą poparcie, a wtedy otwiera się przestrzeń do ich rozliczenia. Pierwszy ich koszmar ziściłby się wtedy, gdyby na wielką skalę zaczęli rujnować materialnie swoich wyznawców poprzez nakręcenie inflacji, wpakowanie ich w wojnę, wyprowadzenie z Unii Europejskiej i co tam jeszcze może im przyjść do głowy. Była już o tym mowa. Widzieliśmy na przykładzie prezydenta Trumpa, jak w takiej sytuacji zaklęcia ideologiczne tracą moc. Część wyznawców, tych o słabszej wierze, zachwieje się, odwróci i przesądzi o ich upadku oraz o zwycięstwie przeciwników.

Druga opcja to odwrócenie się wyznawców od mediów (anty)społecznościowych. Zrozumienie, co one z nimi wyprawiają. Kto by dokonał cudu takiego przebudzenia obywateli, mógłby się okazać zbawcą nomokratycznej demokracji liberalnej. Wspomniany wcześniej Platon mówił: „Pokaż mi tego, kto potrafi połączyć wielość w jedność, a pójdę za nim tak, jak się idzie za bogiem". Być może tak należałoby iść za tym, kto uwolniłby ludzi z gett informacyjnych i choć w części przywrócił im krytycyzm myślenia.

Prof. Piotr Kimla jest pracownikiem Katedry Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego

eprasa.pl 1561774341



Od lewej: Natalia Reguła, Krzysztof Fandrich, Amelia Ochlanek, Zofia Oleksiak i Mikita Tsibus.

Czwarty Ibis

Konkurs dla Młodych Dziennikarzy Warszawy i Mazowsza rozstrzygnięty

Ta nagroda weszła już w krew – Oddział Warszawski Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej, wspierany przez Urząd Marszałkowski Województwa Mazowieckiego, Stowarzyszenie Repropol oraz Społeczną Akademię Nauk, rozstrzygnął czwartą edycję Konkursu dla Młodych Dziennikarzy Warszawy i Mazowsza im. Andrzeja Ibisa Wróblewskiego.

– Konkurs rozpisaliśmy po raz pierwszy kilka lat temu – przypomniał przewodniczący jego kapituły Tomasz Miłkowski – w 100. rocznicę urodzin patrona, wybitnego dziennikarza, krytyka muzycznego i językoznawcy, którego ideałem była niezależność mediów, ich wrażliwość społeczna, służenie prawdzie i dbałość o piękno języka.

Laureatem nagrody głównej (w wysokości 3 tys. zł, ufundowanej przez Marszałka Województwa Mazowieckiego) został w tym roku **Mikita Tsibus** za artykuł „Prawosławny wyjątek w katolickiej Polsce", opublikowany przez portal studentów Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Nagroda II powędrowała do **Aleksandry Trendak-Dei**, a nagroda III do **Mai Ciężkowskiej** (obie nagrody ufundowane przez SDRP, każda w wysokości 1 tys. zł). Podczas uroczystej gali, prowadzonej przez red. Zofię Czernicką w Domu Dziennikarza, wszyscy uczestnicy konkursu otrzymali pamiątkowe dyplomy, a zdobywców pierwszych trzech miejsc tabletami obdarowała Społeczna Akademia Nauk.

Zaskoczony nagrodą Mikita Tsibus nie krył wzruszenia, uzasadniając wybór tematu swojej pracy konkursowej dążeniem do tworzenia w Polsce coraz lepszych relacji międzyludzkich i więzi społecznych.



Prof. Jerzy Bralczyk i Tomasz Miłkowski.

Podczas spotkania **prof. Jerzy Bralczyk**, wspierający kapitułę konkursu, został wyróżniony Odznaką Honorową za zasługi dla SDRP, którą wręczył mu przewodniczący Zarządu Głównego Jerzy Domański w towarzystwie sekretarza generalnego Andrzeja Maślankiewicza, przypominając ogromne zasługi Profesora dla podnoszenia poziomu polskich mediów i trudną do przecenienia pomoc, jakiej udzielał stowarzyszeniu.

Gratulacje laureatom i uczestnikom konkursu złożyli **Elżbieta Wojnowska**, Honorowa Członkini Kapituły, żona Andrzeja Ibisa Wróblewskiego, a także jurorzy: p**rof. Tadeusz Kononiuk, Jan Kot i Adam Sęczkowski**, sekretarz konkursu i jego pomysłodawca. Słowa zachęty i podziękowań skierowali do uczestników **dr Marta Milewska**, rzeczniczka Urzędu Marszałkowskiego, **prof. Krzysztof Kandefer**, dziekan Wydziału Dziennikarstwa SAN, i **dr Andrzej Ziemsk**i, niegdyś kolega redakcyjny patrona konkursu. Na koniec Tomasz Miłkowski, dziękując uczestnikom i mecenasom konkursu, zaprosił do udziału w jego kolejnej, piątej edycji. *(tm)*

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl 1561774341

Gdzie jest Europa?

W Shenzhen Jałty nie było, ale to koniec dobrych wiadomości

Robert Walenciak

Czy trzech będzie rządziło światem? Wolne żarty. Z tych trzech jeden nie może pokonać Huti blokujących cieśninę Bab al-Mandab, nie mówiąc o Iranie. Drugiemu Ukraina właśnie zniszczyła most na Krym. Na ich tle Xi Jinping jawi się jako potężny przywódca, ale przecież także ma kłopoty. Choć, wszyscy to przyznają, trójszczyt był jego sukcesem i to on wypadł najmocniej.

Dwa obrazki na pewno na długo zapiszą się w pamięci komentatorów. Pierwszy to spotkanie trzech. Siedzą przy wielkim, okrągłym stole. Przewodniczący Xi pośrodku, Trump z jednej strony, Putin z drugiej. I wiadomo, kto jest najważniejszy, kto znajduje się w centrum wszystkiego i prowadzi obrady. Oto symbol zmieniającego się świata. Drugi obrazek to przygotowania do pamiątkowej fotografii i przewodniczący Xi, który twardym gestem odsyła Putina na dalsze miejsce, za swoją żoną.

Ale są i inne. Chińczycy mówili o reformie ONZ. Oto przykład ich rosnących aspiracji i sygnał dla państw globalnego Południa. Że porządek zostanie zaprowadzony. Stacje telewizyjne pokazywały też Donalda Trumpa, który szedł powoli, z trudem, wyraźnie zmęczony. To alegoria zmęczonej Ameryki.

W Rosji z kolei wielokrotnie pokazywano Putina i Trumpa witających się, obściskujących i uśmiechających się do siebie. Francuski „Le Monde" na pierwszej stronie pisał, że Trump wszedł na salę i pytał, patrząc na Putina: „Kim on jest? Jest moim przyjacielem!". „Od lat utrzymujemy świetne relacje. Znamy się od dawna i może z tego wyniknąć wiele wspaniałych rzeczy, a przynajmniej coś się zacznie", dodał amerykański przywódca.

W Polsce więc od razu pytano, kto jest większym przyjacielem prezydenta Trumpa: Putin czy Nawrocki? Ale spójrzmy szerzej – po tych obrazkach przyjaźni Trumpa i Putina w europejskich mediach pojawiły się głosy niepokoju. Nie dlatego, że jakaś Jałta, ale że Trump coraz mocniej naciska Europę, by przestała pomagać Ukrainie i zostawiła ją samą, zmuszając do zaakceptowania rosyjskich warunków.

Jeszcze przed berlińskim spotkaniem koalicji chętnych, grupy ponad 30 państw wspierających Ukrainę, mieliśmy spotkanie grupy Ramstein. Obecny na niej wiceszef Pentagonu Elbridge Colby skrytykował ataki Ukrainy na surowcowe zaplecze Rosji, mówiąc, że nie przynoszą efektu. Po tych słowach nie zamierzał nikogo słuchać, wyszedł z sali i odleciał do USA.

Inne informacje przychodzą z berlińskiego spotkania koalicji chętnych, które trwało w czasie szczytu w Chinach. Portal Politico, a za nim wszystkie agencje, podał, że Donald Trump zadzwonił do uczestników spotkania z pokładu Air Force One, którym wracał z Shenzhen, i poinformował ich o rozmowach. Przekonywał Europejczyków, że „w kwestii Ukrainy Władimir Putin poważnie podchodzi do negocjacji w sprawie zakończenia wojny i chce pokoju", że na tej wojnie bezsensownie ginie wielu ludzi i marnowane są miliardy, które Europa przeznacza na pomoc Ukrainie. Te słowa nie były chwilowym zwrotem w działaniach prezydenta USA. Podobne stanowisko zajmowali jego wysłannicy na berlińskie spotkanie Steve Witkoff i Jared Kushner. W sprawie Ukrainy mamy więc między Europą a USA pęknięcie, które się pogłębia.

Donald Trump ma własną agendę i nie zamierza ustępować. Trudno przypuszczać, że naprawdę martwią go ofiary wojny, bo Iran bombarduje bez litości. Chodzi mu o coś innego. O co? Odpowiedź pierwsza: Ameryka postrzega dziś świat jako wielobiegunowy i Rosję widzi jako jeden z istotnych jego biegunów. Na równi z Europą, Indiami itd. Chce zatem ułożyć się z nią, nawet za cenę Ukrainy, żeby mieć więcej sił na konfrontację z Chinami.

Chiny mają swój plan dla świata, a w nim wojna Rosji z Ukrainą, wysysająca siły Zachodu, jest im na rękę.

Druga odpowiedź jest trywialna. I Trump, i skupieni wokół niego biznesmeni są pod wrażeniem niezwykle korzystnych propozycji biznesowych, amerykańsko-rosyjskich przedsięwzięć, które składa im wysłannik Putina Kirił Dmitriew. To pomysły wspólnej eksploatacji rosyjskich bogactw naturalnych czy wręcz odkupienia i odbudowy gazociągu Nord Stream 2 i sprzedawania Europie rosyjskiego gazu jako amerykańskiego. Ale tych przedsięwzięć nie można uruchomić w warunkach wojennych, więc do pokoju trzeba przekonać i Ukrainę, i Europę.

Która z tych odpowiedzi jest bliższa prawdy? Może obie? W takim razie Putin, proponując Amerykanom półdarmowe eksploatowanie

eprasa.pl 1561774341



Uczestnicy rozmów w Shenzhen ustawieni do fotografii przez gospodarza spotkania Xi Jinpinga (nz. z żoną Peng Liyuan), 18 listopada 2026 r.

bogactw Rosji, zyskał potężnego partnera. Wyprzedając swój kraj, zmienił geopolitykę.

Ciekawa była zresztą konferencja prasowa rosyjskiego prezydenta po zakończeniu trójszczytu, bo pokazała jego cele i sposób myślenia. Otóż Putin nazwał ten szczyt „nową kartą w historii dyplomacji". I dodał, że bardzo chciałby kontynuowania spotkań w tym formacie w przyszłości: „Nikt nie wie, co się stanie. Bóg jeden wie. Ale bardzo bym chciał, żeby to było kontynuowane".

Nawiązał też do Jałty. Wyliczając sprawy, które omawiano: Bliski Wschód, Półwysep Koreański, Ukrainę, mówił, że nawet jeżeli w tych kwestiach nie doszło do porozumienia podczas spotkania, to „panowało wzajemne zrozumienie". I dodał: „W obliczu dzisiejszych konfliktów będziemy musieli zaakceptować rzeczywistość, tak jak zrobiliśmy to na konferencji w Jałcie".

Oto więc lejtmotyw rosyjskiej polityki: wyrysujmy nową mapę wpływów, „zaakceptujmy realia". Czyli Jałta? Nie do końca. Rosyjski kłopot polega na tym, że ta propozycja zawisła w próżni. Nie podjęli jej ani Amerykanie, ani Chińczycy. Można się domyślać dlaczego. Rosja do dzielenia świata nie jest im potrzebna.

Dorzućmy do tego jeszcze jeden ważny dla nas i znamienny wątek, dotyczący Ukrainy i Europy. „Nie mam wątpliwości, że prezydentowi Trumpowi szczerze zależy na rozwiązywaniu konfliktów, w tym konfliktu ukraińskiego", zapewniał Putin. Budował więc obraz dwóch zatroskanych prezydentów, którzy mają plan. Jaki? „Formułę z Anchorage". Czyli to, co uzgodniono podczas spotkania Putin-Trump na Alasce w sierpniu 2025 r. Ta formuła, jak twierdzą Rosjanie, zakładała oddanie Rosji całego Donbasu i przyjęcie przez Ukrainę statusu neutralnego (czyli poza NATO). No i rzecz równie istotną – ograniczenie liczebności armii ukraińskiej. Innymi słowy, Ukraina miałaby się stać rosyjskim protektoratem.

Z punktu widzenia Moskwy to plan realny. „Pytanie brzmi: czy pozostałe strony konfliktu, Ukraina i, powiedzmy, w tym przypadku jej europejscy sponsorzy, chcą się zgodzić na te kompromisy? – pytał Putin na konferencji. – Sądząc po tym, co widzimy, na razie nie. Zobaczymy, wszystko jest płynne, wszystko się zmienia". Ale gdy zapytano go, czy widzi obecnie możliwość normalizacji stosunków z Europą, odparł: „Nie da się normalizować stosunków w Europie bez zmiany elit politycznych".

Mamy zatem odpowiedź na najbliższe miesiące. Rosja nie zamierza ustępować. Liczy na zdławienie Ukrainy i na zmiany polityczne w Europie, na nowe, prawicowe rządy, wygraną Marine Le Pen i osłabienie jedności Unii. No i na pracę amerykańskiej dyplomacji.

Wszystko jest więc w grze. Ale brakuje w niej jednego. Chiny mają swój plan dla świata, a w tym szerokim planie ograniczona wojna Rosji z Ukrainą, wysysająca siły Zachodu, jest im na rękę. Ameryka też ma swój plan: rozwiązać sprawę Iranu i cieśnin, a jeśli chodzi o Europę Wschodnią, zawrzeć pokój i przejść do kwestii biznesowych. Rosja zaś wie, że musi zaczekać, aż zmiany polityczne w Europie i działania amerykańskiej dyplomacji przyniosą efekty.

A czego chce Europa? Czego chce od Rosji, jaką ma wizję przyszłego świata? Nie wiemy, ta sprawa nie została przez liderów państw europejskich dopracowana. I – jak wskazują eksperci – dlatego Europa jest reaktywna, na drugim planie, to inni decydują. Bo jeżeli się nie wie, czego się chce, nie ma się realnego celu, trudno prowadzić jakąkolwiek politykę. Poza tym do czego mają się ustosunkowywać inni?

Wojna na Ukrainie wyszła poza ramy wojny regionalnej. W 2022 r. Rosja chciała, żeby to była krótka operacja typu pacyfikacja zbuntowanej prowincji. Władimir Putin przestrzegał innych, żeby się nie wtrącali. Teraz o Ukrainie mówiono na szczycie w Shenzhen i wiadomo, że jej los jest elementem nowej światowej konstrukcji.

Każdy próbuje tę konstrukcję ułożyć tak, by dla niego była wygodna. Każdy, ale nie Europa. Bo ona jeszcze nie wie, jak ta konstrukcja powinna wyglądać. To zadanie jeszcze przed nią.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. IMAGO/SERGEY BOBYLEV/EAST NEWS

eprasa.pl 1561774341

Trzech liderów, trzy cele

Czy wykuwa się nowa architektura świata?

Rozmawia Robert Walenciak



Prof. KAMIL ZAJĄCZKOWSKI
– politolog, europeista, dyrektor Centrum Europejskiego Uniwersytetu Warszawskiego

Panie profesorze, mamy nową Jałtę?

– Uspokajam, nic takiego się nie dzieje.

A co się dzieje?

– Prezydent Władimir Putin na konferencji prasowej w Shenzhen podkreślał sentyment do Jałty. Ale w Shenzhen od początku mimo tego sentymentu nie było uwarunkowań do zaistnienia Jałty. Dziś Chiny, Rosja i USA nie mają takich potencjałów jak USA, ZSRR i Wielka Brytania pod koniec II wojny światowej, żeby meblować porządek międzynarodowy. Świat jest zupełnie inny. Choćby Europa – mimo wielu słabości nie jest tak słaba jak po II wojnie światowej. I co też było znamienne – w tym samym czasie co szczyt APEC odbywała się konferencja koalicji chętnych dla Ukrainy. Druga rzecz – te trzy mocarstwa mają inne cele.

Jakie?

– Amerykanie potrzebują spokoju oraz, co także jest napisane w Narodowej Strategii Bezpieczeństwa z ubiegłego roku, względnie spokojnej Euroazji. To znaczy potrzebują dogadania się Europy z Rosją i Ukrainą, żeby nie było konfliktu i wojny. Chcą mieć spokój zarówno w kontekście Ukrainy, jak i Iranu, żeby się zmobilizować, mieć czas na długotrwałą konfrontację z Chinami. Z kolei Putin chciał wykorzystać szansę, którą dostał od Trumpa. Z przecieków wiemy, że strona chińska i sam Xi Jinping nie byli zbyt skłonni zapraszać na szczyt rosyjskiego prezydenta i nie za bardzo byli zadowoleni, że przyjedzie.

Ale przyjechał.

– Gdy już do tego doszło, Putin chciał pewne kwestie wrzucić na agendę, m.in. nową architekturę bezpieczeństwa w Europie, a szerzej nowy porządek międzynarodowy. Ale na rozmowy na ten temat nie było zgody Chin ani USA. Te dwa mocarstwa koncentrują się na Indo-Pacyfiku i nie chcą meblować całego porządku międzynarodowego.

A jakie cele miały Chiny?

– Pokazały, że to one dyktują warunki, przede wszystkim wobec Rosji. Do historii przejdzie scena, gdy Xi Jinping ustawia do oficjalnej fotografii prezydenta Rosji.

Tam dalej, za jego żoną.

– Symbole mają znaczenie w stosunkach międzynarodowych, w dyplomacji, a już z pewnością w Azji i w kulturze chińskiej. Przesunięcie Putina dalej, nie bezpośrednio obok Xi i Trumpa, jest oznaką miejsca Rosji. I uwaga – moim zdaniem Chiny nie chcą eskalacji konfliktu na Ukrainie, ale też nie są za bardzo zainteresowane przyciskaniem Rosji, żeby tę wojnę skończyła, bo nie chcą osłabienia do końca Federacji Rosyjskiej.

Dlaczego nie chcą eskalacji?

– Przewodniczący Xi jest zainteresowany uregulowaniem pewnych kwestii z USA i z Europą. Owszem, z tej trójki, którą widzieliśmy w Shenzhen, wydaje się najmocniejszy, ale też ma problemy. Wzrost gospodarczy w Chinach jest jednym z wolniejszych w ostatnich latach i nie udało się zwiększyć konsumpcji, czyli Chiny mają nadprodukcję. Amerykanie blokują częściowo swój rynek przed towarami z Chin, Europa także zaczyna być bardziej asertywna, a chińskiej nadprodukcji nie da się sprzedać tylko i wyłącznie na rynki globalnego Południa. Czyli każdy lider ma inne cele.

Jakie są między nimi różnice?

– Chiny nie godzą się na ograniczenia, jeśli chodzi o broń atomową. Dziś mają ok. 600 głowic jądrowych, natomiast Rosja i USA po ok. 1720. Pekin chce się zbliżyć do tej liczby, uważa, że za kilkanaście lat ją osiągnie.

Jakie jest miejsce Europy?

– Europy bym nie skreślał. Niektórzy mówią, że szczyt pokazał jej słabość, bo nie było jej w Shenzhen. No, nie mogło być, bo to był szczyt APEC, organizacji nieobejmującej Europy. Europa nie jest tak słaba jak pod koniec II wojny i nie dała się podzielić mimo wielu prób ze strony Chin, a przede wszystkim Rosji. Niestety, to samo próbuje robić, choć nieudolnie, Donald Trump. Amerykanie zawsze mieli ambiwalentny stosunek do Europy i nigdy nie chcieli jej silnej, zwłaszcza politycznie.

A jest silna?

– Jest na tyle mocna, że nie można rozmawiać o pokoju czy rozejmie w Ukrainie tylko między USA i Rosją, nie włączając w to Europy. Ostatnie miesiące to pokazały. Chociaż Rosja będzie robiła wszystko, żeby przy tym stole nie było Europy. Druga kwestia – Chiny potrzebują bogatego europejskiego rynku. Dlatego Xi nie będzie dążył do całkowitej konfrontacji z UE i z Europą Zachodnią. Poza tym również to spotkanie koalicji chętnych, na którym potwierdzono zobowiązania wobec Ukrainy na kolejny rok, pokazuje, że Europa jest zdeterminowana i gotowa wspomagać Ukrainę oraz tę pomoc finansować.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1561774341

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Adam, syn Ozjasza

To tytuł wydanego ostatnio wielkiego wywiadu z Adamem Michnikiem, przeprowadzonego przez Jarosława Kurskiego. Powiedzieć, że to najlepsza książka Michnika, byłoby uwłaczające dla jego dorobku. I byłoby deprecjonujące dla Kurskiego – równorzędnego autora książki. A jednak…

Otrzymaliśmy portret człowieka, który z systemem panującym w PRL wchodził w zwarcia od lat szkolnych. Staż opozycyjny Michnika jest przecież wyjątkowy, podobnie zresztą jak staż więzienny, którym ustępował tylko Jackowi Kuroniowi. Był też Michnik współtwórcą Solidarności i jednym z najważniejszych symboli tego ruchu. Dziś, gdy największymi bohaterami są ci, którzy „13 grudnia spali do południa”, albo ci, których w tamtych czasach w ogóle nie było na świecie, zasadne staje się pytanie, jakie właściwie były cele tej walki.

Nadejście wolności musiało przecież stanowić kres dotychczasowych działań. Ostracyzm wobec wczorajszego przeciwnika stał się bezprzedmiotowy. Zwłaszcza że ten przeciwnik był współtwórcą przemian, a zważywszy na sprawowaną przez niego władzę – pełnił w tych przemianach rolę decydującą. Michnik był jednym z tych, którzy rozumieli, że nastało „pożegnanie z bronią”, ale tylko on głosił to tak bezceremonialnie. Nazwałem go kiedyś Winkelriedem, który romantycznym gestem skierował włócznie krytyków w samego siebie. To określenie nie bardzo się Michnikowi podoba, lecz Kurski uczynił je tytułem jednego z rozdziałów książki. Widzimy w niej bowiem człowieka wiernego sobie, konsekwentnego do bólu – począwszy od słynnego więziennego listu z grudnia 1983 r. do gen. Czesława Kiszczaka, skończywszy na „fraternizowaniu się” z gen. Wojciechem Jaruzelskim.

O wszystkim tym książka Michnika-Kurskiego mówi otwarcie. Niczego nie przemilcza. I wciąż na nowo uświadamia, jaka treść kryje się w tak sprostytuowanym dziś słowie „niezłomność”. Oraz: czym jest bohaterstwo. Michnik mógł stanąć w szeregu dekomunizatorów i lustratorów, być u boku swojego kolegi z KOR, Antoniego Macierewicza. Nie zrobił tego, dopisując do swego „Z dziejów honoru w Polsce” ostatni, przejmujący rozdział. Poszedł własną drogą, na której ścigały go oszczerstwa dawnych przyjaciół. Kurski przedstawia i tłumaczy jego życiowe wybory.

Ale też z nim się spiera. Obaj wywodzą się przecież z różnych tradycji. Michnik z kręgu (jak sam to kiedyś określił) „lewicy laickiej”, Kurski z kręgu solidarnościowej prawicy. I choć obaj dawno już przekroczyli horyzont ich formacji, to pozostały w nich różne wrażliwości. Dlatego rozmowa przechodzi czasem w pojedynek na racje. I rzecz ciekawa: bardziej radykalny, bardziej antyprawicowy, jest Kurski. I zapewne bliżej mi do niego. Lecz wszechrozumiejąca postawa Michnika ma przesłanie długofalowe. A jego uparte poszukiwanie „okruchów dobra” jakże współbrzmi z duchem wiary chrześcijańskiej. Z czasem okaże się zapewne, że również w swym ekumenizmie Michnik miał rację.

Portret Michnika jest tu ukryty za galerią jego mistrzów, bo to im książka została poświęcona. A spośród nich najbardziej przykuwa uwagę Ozjasz Szechter. To ojciec Michnika, przedwojenny komunista, w PRL przebywający na emigracji wewnętrznej. W jego życiorysie opublikowanym w Polskim Słowniku Biograficznym informacje o aresztach, więzieniach i procesach pojawiają się w niemal co drugim zdaniu. Co więcej, dowiadujemy się o jego protestach i więziennych awanturach. Życie Michnika zdaje się więc czasem zwierciadlanym wręcz odbiciem życia jego ojca. Frajda dla dekomunizatorów? Niekoniecznie. Andrzej Friszke napisał kiedyś, że Komitet Obrony Robotników był spotkaniem ludzi o rodowodzie AK-owskim z ludźmi o rodowodzie KPP-owskim. Z tego spotkania jesteśmy wszyscy, bo z niego zrodziła się Solidarność.

> Książka Michnika i Kurskiego uświadamia, jaka treść kryje się w tak sprostytuowanym dziś słowie „niezłomność”.

Wartkiej narracji tej książki nie sposób się oprzeć. Niemal słyszymy charakterystyczny sposób mówienia Michnika – te zdania z orzeczeniem na końcu, ten niezawodny dowcip i błyskotliwe puenty. Gdy jednak ukończyłem lekturę, przyszła mi do głowy niespodziewana refleksja. Wszak patrząc na życie 80-letniego dziś Michnika, powinien on – jak niegdyś Lech Wałęsa – dostać Pokojową Nagrodę Nobla! Oto bowiem w dużym kraju środkowej Europy żyje człowiek, który o wolność i demokrację walczył od najmłodszych lat, który przypłacił to latami więzienia, który w warunkach wolności i demokracji nie sprzeniewierzył się dawnym ideałom i który dotąd zapobiega możliwej wciąż wojnie domowej. Niskie ukłony dla Jarosława Kurskiego, który książkę „Adam, syn Ozjasza” wymyślił i zrealizował.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1561774341

Test dla Europy

Negocjacje pokojowe w sprawie wojny w Ukrainie to sztuka dla sztuki

Mateusz Mazzini

Nie ma znaczenia, kto będzie reprezentował Europę w procesie pokojowym dotyczącym trwającego już piąty rok konfliktu w Ukrainie. Ta teza brzmi może radykalnie, ale jest zgodna z prawdą z jednej podstawowej przyczyny. Te negocjacje nie są prowadzone po to, żeby przynieść jakikolwiek trwały rezultat. Gdyby taki był ich cel, oznaczałoby to, że obie strony, w tym Rosja Władimira Putina, są gotowe do ustępstw, bo na tym polegają negocjacje. Tymczasem nic nie wskazuje, by ktokolwiek na Kremlu zamierzał walczyć o cokolwiek innego niż realizacja maksymalistycznych żądań, dotyczących nie tylko samej Ukrainy, ale też całej Europy, a nawet miejsca i roli Rosji w nowym systemie międzynarodowym.



Od lewej premierzy: Kanady Mark Carney, Łotwy Andris Kulbergs, Polski Donald Tusk, Albanii Edi Rama oraz Finlandii Petteri Orpo podczas spotkania w ramach Europejskiej Wspólnoty Politycznej w Dublinie, 12 listopada 2026 r.

Szumne zapowiedzi

To, co niedawno wydarzyło się w Abu Zabi, dokąd przybyły delegacje z Kijowa, Moskwy i Waszyngtonu, można nazwać co najwyżej wzmożeniem dyplomatycznym. Strony spotkały się w formacie trilateralnym po raz pierwszy od lutego, kiedy rozmowy prowadzone były w Genewie. Po raz kolejny wokół spotkania zrobiono dużo szumu, głównie po stronie rosyjskiej. I znów można odnieść wrażenie, że pozostałe strony, w tym dotychczas nieobecna w procesie pokojowym Europa, dały się na ten szum nabrać.

Im więcej sam Putin mówił o rzekomej gotowości do rozmów – sugerując nawet możliwość zamrożenia konfliktu wzdłuż bieżącej linii frontu i restartu negocjacji w czymś, co nazwał „formułą Stambuł 2.0", nawiązując do prób tureckiej mediacji z początku wojny – tym więcej chaotycznych ruchów wykonywał Zachód. Najpierw niemiecki rząd, rękami ministra spraw zagranicznych Johanna Wadephula, wysłał swojego emisariusza do Siergieja Ławrowa, a szef rosyjskiego MSZ niemiecką próbę dialogu po prostu wyśmiał. Potem premier Norwegii Jonas Gahr Støre i prezydent Finlandii Alexander Stubb postanowili zadzwonić bezpośrednio do Putina, nie konsultując tego z nikim w strukturach NATO czy Unii Europejskiej. Nie osiągnęli nic, usłyszeli listę propagandowych żądań Rosjan, na czele z oczekiwaniem gwarancji bezpieczeństwa z powodu rzekomych zagrożeń ze strony Zachodu, a dodatkowo wkurzyli część europejskiego establishmentu.

Potem, przy okazji szczytu Europejskiej Wspólnoty Politycznej w Dublinie, wybuchła rytualna awantura o to, kto ma reprezentować Europę w całym procesie i dlaczego nie mogą to być przedstawiciele unijnych instytucji. Dave Keating, dziennikarz stacji France24 zajmujący się polityką europejską, stwierdził nawet, że w stolicy Irlandii ostatecznie pogrzebany został sen o europejskiej suwerenności geopolitycznej. Europejscy przywódcy nie tyle sprzeciwili się zabieraniu głosu w imieniu kontynentu przez Kaję Kallas, szefową unijnej dyplomacji, ile zaprotestowali przeciwko prowadzeniu przez Unię polityki zagranicznej jako takiej. Wszyscy bowiem zgadzają się, że Europa powinna siedzieć przy stole, najlepiej tym dla dorosłych, a nie dla dzieci. Problem w tym, że każdy kraj chce krzesło dla siebie, zgodnie z własnym, najczęściej suwerenistycznym rozumieniem dyplomacji.

Robin Niblett, brytyjski dyplomata, były szef think tanku Chatham

eprasa.pl 1561774341

House, trafnie zauważył w rozmowie z dziennikiem „Financial Times", że państwom europejskim, zwłaszcza Francji i Niemcom, Unia potrzebna jest jedynie jako wzmacniacz własnych postulatów krajowych. Bardzo niechętne są oddawaniu Brukseli kolejnych części swoich prerogatyw. Stąd trwająca od dekad opozycja wobec wzmocnienia wspólnotowej służby dyplomatycznej oraz obecna niechęć do Kai Kallas.

Przerwany sen

Ostatecznie Europa znalazła się w gronie uczestników procesu pokojowego, nie tylko spotkania w Abu Zabi. Dla samej Europy to oczywiście bardzo dobrze. Cały spektakl wyłaniania wspólnych przedstawicieli był jednak żenujący, bo przywódcy na Starym Kontynencie po raz kolejny tracili czas, energię i zasoby ludzkie na niemające sensu spory. Czy będzie to jedna osoba? Czy może zespół? Czy powinna przewodzić temu Unia Europejska, a jeśli tak, to która z jej licznych, rywalizujących ze sobą instytucji? A może jednak państwa narodowe? Tylko jak wybrać te odpowiednie? I co z politykami, którzy byli wymieniani w gronie idealnych kandydatów do rozmowy z Putinem, choć ich indywidualna pozycja jest znacznie silniejsza, niż wynikałoby to z rangi krajów, które reprezentują? W tym przypadku chodzi głównie o Stubba, ale też o mającego ostre poglądy na kwestię rosyjską prezydenta Czech Petra Pavla.

Finalnie w Dublinie zgodzono się na format E5, czyli przedstawicieli Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch i Polski, poszerzony o reprezentantów Komisji i Rady Europejskiej. Przy czym nawet tam zabraknie ministrów spraw zagranicznych, bo wymienione pięć państw wystawi do rozmów swoich doradców do spraw bezpieczeństwa. Najbardziej doświadczonym reprezentantem Europy będzie więc Jonathan Powell, były szef gabinetu Tony'ego Blaira, ale też de facto przedstawiciel kraju, który nie wchodzi już w skład UE. Keating ma więc trochę racji, mówiąc o końcu marzeń o unijnej potędze geopolitycznej.

Żeby jednak w pełni zrozumieć absurd sytuacji, trzeba przytoczyć kontekst tych europejskich wewnętrznych sporów dyplomatycznych. Jak wyliczył w swoim podcaście prof. Mark Galeotti z University College London, na jedno skuteczne uderzenie Ukraińców w głębi Rosji przypada 15 rosyjskich trafień w cele w Ukrainie. Rosjanie nie wykazują najmniejszego zainteresowania przerwaniem działań wojennych, zbombardowali Kijów kilka godzin po zakończeniu rozmów w Abu Zabi.

Wołodymyr Zełenski wypuszcza teoretycznie ciekawe balony próbne, takie jak stwierdzenie, że Amerykanie zaproponowali mu członkostwo Ukrainy w NATO w zamian za oddanie Rosjanom kontroli nad Donbasem, ale to tylko zabieg narracyjny. Wejście Kijowa do Sojuszu to przecież marzenie, od którego cała awantura się zaczęła. Gdyby więc Putin naprawdę miał się zgodzić na akcesję, oznaczałoby to przyznanie się do fiaska w realizacji najbardziej podstawowego celu tej wojny, czyli odcięcia Ukrainy od instytucji Zachodu.

Niewykluczone jednak, że za jakiś czas Putin albo któryś z jego propagandystów powie, że w sumie Ukraina w NATO Rosji nie przeszkadza. Może tak powiedzieć, bo wszyscy doskonale wiedzą, że to nierealne, chociażby z braku konsensusu w Sojuszu na temat tego, czy Kijów powinien dołączyć do struktur natowskich. Nie mówiąc o tym, że – jak wielokrotnie zauważał bułgarski politolog Iwan Krastew – nie do końca wiadomo, dlaczego wejście do NATO miałoby być dla Ukrainy tak kuszące. Gen. Walerij Załużny, były naczelny dowódca sił zbrojnych Ukrainy, dzisiaj ambasador w Wielkiej Brytanii, powiedział zresztą to publicznie już kilka miesięcy temu, oceniając, że NATO jest mimo wszystko dość archaiczne i niczego Ukraińcom nie gwarantuje.

Krastew twierdzi podobnie, zauważając, że z powodu działań administracji Trumpa wiarygodność art. 5 i wspólnej obrony sojuszniczej jest mocno nadszarpnięta. Krótko mówiąc, to, co było najważniejsze dla krajów chcących dołączyć do Sojuszu Północnoatlantyckiego, czyli gwarancja ochrony przez najpotężniejszą armię świata, jest dziś korzyścią raczej wirtualną. Nie ma więc sensu zabijać się o coś, co straciło sporą część swojej wartości w ciągu zaledwie dwóch lat.

Nawiasem mówiąc, z punktu widzenia Polski to zagadnienie jest akurat bardzo ciekawe. Wszak urzędujący polski prezydent Karol Nawrocki jeszcze w kampanii wyborczej zobowiązał się do blokowania akcesji Ukrainy do NATO. Czy gdyby ludzie Trumpa chcieli jednak Kijów przyjąć, Nawrocki zmieniłby zdanie? To bodaj najbardziej frapujący aspekt tego dyplomatycznego blefu.

Klucz do zakończenia wojny

Co więc miałoby się wydarzyć? Europejczycy mają, co chcieli, czyli uznanie w oczach Rosji i Stanów Zjednoczonych. Tyle że to była naturalna kolej rzeczy, bo w tej chwili jedyną stroną negocjacji, która naprawdę chce doprowadzić do wstrzymania ognia w jakiejkolwiek formie, są właśnie emisariusze Trumpa, dyplomaci amatorzy Jared Kushner i Steve Witkoff. Co więcej, obaj, po kilku wizytach w Moskwie i długich godzinach spędzonych na wysłuchiwaniu rosyjskiej interpretacji przyczyn wybuchu wojny, wreszcie chyba zrozumieli, gdzie jest klucz do jej zakończenia.

Owszem, sam Trump dwa lata temu w kampanii wyborczej zapowiadał, że konflikt zakończy „pierwszego dnia urzędowania", ale był to chwyt propagandowy. Wszak Amerykanie nie byli nigdy bezpośrednią stroną tej wojny, nie mieli (i mieć nie będą) w Ukrainie swoich żołnierzy,

Robin Niblett: Państwom europejskim, zwłaszcza Francji i Niemcom, UE potrzebna jest jedynie jako wzmacniacz postulatów krajowych.

FOT AP/EAST NEWS

eprasa.pl 1561774341

ich sprawczość co do zakończenia działań wojennych, jest zatem ograniczona.

Już w lutym ub.r. Jeremy Shapiro, były amerykański dyplomata, dziś szef waszyngtońskiego biura Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych, napisał notatkę rozesłaną do europejskich urzędników, intelektualistów i dziennikarzy. Przestrzegał w niej przed zakładaniem, że fiasko w Ukrainie obciąży Trumpa. „Ukraina to nie Afganistan, nikt w USA nie będzie umierać za tę wojnę, bo nikt nie zobaczy obrazków amerykańskich samolotów w pośpiechu wylatujących z kijowskiego lotniska”, pisał Shapiro, nawiązując do wielkiego upokorzenia, jakim była ewakuacja wojsk USA z Afganistanu w sierpniu 2021 r.

Administracja Trumpa nigdy nie mogła więc sama doprowadzić chociażby do przerwy w wymianie ognia. Bo trzeba wywierać presję na Rosję albo na Ukrainę. Tyle że Moskwa nie chce przerwać działań ofensywnych, a Kijów nie może przestać walczyć, bo oznaczałoby to anihilację ukraińskiej państwowości i skazanie Ukraińców na siłowe przyłączenie do ruskiego miru. Jedynym skutecznym sposobem na uzyskanie zawieszenia broni jest zatem odcięcie Zełenskiego od zewnętrznego wsparcia. A że pochodzi ono niemal w całości z Europy, Kushner i Witkoff zorientowali się, że bez rozmowy z Europejczykami wiele nie zdziałają.

Negocjacje w sprawie Ukrainy są fundamentalne dla przyszłości Europy, ale same rozmowy niczego nie zmienią.

Jeżeli ta diagnoza jest trafna, to nie zwiastuje niczego dobrego dla Starego Kontynentu. Najbardziej prawdopodobny scenariusz na najbliższe tygodnie zakłada bowiem, że Rosjanie będą naciskać na Amerykanów, by doprowadzili do zakończenia wojny. Ci z kolei zaczną wywierać presję na Europę, aby dogadała się z Rosją, bo wtedy wsparcie dla Ukrainy będzie zbędne. W takim układzie sił Kijów straci ostatniego zagranicznego sojusznika, a Zełenski, kompletnie bezradny, zostanie zmuszony do zaakceptowania narzuconego mu rozejmu.



Dobre chęci to nie wszystko

Dlatego negocjacje pokojowe w sprawie Ukrainy są fundamentalne dla przyszłości Europy, ale nie z powodu, który często jest w tym kontekście wskazywany. Same rozmowy niczego nie zmienią – to czysty performance, zasłona dymna dla rosyjskich ataków i zabijania ukraińskiej ludności cywilnej. Jednocześnie Europa przechodzi test na jedność, świadomość zagrożenia oraz zdolność decydowania o własnej przyszłości. Jeśli europejscy delegaci z Jonathanem Powellem na czele naprawdę uwierzą, że ktokolwiek ma tu dobre intencje i chce zakończyć wojnę w sprawiedliwy sposób, wykażą się nie tylko olbrzymią naiwnością. Przede wszystkim pokażą światu, że łatwo wodzić ich za nos, bo nie mają ujednoliconych interesów.

Nie jest tajemnicą, że i Trump, i Xi Jinping dąży do osłabienia Unii Europejskiej z powodów czysto praktycznych. Wielkie mocarstwa zawsze są w lepszej sytuacji, jeśli mogą zawierać 27 bilateralnych umów z 27 niezależnymi krajami, bez konieczności liczenia się z jednym, zunifikowanym blokiem. Wszyscy wiemy, że w kwestii regulacji, polityki klimatycznej czy migracyjnej brak w Unii jednomyślności. Jeśli pojawi się w niej dwu-, a nawet trójgłos w sprawie zakończenia wojny w Ukrainie, wówczas sen o geopolitycznej autonomii naprawdę zostanie pogrzebany.

Warto więc, by również europejska opinia publiczna zdała sobie sprawę z realnej stawki bieżących działań dyplomatycznych. Na razie uwaga mediów, polityków i części wyborców skupiona była na konfliktach personalnych i debacie wokół składu delegacji, czyli sprawach drugorzędnych. Nie jest w ogóle ważne, czy przy stole usiądzie sama Kaja Kallas, czy będą tam Petr Pavel, Alexander Stubb, Matteo Renzi czy siedmiu ministrów spraw zagranicznych. Ważne, jaki przekaz popłynie ze Starego Kontynentu. Bo Europa musi być asertywna, a nie tylko reagować na ruchy innych aktorów na scenie geopolitycznej. Bierność w tym przypadku oznacza poddaństwo, a na to w tej chwili nikogo w Europie nie stać.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 1561774341



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Wnuczek Antygony

Echa zamachu na krakowskim Rynku Głównym będą nam zapewne towarzyszyć przez wiele lat. Ogrom zbrodniczej energii, którą sprawca wyładował na niewinnych, przypadkowych ofiarach, poraża. Fakt zabicia wcześniej najbliższej rodziny tylko potęguje to odczucie. Zanim poznamy pełne, w miarę możliwości, tropy interpretacyjne (a już wiemy niemało), minie sporo czasu.

Teraz jednak dzieją się rzeczy cywilizacyjnie i kulturowo wstrząsające. Miasto Kraków za sprawą nowego prezydenta Łukasza Gibały postanowiło nie organizować pochówku zamachowcowi, pojawiła się za to wizja „praktycznego" spożytkowania jego zwłok i przekazania ich na cele medyczne. Gibała stwierdził, że pochówek „to jest decyzja rodziny. Jeśli ona nie zdecyduje się odebrać ciała i zrobić tego pochówku, to będę wnioskował, żeby miasto nie organizowało takiego pogrzebu, tylko żeby przekazać to ciało na cele medyczne, na cele naukowe".

Przekazanie ciała na cele medyczne czy badawcze jest aktem szczytnym. Rzecz w tym, że taka procedura jest uregulowana jasno i bezwyjątkowo: może to się wydarzyć wyłącznie poprzez wyrażenie zgody za życia i akt donacji musi być poświadczony notarialnie. W przypadku krakowskiego zamachowca pomysły Gibały są więc uzurpowaniem sobie władzy, której ani on, ani nikt inny nie posiada.

Najlepszym komentarzem do tego ekscesu są słowa filozofa Mirosława Miniszewskiego, który napisał w mediach społecznościowych: „Oddanie ciała zmarłego człowieka do celów medycznych jest darem. Jest ostatnim gestem, w którym można rozporządzić sobą dla jakiegoś dobra, które wykracza poza śmierć osoby. Jest w tym coś wręcz mistycznego, delikatnego i bardzo intymnego. Tradycja wymaga, by było poprzedzone aktem woli darczyńcy. Przekazanie ciała mordercy do celów medycznych jako forma odwetu na nim, pogardy wobec niego, to naplucie w twarz tym wszystkim, którzy za życia darowują swoje ciała medycynie, aby np. studenci mogli na nich ćwiczyć, zanim będą ratować ludzkie życie. Gibała, któremu większość Krakowian przekazała właśnie urząd prezydenta miasta, nie ma pojęcia o fundamentach kultury i cywilizacji, którą próbuje reprezentować.

Nie pierwszy i nie ostatni raz przekazujemy władzę osobom, które nie posiadają nie tylko podstawowych kompetencji kulturowych, ale także całego zestawu zachowań, które od wieków nazywamy ludzkimi, od Nowej Zelandii po Grenlandię. Gniew i pogarda wobec takich zachowań to adekwatne reakcje, do których się przyznaję".

Podzielam pogląd Miniszewskiego. Równocześnie, wbrew pierwszym doniesieniom, że rodzina nie chce odebrać ciała i wyprawić pochówku, dowiadujemy się, że na taki gest Antygony zdecydowała się babcia zamachowca i zamordowanej przez niego siostry.

W tym samym czasie w krakowskiej Bazylice Mariackiej została odprawiona msza w jego intencji. Administrator parafii, ks. Mariusz Słonina, zaznaczył, że nabożeństwo nie jest inicjatywą całej wspólnoty parafialnej. W opublikowanym komunikacie czytamy: „Msza święta w intencji sprawcy zamachu oraz zmarłych członków jego rodziny jest prywatną inicjatywą jednego z księży, a nie parafii mariackiej".

Wbrew używanemu przez media i komentatorów językowi, ukrywającemu motywy i profil polityczny sprawcy, już dzisiaj wiemy, że był człowiekiem o radykalnie prawicowych, przemocowych poglądach. Że inspirował go atak norweskiego zamachowca z 2011 r.

Istnieje przedziwny, niezrozumiały obyczaj, że kiedy sprawcą masowego mordu jest biały mężczyzna o skrajnie prawicowych poglądach, często identyfikujący się z jakąś formą chrześcijaństwa, natychmiast zapodziewa się gdzieś pojęcie terroryzmu, a w to miejsce pojawiają się interpretacje i sugestie psychiatryczne, kłopoty osobiste. Ostatnio najpopularniejszą odwróconą interpretacją podobnych masakr jest pojęcie nihilistic violent extremism – nihilistyczny przemocowy ekstremizm.

Trudno nie przywołać konsekwencji zamachu na prezydenta Narutowicza, zamordowanego przez endeckiego fundamentalistę w 1922 r. W wybitnej książce „Gotowi na przemoc. Mord, antysemityzm i demokracja w międzywojennej Polsce" prof. Paweł Brykczyński opisywał czas i następstwa tego politycznego mordu. Prawica polska już po kilku dniach zaczęła wybielać i usprawiedliwiać sprawcę, rozmydlać jego winę – morderca do dzisiaj jest cichym bohaterem wielu środowisk polskiej prawicy. Na jego grobie wciąż leżą świeże kwiaty.

Ta przemoc działa w czasie, zastrasza, obezwładnia kategorycznością i pozorną irracjonalnością. Nie możemy się zgodzić na to, by krakowska masakra była podobnie zaciemniana. To, że w polskim parlamencie zasiadają (nawet na stolcu wicemarszałka Sejmu) skrajni nacjonaliści i faszyści, tym bardziej nakazuje nam nie wyciszać tego wymiaru krakowskiego mordu. To jest przemoc faszystowska. Wspierana, wcale nie tak po cichu, przez najwyższe władze Polski, z prezydentem Nawrockim na czele.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1561774341

Wzlot i upadek króla AI

Jensen Huang zbudował firmę wartą biliony dolarów i w ciągu czterech dni stracił wszystko

Marek Czarkowski

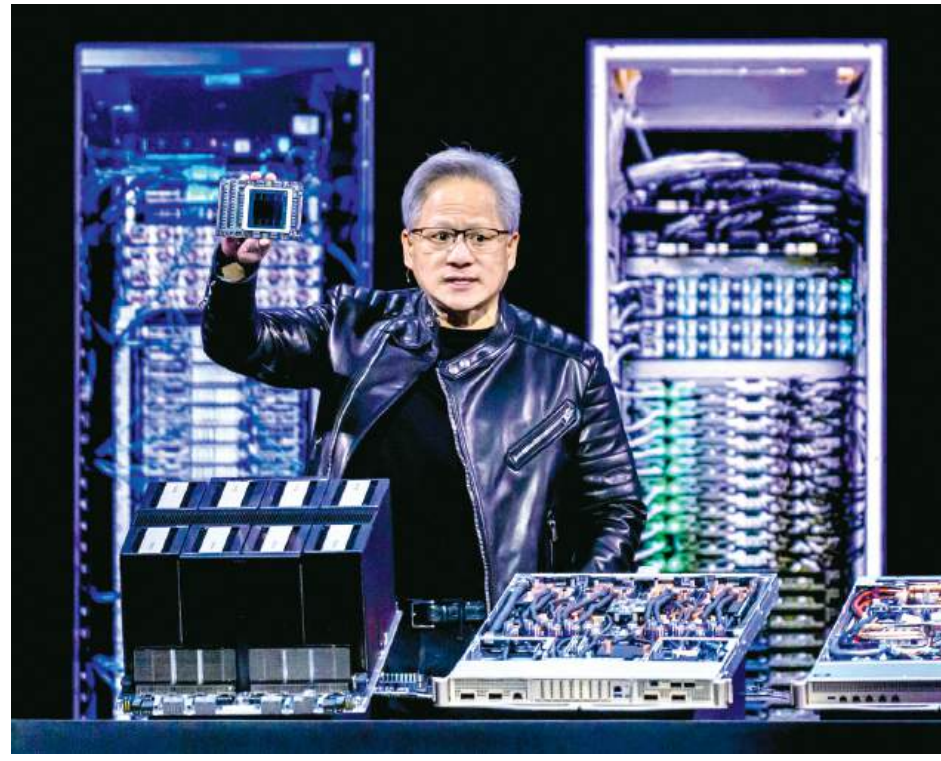

Jensen Huang jest wizjonerem. Dopóki stał na czele firmy, system działał bezbłędnie.

12 listopada 2026 r. w serwisie prasowym firmy komputerowej Nvidia pojawiła się informacja o zmianie na stanowisku dyrektora generalnego. Tak zakończyła się epoka Jensena Huanga, który przez 33 lata przeprowadził przedsiębiorstwo od stolika w restauracji Denny's do pozycji wartego ok. 6 bln dol. najważniejszego na świecie dostawcy układów scalonych dla sztucznej inteligencji. Jego obowiązki przejęła szefowa finansów Colette Kress, przewodniczącym rady dyrektorów został zaś Harvey C. Jones.

Cztery dni wcześniej ta sama rada broniła Huanga i deklarowała, że nie widzi podstaw do stwierdzenia, iż doszło do ujawnienia tajemnic lub naruszenia bezpieczeństwa narodowego. Lecz między 8 a 12 listopada wydarzyło się wystarczająco dużo, by Huang musiał odejść. W tle były przyznanie się do zdrady małżeńskiej, doniesienia medialne o kontaktach z kobietą, którą amerykański wywiad miał według „New York Timesa" uznać za informatorkę Pekinu, oraz prowadzone od 2024 r. śledztwo federalne w sprawie możliwego przemytu chipów Nvidii do Chin.

Od brudnych toalet do gabinetu prezesa

Jensen Huang urodził się w 1963 r. na Tajwanie. Mając dziewięć lat, ze starszym bratem wyjechał do Stanów Zjednoczonych – do wuja mieszkającego w Kentucky. Obaj trafili do Oneida Baptist Institute, szkoły religijnej z internatem. To nie był elitarny college, raczej poprawczak dla trudnej młodzieży. Huang jako najmłodszy musiał sprzątać toalety, z których korzystały setki uczniów. W tym czasie zaprzyjaźnił się ze starszym kolegą, którego uczył czytać, on z kolei nauczył go wyciskania sztangi i wpoił mu, że siła rodzi się z powtarzania tego, co boli.

Kolejną lekcję Huang odebrał w restauracji Denny's. Zaczynał na zmywaku, później powtarzał w wywiadach: „Myłem talerze tak, jakby nikt nigdy nie mył ich lepiej". Jednocześnie studiował inżynierię na Oregon State University. Tam poznał Lori Mills, którą poślubił w 1985 r. Obiecał jej, że w wieku 30 lat zostanie prezesem firmy, i słowa dotrzymał.

W 1993 r. Huang oraz dwaj inżynierowie z Sun Microsystems, Chris Malachowsky i Curtis Priem, zasiedli przy stoliku w restauracji Denny's przy 2484 Berryessa Road w San Jose w Kalifornii, by omówić pomysł założenia firmy produkującej układy scalone do trójwymiarowej grafiki. Dysponowali kapitałem 40 tys. dol. Chcieli nazwać ją NVision, lecz okazało się, że tej nazwy używa producent papieru toaletowego. Stanęło na Nvidia – od łacińskiego słowa zazdrość. Wybór okazał się proroczy, gdyż konkurenci od lat patrzą na Nvidię z zawiścią.

Nie było łatwo. W 1995 r. firma otrzymała pierwsze duże zlecenie – opracowania nowego chipu do konsoli japońskiej firmy Sega. Rok później okazało się, że nie jest w stanie wywiązać się z umowy, i Huang zrobił coś, co stało się wzorcem jego stylu działania – udał się do Tokio, wziął na siebie odpowiedzialność za porażkę i wynegocjował wypłatę kontraktu w wysokości 5 mln dol.

Kluczową rolę odegrał w tym menedżer Segi Shoichiro Irimajiri, który

eprasa.pl 1561774341

mu zaufał. Huang mówił później, że pieniądze dały firmie sześć miesięcy na przetrwanie. Spółka skoncentrowała się na projekcie akceleratora graficznego do komputerów osobistych klasy PC. W 1997 r. na rynek trafił układ o nazwie RIVA 128, który odniósł wielki sukces – w ciągu pierwszych czterech miesięcy Nvidia sprzedała ponad 1 mln tych chipów.

Doprowadziło to do ostrej rywalizacji z ówczesnym hegemonem na rynku grafiki komputerowej, spółką 3dfx Interactive, której układy Voodoo zmieniły gry na pecety z programów obciążających procesor w widowiska korzystające z wyspecjalizowanych układów graficznych. Nvidia wygrała wyścig tempem zmian – co pół roku wprowadzała na rynek nowy chip. Rywal nie nadążał i w grudniu 2000 r. poddał się. Za ok. 112 mln dol. spółka Huanga przejęła najważniejsze aktywa 3dfx Interactive – patenty i zgłoszenia patentowe, technologie oraz marki 3dfx i Voodoo. Gdy rok wcześniej Nvidia weszła na giełdę, jej akcje sprzedawano po 12 dol. Nikt wtedy nie przypuszczał, że 6 października 2026 r. kapitalizacja firmy zbliży się do wspomnianych już 6 bln dol.



Pod koniec października ukazały się informacje o zażyłych kontaktach Jensena Huanga z Alice Huang.

Tyran i geniusz

Gdyby historia Nvidii skończyła się na kartach graficznych dla graczy, byłaby opowieścią o udanym biznesie. To, co zrobiło z niej imperium, zaczęło się w 2007 r. od CUDA czyli platformy, która pozwoliła programistom używać procesorów graficznych do ogólnych obliczeń równoległych, a nie tylko do renderowania grafiki. Inwestorzy przyjęli inicjatywę Huanga z kpiną – jako kosztowną i zbędną, lecz on dostrzegł w niej potencjał.

W 2010 r. zaczęto używać kart graficznych Nvidii do „kopania" bitcoina (BTC). We wrześniu 2010 r. Jeff Garzik zapłacił 10 tys. bitcoinów programiście występującemu pod pseudonimem „Puddinpop" za udostępnienie wszystkim narzędzi pozwalających na korzystanie z CUDA. 10 tys. BTC kosztowało wówczas ok. 1,9 tys. zł. Dziś byłoby to niemal 2,4 mld.

Zapotrzebowanie na projektowane przez spółkę Huanga chipy gwałtownie wzrosło, bo „kopanie" kryptowalut stało się dochodowym biznesem.

W 2012 r. Alex Krizhevsky, Ilya Sutskever i prof. Geoffrey Hinton z Uniwersytetu w Toronto, łącząc dwie karty graficzne Nvidia GeForce GTX 580, stworzyli sieć AlexNet i wygrali konkurs na rozpoznawanie obrazów o nazwie ImageNet. Okazało się, że te chipy świetnie się nadają do uczenia sieci neuronowych. W 2024 r. Hinton otrzymał za to Nagrodę Nobla, a Ilya Sutskever stał się jednym z najbardziej cenionych specjalistów w dziedzinie AI.

Jensen Huang wyciągnął z tego wnioski i cztery lata później na rynek trafił układ Tesla P100. Osiem takich procesorów znalazło się w serwerze o nazwie DGX-1. W sierpniu 2016 r. Jensen Huang sam dostarczył pierwszy DGX-1 do siedziby OpenAI w San Francisco. Odebrał go osobiście Elon Musk, jako współzałożyciel i jeden z pierwszych fundatorów tej instytucji.

Kryła się za tym przemyślana strategia. Nvidia nie czekała biernie na klientów. Inwestowała w młode firmy AI – w tym w OpenAI, twórcę ChatGPT – by miały pieniądze na zakup jej sprzętu. Krytycy nazywali to zamkniętym obiegiem kapitału, zwolennicy genialną strategią budowania rynku. Kiedy bum na sztuczną inteligencję rozlał się po świecie, okazało się, że na chipach Nvidii opiera się infrastruktura tej rewolucji.

Jensen Huang stał się twarzą epoki AI, a kurs jego spółki – barometrem nastrojów całej branży.

Efekt widać w liczbach: spółka osiągnęła 1 bln dol. kapitalizacji w 2023 r., 2 bln na początku 2024 r., 3 bln w połowie 2024 r., by dojść do 6 bln w 2026 r. Jensen Huang stał się twarzą epoki AI, a kurs jego spółki – barometrem nastrojów całej branży. Wydawało się, że nic nie jest w stanie go zatrzymać. Nic – poza polityką i ludzkimi słabościami.

Geopolityczna szachownica

Im potężniejsza stawała się Nvidia, tym silniej wciągała ją geopolityka. Gdy amerykańska administracja ograniczyła eksport najbardziej

FOT.AFP/EAST NEWS, AP/EAST NEWS

eprasa.pl 1561774341

zaawansowanych chipów AI do Chin, nie chcąc oddawać rywalowi przewagi technologicznej, Huang był jednym z najbardziej konsekwentnych krytyków tych restrykcji. Argumentował, że Chiny to kluczowy rynek, a takie ograniczenia jedynie napędzają chińskich konkurentów, np. Huawei.

Chiny rozwijały własne modele AI – w tym głośny DeepSeek – w dużej mierze opierając się na chipach Nvidii. Dla jastrzębi w Waszyngtonie był to dowód, że kontrola eksportu jest dziurawa. W tym kontekście każdy kontakt Jensena Huanga z osobami powiązanymi z chińskim biznesem nabierał szczególnej wagi. Prezes Nvidii poruszał się po szachownicy, na której jeden fałszywy ruch mógł go kosztować znacznie więcej niż spadek kursu akcji. I tak się stało.

Pod koniec października 2026 r. w „New York Timesie" ukazał się artykuł opisujący kontakty Huanga z Alice Huang (zbieżność nazwisk przypadkowa), chińską menedżerką, prezeską Megaspeed International – singapurskiej firmy działającej w sektorze centrów danych i mocy obliczeniowej dla AI. Jej firma za miliardy dolarów kupowała chipy od Nvidii. Według dziennikarzy amerykańskie służby wywiadowcze oceniły, że Alice Huang przekazywała informacje Pekinowi. Przy czym, trzeba to wyraźnie podkreślić, było to doniesienie o ocenie służb, a nie materiał dowodowy, akt oskarżenia czy wyrok.

8 listopada br. Jensen Huang napisał do pracowników list, w którym przyznał: „Byłem niewierny swojej żonie". Przeprosił ją, dzieci, pracowników i akcjonariuszy. Choć nie padło w tym liście żadne nazwisko, media jako kochankę wskazały Alice Huang. Notowania giełdowe spółki runęły. Szacunki mówią, że łącznie akcje Nvidii straciły na wartości nawet 600 mld dol.

11 listopada w kolejnym artykule – „Według doniesień Jensen Huang był w relacji z członkinią kierownictwa Nvidii, która podlega mu służbowo" – dziennikarze „NYT" dobili dyrektora generalnego. Pięć anonimowych osób, które pracowały w Nvidii, miało opowiedzieć o jego bliskich relacjach z Kimberly Powell, wiceprezeską odpowiedzialną za współpracę z firmami działającymi w sektorze ochrony zdrowia. Podobno istniało nagranie przedstawiające Huanga i Powell okazujących sobie czułość. Przy czym redakcja dziennika zaznaczyła, że go nie widziała.

Gdyby podobne supozycje dotyczyły prezesa Mety Marka Zuckerberga, założyciela i prezesa wykonawczego Amazona Jeffa Bezosa czy Michaela Della, przewodniczącego rady dyrektorów i dyrektora wykonawczego Dell Technologies, nic by się nie stało. Dysponują oni pakietami kontrolnymi swoich spółek i nic bez ich zgody nie może się wydarzyć. Problem w tym, że Jensen Huang i jego żona mają ok. 4% akcji Nvidii, a władza Huanga opierała się na autorytecie, wynikach finansowych i micie. Gdy mit runął, Huang musiał odejść, a rada zajęła się szukaniem następcy.

Wydawało się, że nic nie jest w stanie zatrzymać szefa Nvidii. Nic – poza polityką i ludzkimi słabościami.

Nie będzie to proste, Jensen Huang zbudował bowiem unikatową strukturę zarządzania. Miał ok. 60 bezpośrednich podwładnych i kontaktował się z nimi za pomocą krótkich mejli. Wysyłał ich setki dziennie. Ciągle powtarzał pracownikom, że „spółkę dzieli 30 dni od bankructwa" – nawet gdy była warta biliony dolarów. Publicznie krytykował podwładnych i przyznał, że woli ich „torturować", bo dzięki temu osiągają wielkość. Był przy tym wizjonerem. Dopóki stał na czele firmy, system działał bezbłędnie.

Nie minął tydzień od odejścia Huanga, a w Dolinie Krzemowej ruszyła kampania, jakiej Ameryka dawno nie widziała. Petycja „Wesprzyj Jensena" zebrała 160 tys. podpisów, m.in. Elona Muska, szefa Epic Games Tima Sweeneya i Garry'ego Tana, dyrektora akceleratora Y Combinator. Domagają się oni uczciwego dochodzenia. Na razie firma, której nazwa wzięła się od słowa zazdrość, musi udowodnić, że potrafi żyć bez człowieka, któremu tak długo zazdrościł cały świat.

Marek Czarkowski



eprasa.pl 1561774341



Oko w oko Tomasz Jastrun

Poza jakąkolwiek wątpliwością

Wielkie poruszenie w Polsce po zamachu terrorystycznym w Krakowie. Warto przy tej okazji pamiętać, że Rosja przeprowadza na Ukrainie takie zamachy codziennie i ginie w nich więcej osób niż w Krakowie. Ich rana się nie goi. Rakiety i drony trafiają w budynki mieszkalne, w szpitale i przedszkola. To jest terroryzm w imieniu całego rosyjskiego narodu. Zginęło lub zostało rannych 1,5 mln Rosjan, nie wiemy, ilu poległo Ukraińców. Giną przeważnie młodzi ludzie. Ale mieliśmy czas, by się na to znieczulić.

•

Znany prawicowy publicysta pisze: „Jaki Tusk to jest tchórz. Jakie to jest zero – nie tylko moralne, ale i charakterologiczne. A wy się tego spodziewaliście? Że aż takie zero? (…) Jasne, to polityczny bandzior, najgorszy populista, przemocowy cham... Ale że aż taki tchórz? Aż takie zero, że zamiast samemu stanąć, wysyła swoją cyngielkę, swoją funkcjonariuszkę Korwin-Piotrowską?”.

I tak łagodnie. Tysiące wpisów, w których ludzie, trzęsąc się z nienawiści, rozwodzą się nie tylko nad bezmierną podłością, ale też nad niesłychaną fizyczną brzydotą premiera. Monstrum. Głupiec i nienawistnik widzi to, co czuje, ale my też miewamy widzenie spaczone przez naszą nienawiść. Prezes, Bąkiewicz, Gosek, Matecki, Wójcik są przecież piękni nie tylko duchowo, ale i fizycznie, a ja tego nie widzę zaślepiony niechęcią. I jak trudno nie nienawidzić tych, którzy nas nienawidzą, to przywilej świętych.

•

W styczniu Kaczyński mówił: „O żadnych sojuszach z Grzegorzem Braunem nie ma mowy. Kto chce głosować na Brauna, to głosuje w gruncie rzeczy na Tuska. To głosuje na Putina. To jest poza jakąkolwiek wątpliwością”. W lutym dodawał: „Nie ma mowy o żadnych sojuszach z Konfederacją Korony Polskiej. To ugrupowanie niepoważne, tworzone przez ludzi, których nie powinno być w życiu publicznym”. W czerwcu mówił konsekwentnie: „Grzegorz Braun jest bardzo niebezpieczny. W żadnym wypadku nie można się godzić na funkcjonowanie takiej osoby w polityce. Braun w żadnym wypadku w naszych planach się nie pojawi. Nawet gdyby się okazało, że bez niego nie da się rządzić, to lepiej nie rządzić wcale”.

Czy Braun się zmienił? Nie, to prezes się zmienił. Ale w Polsce był przecież zamach stanu i będzie rozlew krwi, mówi. „Ta władza jest tak bezwzględna i brutalna, i tak bardzo realizuje obce interesy, że być może jest gotowa nawet do przelewania polskiej krwi”. Miał więc prawo prezes zmienić zdanie. Tusk to potencjalny ludobójca. Wyznawcy PiS to zrozumieją. A że Braun jest chorobliwym antysemitą? No tak, przesadza trochę chłop z tymi komorami gazowymi, chyba były, ale w sumie to ma rację, że te Żydki okropne. A że prorosyjski – to wina Ukraińców, mordowali Polaków na Wołyniu. A że nazywa Unię eurokołchozem? Unia ma swoje wady, nic złego się nie stanie, jak z niej wyjdziemy. Swoje już wzięliśmy.

Przytulenie Brauna przez prawicę odbędzie się w ramionach Nawrockiego, któremu poglądy Brauna za bardzo nie przeszkadzają, w dużej mierze je podziela.

•

Biorę udział w programie interwencyjnym „Sprawa dla reportera”. Ofiarą jest właściciel dużej restauracji serwującej pizzę w małej miejscowości. Człowiek małego sukcesu, świetnie mu szedł interes. Nagle dowiedział się, że biuro rachunkowe źle prowadziło jego rachunki i jest winien skarbówce 800 tys. zł. Nie tylko został bankrutem, ma też mordercze długi. Jego jedyną winą jest zaś to,

Przytulenie Brauna przez prawicę odbędzie się w ramionach Nawrockiego.

że nie kontrolował biura, mało który biznesmen to robi, zwykle nie ma na to czasu ani umiejętności. To się opiera na zaufaniu. W programie biorą udział dobrzy prawnicy. Ja ledwie liczę do dziesięciu, ale wyciągam z programu dwa wnioski. Pierwszy: przedsiębiorca nie ma prawa do pomyłki, a jak się pomyli, jest traktowany jak przestępca. Druga konkluzja: Polska ma fatalny, skomplikowany i bezsensowny system podatkowy, jeden z najgorszych w Europie.

Rodzi się tu pytanie, jak to się stało, że odnieśliśmy taki sukces gospodarczy. Jakim cudem? I jaki byłby stan naszej gospodarki, gdyby 3 mln dużych i małych biznesów miało lepsze warunki do pracy i rozwoju? Nasze wojny polityczne powinny być też o to, ale politycy są tak zajęci wojaczką, że nie mają kiedy poprawić systemu, który niewiele się zmienił od lat 80. Poseł pytany o to w programie tłumaczy się, że zbyt duży opór materii i jest bezradny. Ale przecież o reformę woła nie tylko system podatkowy, lecz także system emerytalny i ochrona zdrowia. Żaden rząd nie zdecyduje się tu na radykalne kroki, bo od razu straci władzę. Zapomniałbym o wymiarze sprawiedliwości… ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1561774341

Za wolność i rewolucję

Polski antyfaszyzm na wojnie domowej w Hiszpanii

Rozmawia Roman Kurkiewicz

JEREMI GALDAMEZ MUÑOZ I ALEKSANDRA LIPCZAK

– autorzy książek o dąbrowszczakach



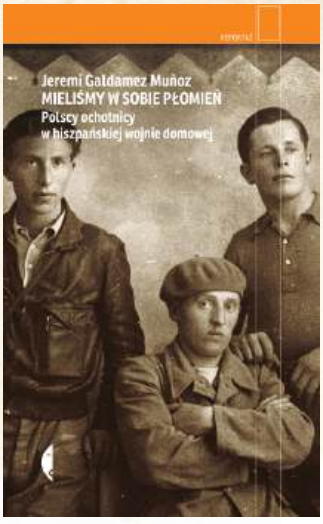

Jeremi Galdamez Muñoz, *Mieliśmy w sobie płomień. Polscy ochotnicy w hiszpańskiej wojnie domowej*, Czarne, Wołowiec 2026

Historia, którą opisujecie, to historia zapomniana, wyparta albo pełna przekłamań. Dąbrowszczacy i dąbrowszczanki ruszyli na pomoc republikańskiej Hiszpanii po puczu wojskowym gen. Franco. Co było dla was impulsem, żeby napisać ważne książki o nich, wypełniające lukę i po 1945 r., i po 1989?

Jeremi Galdamez Muñoz: – Dla mnie bezpośrednim, politycznym impulsem stała się próba odebrania dąbrowszczakom nazwy ulicy w Warszawie, najpierw przez warszawskich radnych, a później w konsekwencji wejścia w życie ustawy dekomunizacyjnej. Była to potrzeba stawienia oporu i zaprotestowania przeciw zideologizowanej ofensywie IPN i prawicowej polityce historycznej, która po 1989 r. zdominowała narracje o historii, podczas gdy lewicowa opowieść została potwornie zmarginalizowana. Wówczas z Maćkiem Sanigórskim utworzyliśmy inicjatywę „Łapy precz od Dąbrowszczaków".

Od dawna interesowałeś się tą tematyką?

JGM: – Sam wiedziałem niewiele o dąbrowszczakach, poza ogólnikami, czyli że to bohaterowie polskiego ruchu antyfaszystowskiego. Wojna domowa w Hiszpanii była mi bliższa z perspektyw anarchistycznych. Znacznie więcej wiedziałem o rewolucji w Barcelonie. I tak ruszyło zainteresowanie, badania, poszukiwania, archiwa, w tym te szczególne, prywatne, udostępniane przez rodziny walczących w Hiszpanii. Zrozumiałem, że jest to po prostu historia, którą trzeba opowiedzieć, bo jest nieznana, a z drugiej strony należy dać odpór prawicowej narracji – zakłamanej, za to wszechobecnej. Broniąc ulicy, nie tylko musieliśmy mówić, kim byli dąbrowszczacy, ale też wiązało się to z odpieraniem różnych kłamstw i zarzutów ze strony IPN.

Olu, a u ciebie jak zakiełkował pomysł na opisanie epopei polskich antyfaszystek w wojnie domowej w Hiszpanii?

Aleksandra Lipczak: – W przypadku kobiet dynamika jest zupełnie inna, bo trzeba było je, jak w każdej herstorii, w ogóle wydobyć z całkowitego zapomnienia, bo o ile sami dąbrowszczacy istnieli jednak w ogólnej świadomości, o tyle wiedza, że istniały jakiekolwiek dąbrowszczanki – albo jakiekolwiek kobiety z Polski, z polskim obywatelstwem, które były w Hiszpanii – była zerowa. Z jednej strony to było odkrywanie nieznanych biografii, a z drugiej pisanie o komunistkach (a w większości to była właśnie identyfikacja polityczna, nie zawsze instytucjonalna) wydaje mi się niezwykle ciekawe. Ta praca trwa już od dawna, zwłaszcza na gruncie akademickim, gdzie debata i refleksja, jak pisać biografie komunistyczne, jest bardzo zaawansowana. Powstają zresztą świetne książki, z publikacjami Agnieszki Mrozik na czele. Prócz tego są teksty i badania, które cały czas się rozwijają, także na gruncie bardziej popularnym. Kontekst,

eprasa.pl 1561774341

w jakim funkcjonujemy, wciąż jest histerycznie antykomunistyczny, więc samo wejście w taki temat stanowi przygodę.

I ty postanowiłaś ją przeżyć.

AL: – Tak, ale też miałam poczucie, że piszę bardzo ważną książkę historyczną, ponieważ są to jednak nieobecne bohaterki zbiorowej wyobraźni. A choć istnieje dużo publikacji na temat np. komunistek (książka Katarzyny Kwiatkowskiej-Moskalewicz „Stygmat"), trudno się utożsamić z bohaterkami. A w przypadku dąbrowszczanek identyfikacja z nimi następuje bardzo łatwo. Miałam wrażenie, że odzyskuję utraconą część genealogii feministycznej. Łączność z nimi jest z dzisiejszej perspektywy ogromna. Ta historia niesie przekaz, który paradoksalnie dla ludzi młodych i nieobciążonych wirusem jaskiniowego antykomunizmu jest istotny, interesujący, czytelny i, co najważniejsze, aktualny.

W jaki sposób aktualny?

AL: – Łączy nas dziś poczucie zagrożenia i niepokojów w związku z narastającymi tendencjami faszystowskimi – paralele z latami 20. i 30. XX w. nasuwają się same. Łączy nas poczucie nadchodzącej katastrofy. Jest w nas impuls, żeby coś zrobić, żeby reagować, dać odpór ciemnym siłom, które jak wtedy przejmują władzę nad światem. Pojawia się internacjonalistyczny odruch, który umożliwia takie myślenie. Istnieje wspólny front – gdziekolwiek geograficznie on przechodzi – niezgody na porządek świata. System, w którym funkcjonujemy, jest nieakceptowalny choćby z powodu skali rozwarstwienia.



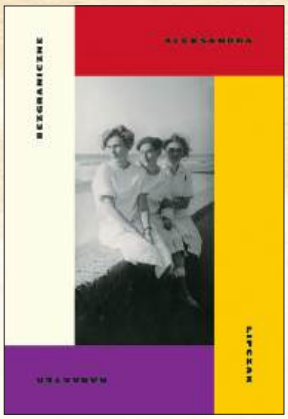

Aleksandra Lipczak, *Bezgraniczne. Antyfaszystki z Polski na wojnie domowej w Hiszpanii*, Karakter, Kraków 2026

Jeremi, operujesz na wielu płaszczyznach: to zarówno pojedyncze życiorysy i historie bojowników, antyfaszystów czy w ogóle żołnierzy Brygad Międzynarodowych, jak i przybliżenie historii samej wojny. Rozbijasz także w pył mity prawicy na ten temat.

JGM: – Zacząłem się zajmować dąbrowszczakami dziesięć lat temu, po siedmiu latach poszukiwań, wędrówek po archiwach usiadłem do pisania, łącząc to z pisaniem doktoratu. Moja opowieść płynie szeroko, czasami robię zbliżenie na konkretne postacie, opisuję zresztą, często po raz pierwszy, dalsze losy dąbrowszczaków: i te wojenne, na wszystkich frontach II wojny, i te niekiedy kontrowersyjne powojenne. Staram się rzucić światło na różne aspekty, opowiadam o żołnierzach frontowych i o ludziach, którzy zajmowali się mroczniejszą robotą, o tych, którzy w PRL zostali wyniesieni na piedestał, i o tych, którzy trafili do stalinowskich kazamat. Wspominam o tych, którzy funkcjonowali w PRL, nie konfliktując się z systemem, ale i o tych, którzy padli ofiarą Marca '68.

W ten sposób pokazujesz wielowątkowość biografii.

JGM: – Całość ich doświadczenia wojennego, politycznego i osobistego została przed 1989 r. okrojona, a potem i spłaszczona wedle reguł uprawiania historii młotem rytualnego antykomunizmu. Dzięki dotarciu do wielu nieznanych i niepublikowanych dokumentów, wspomnień, listów udaje mi się oddać bogactwo doświadczeń. Równocześnie uwalniam tę historię od prawicowego zaklinania rzeczywistości pod hasłem „żołnierze Stalina, mordercy księży". Wyjątkowość książki Oli polega zaś na tym, że opisuje całą grupę antyfaszystek, w 80 zrekonstruowanych i przypomnianych życiorysach.

Napisanie uczciwej książki o dąbrowszczakach jest w polskim dyskursie antykomunistycznym trudne.

AL: – Mamy nazwiska wszystkich walczących dąbrowszczanek (to zasługa roboty Jeremiego), służących na froncie i tych, które pełniły służbę medyczną, co było dominujące. Te młode kobiety wyruszają, porzucając wszystko, do Hiszpanii i poświęcają życie walce z faszyzmem. Ja podążyłam za nazwiskami i opisałam życie tych kobiet. Są tam i osoby znane, choćby Zofia Szleyen, i dotąd niemal anonimowe.

Jest portret i biografia zbiorowa, choć należy pamiętać, że głosy, które są słyszalne, to głosy kobiet wykształconych – w mniejszym

FOT. KLAUDYNA SCHUBERT, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1561774341

stopniu robotnic – które miały ten przywilej, że były sprawne literacko i umiały opisać wydarzenia, w których uczestniczyły. Kobiety, którym udawało się dojechać do Hiszpanii, były przedstawicielkami zawodów medycznych, ponieważ to stanowiło bilet wstępu. Były też anarchistki, które angażowały się w tłumaczenia, prace redakcyjne, organizację sierocińców dla dzieci.

Dąbrowszczacy istnieli w ogólnej świadomości, ale wiedza, że istniały jakiekolwiek dąbrowszczanki z polskim obywatelstwem – była zerowa.

Ponadto wolontariuszki POUM – Partido Obrero de Unificación Marxista, Partii Robotniczej Zjednoczenia Marksistowskiego.

Jest tu także jeden potężny wspólny mianownik.

AL: – Który też dużo mówi niejako o rewolucyjnym ruchu kobiecym w Polsce międzywojennej, czyli że były to głównie Żydówki, co sprzyjało ich radykalizacji politycznej i podejmowaniu zdecydowanych działań, takich jak podróż na drugi koniec Europy na wojnę. W tytule „Bezgraniczne" jest przekraczanie fizycznych granic, ale również rodzaj zaangażowania i poświęcenia. Impuls, który odczuły te młode kobiety ze świata żydowskiego czy uwalniające się od jego opresji, to także historia emancypacji.

Przez tysiące lat wojny wywoływali, prowadzili i opisywali mężczyźni.

AL: – Wygląda na to, że komunizm ze wszystkimi swoimi patriarchalnymi ograniczeniami stwarzał jednak w praktyce pole do rozwoju wolności i samoświadomości. Choć zarazem kobiety często minimalizowały swoją rolę i znaczenie. Nawet w listach pisanych już w Hiszpanii mają poczucie, że to wszystko jest robota polityczna. Były tam jako rewolucjonistki, a ich służba medyczna nie jest tylko wsparciem humanitarnym, ale też formą internacjonalizmu.

Do lat 80. taka różnorodność losów i motywacji wyjazdu do Hiszpanii była spłaszczona. W PRL chętnie rzucano światło na działaczy, posłów, w pewnym sensie zawodowych rewolucjonistów. Ale pojechały tam rzesze robotników i różnych lewicowców o mało znanych losach.

JGM: – Po II wojnie światowej narracja o motywach wyjazdu do Hiszpanii też została spłaszczona i zatarto trochę element rewolucyjno-klasowy na rzecz patriotycznego. Podkreślano przede wszystkim to, że polscy ochotnicy jechali bić się za Polskę, z Hitlerem. Marginalizowano głosy, które przywołuję, że jadą do Hiszpanii po prostu dla rewolucji, zemścić się za lata krzywd i wyzysku. Polskę międzywojnia nazywali faszystowską, a ta zemściła się na nich, pozbawiając ich masowo obywatelstwa. Bardzo zależało mi na oddaniu ich ówczesnego stanu ducha: rewolucyjnego, klasowego i internacjonalistycznego.

Napisanie uczciwej książki o dąbrowszczakach jest w polskim dyskursie antykomunistycznym trudne. Nie ukrywam, że piszę z pozycji sympatii, ale pokazuję całe spektrum problematyki, zawirowań politycznych, geopolitycznych i splątania w czasach stalinowskich.

Ale nie wszystko opisałeś?

JGM: – Zarówno wydarzenia w Hiszpanii, jak i w trakcie II wojny i w PRL to kopalnia tematów oraz możliwych ujęć. Ważne dla mnie było oddanie ówczesnej specyfiki lat walki, identyfikacji i motywacji.

Wojna domowa w Hiszpanii miała, jeśli można tak rzec, szczęście: pojawiło się mnóstwo przedstawicieli światowego establishmentu kulturalnego, pisarzy, poetów, malarzy: Ernest Hemingway, George Orwell, Pablo Neruda, Wystan Auden, André Malraux... W Polsce w obronie republiki pisał Władysław Broniewski, ukazały się doskonałe reportaże Ksawerego Pruszyńskiego.

AL: – Wymieniłeś samych mężczyzn, ale były tam także wielkie kobiety: fotografki Gerda Taro i Margaret Michaelis czy polska reporterka Zofia Kramsztyk. Pisząc książkę, to właśnie ich obrazami i ich głosami chciałam się posługiwać. Wojna w Hiszpanii była wojną dobra ze złem i republice jako przedstawicielce sił jasności udało się zgromadzić po swojej stronie osoby kreatywne, które były jej ambasadorkami.

Polecając wasze książki, możemy zakończyć tę rozmowę dwoma hasłami: „No pasarán!" i „Nigdy więcej wojny, nigdzie, dla nikogo!".

Roman Kurkiewicz

Stefan, nie Stanisław
W numerze 47. błędnie podaliśmy imię Stefana Ciepłego, autora rozmowy z prof. Tadeuszem Popielą. Autora i czytelników przepraszamy.



eprasa.pl 1561774341



Remis uratował nam Sławomir Abramowicz, młody bramkarz Jagiellonii. Wrocław, mecz Polska-Szwecja, 17 listopada 2026 r.

Męczy nas piłka

Gnuśne granie reprezentacji Polski

Wojciech Kuczok

Przed listopadowym zgrupowaniem kadry narodowej mogło się wydawać, że skoro już wszystko stracone i niczego bardziej spieprzyć nie można, czekają nas de facto dwa mecze towarzyskie, w których emocji będzie tyle, co na grzybach po pierwszych przymrozkach. Stało się inaczej – przegraliśmy z kulawą Rumunią i okazało się, że musimy ze Szwecją walczyć o to, by nie zająć ostatniego miejsca w grupie. Oznaczałoby to konieczność zagrania wiosną baraży o uniknięcie spadku do grupy C europejskiej Ligi Narodów, która po najnowszej reorganizacji przepisów (skądinąd trudno za nimi nadążyć) będzie już najniższym poziomem tych rozgrywek. I należy się poważnie zastanowić, czy byłby to dla naszej piłki despekt, czy zwieńczenie drogi do celu – na miano średniaków bowiem też trzeba sobie zapracować, a gnuśność naszych piłkarzy w kolejnych meczach aż bije po oczach.

W klubach waleczni i ofiarni, w kadrze rozmemłani i nieudaczni. Ten rozziew jest naszą bolączką od lat, a jego przyczyna łatwa do rozszyfrowania – nasi piłkarze na co dzień muszą wygryzać ze składu konkurentów, to tam wyrabiają sobie w pocie czoła markę, dzięki której mają szansę na sportowy i finansowy awans. Zgrupowania reprezentacji traktują jak wyjazd integracyjny i odpoczynek od ligowego znoju – można się spotkać ze starymi kumplami, przy okazji zagrać parę meczyków w biało-czerwonym trykocie bez ryzyka, bo wskutek narodowej demograficznej nędzy futbolowej i zachowawczości kolejnych selekcjonerów jest się pewniakiem w pierwszym składzie.

Trener reprezentacji dopiero z nożem na gardle odważa się odsunąć od składu zblazowane gwiazdy i wprowadzać młodziaków, tak jak to się stało we wrocławskim meczu ze Szwedami. Selekcjonerzy reprezentacji Polski, wywodzący się z rodzimego środowiska, wiedzą bowiem, że posada coacha narodowego jest ich życiowym szczytem, ryzykować nie chcą, aby nie narazić się na rychłą utratę stanowiska. Dopiero dociśnięci przez opinię publiczną i dziennikarzy podejmują ruchy radykalne, najczęściej poniewczasie.

Pisałem przed tygodniem o złej sławie polskiej myśli szkoleniowej i zerowym dorobku europejskim kolejnych selekcjonerów; ten temat warto przypomnieć wobec gorączkowych poszukiwań ewentualnego następcy Jana Urbana. PZPN znowu się rozgląda po krajowym podwórku, a mnie szlag trafia. Jeśli związku nie stać na ściągnięcie trenera, który w ostatnich latach przepracował choć parę sezonów w jednej z czołowych lig europejskich, niech przyoszczędzi te trzy bańki odszkodowania i zostawi Urbana na stanowisku. Nie ma

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 1561774341

żadnego znaczenia, kto spośród Polaków go zastąpi – zmiany jakościowej nie uświadczymy.

Do jakiej bowiem sprawdzonej i wypracowanej przez siebie jakości miałby nas doprowadzić np. Jerzy Brzęczek, który najlepsze wyniki trenerskie osiągał w Wiśle Płock, kiedy zakończył z nią rozgrywki na piątym miejscu w Ekstraklasie w sezonie 2017/2018? Maciej Skorża ma na koncie mistrzowskie tytuły z Lechem i krakowską Wisłą, ale w Europie jego kluby przepadały. Szczególnie boleśnie odbijał się np. Lech od Bazylei; czy Szwajcarzy mają nam wyznaczać piłkarski sufit?

Trwają ponoć także intensywne rozmowy z Kostą Runjaiciem, zwolnionym niedawno z Udinese – ten trop jest właściwy. Odwieczny argument piłkarskich patriotów, że obcokrajowiec nie powinien nas trenować, bo „nie zna polskich realiów" (jak dla mnie to akurat zdrowy objaw i spora zaleta), w przypadku Niemca nie zadziała. Runjaić, zanim przyszło mu przez dwa sezony podtrzymywać w Udinese poziom odwiecznego średniaka Serie A, stał się najdłużej pracującym trenerem w historii Pogoni Szczecin i z dołów tabeli wyciągnął ją dwukrotnie na podium Ekstraklasy, a potem zdobył wicemistrzostwo z Legią, na dodatek w europejskich pucharach też z nią pohasał (zwycięstwa z AZ Alkmaar i z Aston Villą po jednym z najlepszych występów Warszawian w pucharowej historii).

Wróćmy jednak do dwóch ostatnich, być może pożegnalnych meczów kadry Urbana. Od oglądania tego w Bukareszcie zęby bolały. Podopieczni Gheorghe Hagiego z jego synem Ianisem w roli kapitana nie byli nawet odrobinę lepsi niż w kompromitującym dla nich meczu w Warszawie, po prostu nie musieli przez godzinę grać w dziesiątkę.

W pierwszej połowie nasi szarpnęli na początku i Robert Lewandowski już po sześciu minutach trafił do siatki. Sędziowie VAR ośmielili się jednak dojrzeć w tej akcji spalonego, gola odwołali i nasi piłkarze skonfundowani tym, że łatwego i szybkiego zwycięstwa tym razem nie będzie, w bramkę trafiać w ogóle przestali. Po przerwie Rumuni uwierzyli, że rozleniwieni Polacy krzywdy im nie zrobią, i sami zaczęli strzelać. Najpierw także im sędzia gola odebrał, ale potem już dostali co swoje dzięki niemrawości polskiej defensywy; w końcówce honorowego gola zdobył głową Marcel Reguła.

Przegraliśmy z obiektywnie słabszą od siebie ekipą, co boli szczególnie, bo zwykle bywa języczkiem u wagi w przypadku zwolnienia selekcjonera. Od dawna nie oczekujemy bowiem od reprezentacji cudów, a jedynie tego, by nie grała poniżej swoich skromnych możliwości. Probierz wyleciał za Finlandię, Santos za całokształt ze szczególnym uwzględnieniem klęski mołdawskiej, teraz w Rumunii swój mecz hańby przeżył Urban.

Nasi piłkarze zgrupowania reprezentacji traktują jak wyjazd integracyjny i odpoczynek od ligowego znoju.

Ze Szwedami mieliśmy okazję poprawić atmosferę choćby z tej przyczyny, że gracze Trzech Koron byli już pewni wygrania grupy, wyszli na nas wyłącznie dla zabawy, a i po zabawie, bo trener dał im w nagrodę dzień wolnego przed meczem z Polakami. I tym razem się nie udało – remis uratował nam Sławomir Abramowicz, młody bramkarz Jagiellonii, który co prawda w pierwszej połowie dał sobie strzelić gola między nogami, ale potem już wyczyniał w bramce cuda i interwencjami na światowym poziomie załatwił nam upragniony punkcik.

Urban wprowadził młodzież, ale tym razem na niewiele to się zdało, w dodatku wszyscyśmy zadrżeli, gdy Marcel Reguła, zamiast w dogodnej sytuacji zdobyć gola, upadł po niebezpiecznym przeproście kolana i zwijał się z bólu. Podejrzenie uszkodzenia więzadeł było wyjątkowo ponure w przypadku zdolnego chłopaka, o którym już podobno plotkują na Santiago Bernabéu, na szczęście rezonans magnetyczny wykluczył tę kontuzję u 20-letniego pomocnika Zagłębia Lubin.

Czy były zatem jakieś pozytywy w tej narodowej bryndzy? Na pewno „odkrycie" Adriana Benedyczaka, którego liczby w lidze tureckiej najwyraźniej nie kłamią. Siedem goli i dwie asysty w 11 meczach dla Kasimpasy. I ktoś się wahał, czy tego gościa wystawić w pierwszym składzie? Toż to bramkomat z baterią doładowaną do pełna – wystarczyło mu parę minut z Rumunią, żeby kropnąć gola wespół z Marcelem Regułą (obaj dołożyli głowy), i kwadrans, żeby huknąć celnie Szwedom. Karol Świderski może mu buty czyścić, a Robert Lewandowski w najlepszym razie go zmieniać w końcówce – Adrian jest teraz w takim gazie, w jakim był Krzysztof Piątek w swoim najlepszym czasie. Zmianę klubu na silniejszy wieszczę jeszcze tej zimy.

Na pewno młody stoper Mainz Kacper Potulski – to jest jeszcze nastolatek? Dla Jakuba Kiwiora i Jana Bednarka raczej pan piłkarz. Niech się nasi elektryczni stoperzy uczą od niego pewności i czytania gry. Od razu widać różnicę między Bundesligą a ligą portugalską, w której FC Porto gra raptem cztery poważne mecze w sezonie. Potulski co tydzień musi w Moguncji zdawać egzamin piłkarskiej dojrzałości.

Nie zawiódł także ze Szwedami Piotr Zieliński, nieobecny w Bukareszcie z powodu rehabilitacji. Powiedzieć, że nasz playmaker robi różnicę, to nic nie powiedzieć: ze Szwecją miał stuprocentową celność podań i reżyserował grę Polaków, bez niego z Rumunią graliśmy brudny piach mazowiecki. Paru młodych pokazało też, że są gotowi grać z seniorami i różnicy na niekorzyść nie widać.

Reguła, Wiktor Nowak i Oskar Kubiak powinni w tej kadrze zostać na dłużej, można ich co najwyżej wypożyczyć na juniorskie mistrzostwa Europy. Z kilkoma tłustymi kotami trzeba za to wziąć reprezentacyjny rozbrat – zwłaszcza nasze duety z FC Porto (obrońcy Kiwior i Bednarek) i z Rennais (Sebastian Szymański i Przemysław Frankowski) powinny zrozumieć, że daleko im do niezastąpionych.

Wojciech Kuczok

eprasa.pl 1561774341

Sztuka nie może kończyć się na nagrodach

Praca w kulturze opiera się w dużej mierze na poczuciu misji i miłości do tego, co robimy

Rozmawia Tomasz Miłkowski



MARTA MIŁOSZEWSKA
– dyrektorka Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza w Gdyni

Wraz z objęciem funkcji dyrektorki Teatru Miejskiego w Gdyni spadły na panią nieoczekiwane kłopoty administracyjne, absorbujące bardziej niż plany artystyczne.

– W ostatnim miesiącu, podpisując jakieś wiadomości, trzy razy odruchowo złożyłam podpis jako dyrektorka naczelna i administracyjna. Tymczasem mój tytuł brzmi: dyrektorka naczelna i artystyczna.

Freudowska pomyłka?

– Nie spodziewałam się, że administracja aż tak zdominuje zadanie, którego się podjęłam, choć świadomie nie zaplanowałam żadnej pracy reżyserskiej w teatrze na pierwszy rok swojej dyrekcji.

Większość zaczyna dyrekcję od reżyserowania.

– Uznałam, że to moja deklaracja ideowa, że zanim zacznę reżyserować, muszę ten teatr bardzo dobrze poznać. Od kilkunastu już miesięcy zgłębiam jego tajemnice. Myślę, że w tej chwili nikt nie wie o nim więcej niż ja. Teatr jest bardzo zaniedbany, a jego infrastruktura przestarzała. Budynek zaczynał funkcjonowanie w czasie wojny jako garaż dla faszystowskich samochodów, a nasz radca prawny używa określenia, że budynek dożywa swojego celu budowlanego.

Mówi się o nowej siedzibie, ale kiedy to się zdarzy, nie wiemy.

– Dopóki się nie zdarzy, musimy funkcjonować bezpiecznie i w miarę komfortowo w tym budynku.

Z zewnątrz wygląda kolorowo, wesoło, wydaje się, że wszystko jest w porządku.

– Ale jak człowiek się przyjrzy, płytki odpadają. Nie zamierzam niczego pudrować. Uważam, że cena, którą płacę, jest wysoka. Traktuję swoje zadanie bardzo poważnie i zaangażowałam się w nie na tysiąc procent. To znaczy, że przeprowadziłam się do Gdyni z całą rodziną i czasem pracuję siedem dni w tygodniu, po kilkanaście godzin na dobę. Nieraz zarywam noce. Mam prawie 50 lat i już wiem,

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

eprasa.pl 1561774341

że to nie jest mądre, na dłuższą metę tak się nie da. Ale jest tyle rzeczy do zrobienia, żeby realnie polepszyć byt tego teatru i byt zespołu.

Praca w kulturze opiera się w dużej mierze na poczuciu misji i miłości do tego, co robimy, dlatego jest niebezpieczna. Dlatego odsetek wypalenia zawodowego wśród osób pracujących w kulturze jest tak wysoki.

Ale to jeszcze pani nie zagraża?

– Nie, nie doszłam do tego momentu. Mam wielką frajdę i przyjemność pracy z tym zespołem. Widzę ogromne poczucie sensu. Po 14 miesiącach mojego dyrektorowania szacuję, że moja koncepcja programowa, założona na cztery lata, w 45% jest wykonana.

Stanęła pani przed zadaniem odświeżenia koncepcji, która zrosła się z tym teatrem. Mam na myśli Gdyńską Nagrodę Dramaturgiczną i Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych R@port, który wrócił w okrojonej formie.

– Konstrukcja programu festiwalu była limitowana finansowo.

Róbmy to, co można?

– Tak, róbmy to, co można. Nie jestem rewolucjonistką, jestem ewolucjonistką, zawsze miałam głębokie przeświadczenie, że to, co budujemy, budujemy na barkach i ramionach tych, którzy byli przed nami. Cenię moich poprzedników i doceniam wkład każdego z dyrektorów w ten zespół, w ten budynek, w to miejsce i w ideę Teatru Miejskiego. Moją rolą jest zrozumienie przebytej drogi i sensowna zmiana. Jeżeli chodzi o skalę Festiwalu R@port, posługuję się określeniem wytrychem, że to jest edycja pomostowa.

Dlaczego pomostowa?

– Dlatego, że budżet festiwalu, który otrzymaliśmy w ramach dotacji celowej, to 800 tys. zł. Festiwal został zamrożony w czasie pandemii pięć lat temu i nawet wtedy dysponował już większym budżetem, a mieliśmy do czynienia z inflacją i ogromnym wzrostem cen usług i towarów. 800 tys. dzisiaj to nie to samo, co 800 tys. przed 2020 r.

Jak na festiwal budżet skromny.

– Festiwale tej miary mają budżety przynajmniej dwukrotnie większe, jeżeli odniesiemy się do Festiwalu Prapremier w Bydgoszczy albo popatrzymy na budżet Warszawskich Spotkań Teatralnych. To wysokość budżetu, do której dążymy, docelowa. Będziemy też zabiegać o dofinansowania zewnętrzne. W zeszłym roku nie było na to czasu, bo do teatru weszłam we wrześniu.

Powrót festiwalu musiał być ostrożny?

– Nie chcieliśmy przeszacować, przestrzelić albo stanąć przed niebezpieczeństwem, że na coś nie starcza pieniędzy. Dlatego festiwal został zaprojektowany w ten sposób, żeby było dużo wydarzeń, które mówią o polskiej dramaturgii współczesnej z wielu punktów widzenia i wprowadzają pewną intermedialność.

Jego różnorodność widać było na pierwszy rzut oka.

– Ale do tego doszedł pomysł, że do „pomostu" prowadzi przedtakt, ściślej: jest przedtakt i potakt. Z tego, co wiem, Instytut Teatralny prowadzi teraz badania nad sensem formuł festiwalowych. Czym są współczesne formuły festiwalowe? Także pod względem ekologii oraz pod względem ekonomicznym. To znaczy takie duże, celowane wydatkowanie pieniędzy w krótkim okresie. Jak to działa? Jakie są plusy, jakie minusy?

Wiadomo, że plusem jest duże, punktowe zainteresowanie miastem, teatrem i wydarzeniem. Minusem to, że bardzo duża suma pieniędzy jest tak właśnie punktowo wydatkowana, a jednocześnie może brakować atrakcyjnych wydarzeń w planie instytucji przez dłuższy czas. Mówi się o formule festiwali kroczących, które mogą być bardziej rozciągnięte w czasie.

Taka formuła w Europie zaczyna się przyjmować.

– Stąd i nasza pomostowa formuła, która trwała między 21 a 24 października i nazywa się R@port – Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych. Dołożyliśmy do niego dwa cykle wydarzeń.

Jeden, który jest przedtaktem, przystawką, przygrywką, nazywał się R@port Support. To cykl wydarzeń wprowadzających, mających zainteresować widzów, widzki, odbiorców tym, co możemy zaproponować, ale też wyjście z naszymi działaniami w niezbyt oczywiste przestrzenie, jak wystawa „Filopat i Patafil" Libery i Sobczyka, którą zrealizowaliśmy we współpracy z Gdyńskim Centrum Filmowym. To ciekawa opowieść o tym, jak dramaturgia w polskiej sztuce wizualnej może działać, jaka jest relacja między obrazem a tekstem. Bałyśmy się z moją zastępczynią, dyrektorką Kasią Renes, jak zostanie przyjęta, ale na wernisażu był tłum. I udało się coś, co się rzadko tutaj w Gdyni udaje: odwiedziła nas silna reprezentacja z Sopotu i Gdańska.

Czyli zaistniało Trójmiasto.

– Tak, zaistniało Trójmiasto. Zaplanowaliśmy też R@port Post Scriptum, cykl wydarzeń towarzyszących, które nawiązują do tematu, wątków, motywów podejmowanych w czasie festiwalu. Wspólnym mianownikiem wszystkich wydarzeń jest polska dramaturgia współczesna. Definiowana jako sposób opowiadania o świecie współczesnym, budowania relacji, rozwiązywania konfliktów. To cel, który nam przyświeca: uczynić z Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza w Gdyni instytucję, którą można nazywać Domem Polskiej Dramaturgii.

Pięknie brzmi, ale może to po sezonie? Może na dramaturgię współczesną nikt nie czeka? Na gdyński konkurs dramaturgiczny przez minione lata napłynęło parę tysięcy nowych sztuk, ale większość zaległa w archiwach.

– W tym roku było ich 159. Rekordowa była jedna z edycji pandemicznych, kiedy napłynęły 253 sztuki. To potężne zasoby, nawet licząc tylko dramaty wyselekcjonowane do tzw. wielkiego finału, a nie tylko do krótkiego finału, do którego wchodzi pięć sztuk zakwalifikowanych do publicznego czytania.

Znakomita większość sztuk finalistów kończy żywot na tym czytaniu, potem wpada w czarną dziurę.

– Wracamy do tej kwestii. Zawiązujemy „spisek", żeby naprawić relację tekst-teatr. Jeżeli dramaturdzy, dramaturżki, dramatopisarze i dramatopisarki piszą utwory dramatyczne, to ich życie realizuje się w teatrze i w kontakcie z widownią, a nie tylko literacko. Kiedy startowałam w konkursie na dyrekcję Teatru Miejskiego, taką diagnozę postawiłam. Zauważyłam, że wyróżniane teksty coraz bardziej

eprasa.pl 1561774341

w minionych latach odklejały się od teatru, choć mieliśmy też do czynienia z utworami, które przed zgłoszeniem do konkursu były już wystawione.

Teatr nie lubi tekstów napisanych na zamówienie innego teatru. Obieg współczesnej dramaturgii jest trochę zakorkowany.

– A mnie się marzy taka sytuacja, żeby teksty, które powstają z myślą o konkursach, a przede wszystkim o naszym konkursie, o naszej nagrodzie, miały szansę na długie teatralne życie. Trzeba ten obieg udrożnić. Taką próbą jest powołanie Koalicji Teatrów dla Polskiej Dramaturgii.

To nie utopia?

– Może to jest idée fixe. Czy spełni nasze marzenia i pokładane nadzieje, to się okaże. Teatr Miejski jest inicjatorem i liderem tej koalicji, a zaprosiliśmy do współpracy osiem ważnych scen: Teatr Słowackiego w Krakowie, Teatr Śląski w Katowicach, Teatr Jaracza w Olsztynie, Teatr Jaracza w Łodzi oraz Teatr Dramatyczny w Warszawie, a także Teatr Telewizji i Teatr Polskiego Radia. To naprawdę potężna stawka. Na gali zamknięcia Festiwalu R@port i wręczenia Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej uroczyście podpisaliśmy ten „pakt" na rzecz promowania i wzmacniania współczesnej dramaturgii oraz osób piszących dla teatru i umożliwienia im wejścia w realny teatralny obieg.

Wyrazem tego było przyznanie pozaregulaminowej honorowej nagrody Koalicji Teatrów dla Polskiej Dramaturgii, czyli zobowiązania, że każdy teatr partnerski zaprezentuje ten tekst w ramach swoich działań repertuarowych. Za tym też będzie szła gratyfikacja finansowa, ponieważ każdy teatr będzie płacił temu autorowi bądź autorce honorarium autorskie za przygotowane czytania.

Przyznaliśmy dodatkowo Nagrodę Specjalną Teatru Miejskiego, będącą deklaracją wystawienia wybranej sztuki w naszym teatrze do końca bieżącego lub w następnym sezonie artystycznym.

To przedstawienie w przyszłym roku zostanie włączone do programu Festiwalu R@port?

– Takie jest założenie. Wprowadzona została jeszcze jedna zmiana, z której jestem bardzo dumna, mianowicie inny podział nagrody. Dotychczasowe wyróżnienia za udział w finale były wyłącznie wyróżnieniami honorowymi, finaliści, autorki i autorzy sztuk finałowych, otrzymywali piękne plakietki. Poza tym odchodzili z kwitkiem, a raczej bez kwitka, ponieważ była tylko jedna nagroda, czyli Główna Gdyńska Nagroda Dramaturgiczna (50 tys. zł). Po raz pierwszy w tym roku autorzy każdej sztuki finałowej otrzymali po 10 tys. zł za wejście do finału, a za Nagrodę Główną dodatkowo 30 tys.

Zawsze miałam przeświadczenie, że to, co budujemy, budujemy na barkach tych, którzy byli przed nami.

Zawsze niepokoiło mnie po kolejnych finałach Gdańskiej Nagrody i czytaniach, że obcujemy z tekstami jednorazowego użytku. Nareszcie widzę próbę przełamania tego.

– Nowe dramaty mają trudności. Siedzimy w moim gabinecie i pokazuję palcem nazwisko Michała Walczaka na jednym z plakatów. Prawda jest taka, że był jednym z ostatnich takich „przypadków" 25 lat temu, kiedy jego debiutancka sztuka „Piaskownica" nagle rozbłysła jak gwiazda i była grana wszędzie.

Rzeczywiście, nawet w piwnicach przez rozmaitych entuzjastów.

– I nam się marzy taka sytuacja, żeby przywrócić ten rodzaj obiegu. Udało nam się też pozyskać dofinansowanie w ramach programu „Literatura" i będziemy wydawać zeszłoroczne i tegoroczne sztuki we wspólnym tomie antologii Gdańskiej Nagrody Dramaturgicznej, a więc te teksty zyskają formę materialną. Będzie można je wziąć do ręki i przeczytać.

Cały zasób sztuk finalistów jest dostępny na stronie internetowej konkursu.

– Bardzo lubię myśleć, że to wkład Teatru Miejskiego w Gdyni w dziedzictwo narodowe. Baza sztuk finalistek Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej jest ogólnodostępna za darmo, w każdej chwili, dla każdego. Już dzisiaj możecie Państwo czytać sztuki finałowe z tego roku: na stronie miejskigdynia.pl jest zakładka GND, a w niej Baza Sztuk i tam można znaleźć sztuki finalistki z ostatnich 19 edycji Gdyńskiej Nagrody. 95 sztuk. W przyszłym roku będzie już setka.

Liczy pani na zmianę miejsca nowej dramaturgii w polskim teatrze?

– Mam nadzieję, że to się zdarzy, tak czy owak jest szansa na przełamanie impasu. Miasto Gdynia i włodarze miasta, czyli organizatorzy naszego teatru, robią wiele dla polskiej dramaturgii i polskiej literatury. To nie tylko Gdyńska Nagroda Dramaturgiczna, której 19. edycję mamy za sobą, ale także Nagroda Literacka Gdynia, która ma aż cztery kategorie. Chciałabym dorzucić jeszcze jeden kamyczek, a mianowicie fakt istnienia nagrody, która zapewne jest pana sercu najbliższa, czyli Nagrody Żurowskiego dla młodych krytyczek i krytyków teatralnych. Teatr Miejski w Gdyni jest jedynym publicznym teatrem w Polsce, który przyjął na siebie instytucjonalną odpowiedzialność za wspieranie młodej krytyki teatralnej. Żaden inny teatr tego nie robi w ten sposób. Bardzo chciałabym ją wzmocnić, bo sytuacja młodej krytyki teatralnej nie jest łatwa. Na szczęście ciągle są młode krytyczki, młodzi krytycy, którym się chce i którzy robią to wspaniale, Państwo jako jury to doceniacie. A my jako teatr deklarujemy, że dalej będziemy wspierać i walczyć o to, żeby tę nagrodę rozwijać, ponieważ rzeczywiście myślimy o naszych wydarzeniach jako o triadzie, która powinna się dopełniać. Jest Festiwal R@port, jest Gdyńska Nagroda Dramaturgiczna oraz Nagroda im. Andrzeja Żurowskiego dla Młodych Krytyczek i Krytyków Teatralnych. To jest odpowiedzialność naszego teatru, to jest odpowiedzialność Gdyni. Mam nadzieję, że krytycy i krytyczki teatralni z całej Polski będą przyjeżdżać do Gdyni i o nas pisać. Niekoniecznie dobrze, ale uczciwie, bo my Państwa traktujemy poważnie i mam nadzieję, że też będziemy traktowani poważnie.

Tomasz Miłkowski

eprasa.pl 1561774341

NA EKRANACH



Zobaczysz wszystko,

prod. USA, reż. Nathan Fielder, Lance Oppenheim, już w kinach

Czy naprawdę jesteśmy w stanie zobaczyć o kimś wszystko? Takie pytanie zadają twórcy jednego z najlepszych metadokumentów ostatnich lat. Nathan Fielder i Lance Oppenheim spędzają kilkanaście dni z Elizabeth Holmes, która jeszcze 10 lat temu była na ustach całego świata, kiedy okazało się, że jej firma Theranos to jeden wielki scam. Czy najmłodsza miliarderka na świecie rzeczywiście wiedziała, że okłamuje ludzi? A może została wykorzystana? Fielder i Oppenheim konfrontują się z tymi i innymi pytaniami, próbując się przebić przez fasadę kłamstw samej Holmes. Dokonają wielu odkryć, które zaskoczą ich samych: część będzie przerażająca, inne zabawne, a jeszcze inne sprawią, że i oni, i widzowie zakwestionują wszystko, co dotychczas wiedzieli o Holmes. To dokument o prawdzie obiektywnej, prawdach naszych i waszych; o tym, że słowo prawda ma wiele znaczeń i tak naprawdę nigdy nie będziemy w stanie jej w pełni zrozumieć.

Jan Tracz

MIĘDZY OKŁADKAMI



Maciej Marcisz

Gorszy syn

W.A.B., Warszawa 2026

Maciej Marcisz powraca do tematów, które badał już wcześniej – rodzinnych uwikłań, oczekiwań i skrywanych sekretów. Tym razem na tapet bierze relację trzech braci oraz ich ojca, dawnego właściciela sklepów. Gdy głowa rodziny traci zdrowie, rozproszeni bracia zostają zmuszeni do powrotu i zmierzenia się z bolesną przeszłością oraz duchem zmarłej matki. Autor unika taniego sentymentalizmu. Jego bohaterowie to mężczyźni zamknięci w sobie, naznaczeni milczeniem i poczuciem niespełnienia. Tytułowy „gorszy syn" staje się symbolem każdego, kto kiedykolwiek czuł się gorszy, niewystarczający lub pominięty. Marcisz udowadnia, że jest mistrzem tzw. literatury środka, umiejętnie wplata w realistyczną tkankę elementy baśniowej przypowieści, nadając całości uniwersalny wymiar.

Rafał Pikuła

KURTYNA W GÓRĘ

Wbrew okolicznościom

Gdyby Maria Skłodowska była tzw. realistką, czyli uznała, że trzeba poprzestać na tym, co możliwe, nigdy nie osiągnęłaby tak wiele. Nie dokonałaby przełomu w nauce i wyłomu w traktowaniu kobiet jako osób niezdolnych do poważnych prac intelektualnych. Nie stałaby się ikoną kobiecego geniuszu. Działała jednak wbrew okolicznościom czasu i miejsca. I dopięła swego. Jak wysoką przy tym zapłaciła cenę, niby wiadomo, ale do końca nie dowiemy się nigdy.

Próbą odtworzenia zmagań badaczki o uznanie jej dorobku, także w skali międzynarodowej, jest monodram Agnieszki Przepiórskiej „Maria Skłodowska-Curie. Doświadczenie". Wpisuje się on w nurt monodramów tworzonych wspólnie z Piotrem Rowickim, nazywanych przez jego twórczynię bioteatrem. Aktorka ukazuje w kolejnych spektaklach głównie postacie mniej znane, a nawet zapomniane lub spychane na margines. Tym razem mowa o kimś, kto jest na świeczniku, choć tak naprawdę poznanie doświadczenia bohaterki pozostaje wyzwaniem.



Dotyczy to zwłaszcza pracy badawczej, która w tym monodramie ukazana jest w tle – trudno znaleźć klucz do opowiadania o nudnym znoju. Silniejszy akcent – i to atut tego monodramu – pada na walkę Marii Skłodowskiej-Curie o pozycję kobiety, o akceptację jej osiągnięć. Przepiórskiej udaje się przekonać do postawy uczonej, a zadanie ułatwia powszechny szacunek, jakim dzisiaj cieszy się Skłodowska. Dowodzi też udziału uczonej w walce feministek o prawa kobiet, choć Skłodowska nigdy nie uważała się za feministkę.

Zasługą Piotra Rowickiego, autora scenariusza, jest ukazanie niełatwej drogi poprzedzającej ryzykowny wyjazd bohaterki do Paryża, a potem jej walki o prawo do studiów i do pracy; tego, jak była zdeterminowana, aby zmienić swoje życie. Jak się okazało, nie tylko swoje.

Tomasz Miłkowski

Piotr Rowicki, „Maria Skłodowska-Curie. Doświadczenie", reżyseria i scenografia Justyna Łagowska, koprodukcja Teatr Stary w Lublinie i Dom Spotkań z Historią, polska premiera 19 czerwca 2026

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. DOROTA AWIORKO I WOJCIECH NIEŚPIAŁOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 1561774341

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Bursztynowy stolec

Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Na bursztynowym stolcu podarowanym przez Batyra Trumpowi może więc bez skrupułów spocząć Putin. A jak już się rozsiądzie, pewnie zachce mu się całej Bursztynowej Komnaty, którą ostatnio widziano gdzieś pod Kaliningradem – trzeba zatem będzie Rosji tam skomasować siły poszukiwawcze i utorować drogę powrotną skarbu, najprościej przez Suwałki.

Coraz rzadziej wierzę własnym oczom i uszom, nie tylko z powodu AI (ostatnio organizatorzy konkursu poetyckiego przestrzegli mnie jako jurora: „Grafomanię odsialiśmy w preselekcji, ale uważaj na sztuczną inteligencję!"). Nie dociera bowiem do mojego rozumu skala służalczości polskiego prawactwa wobec kanalii, która w biały dzień przed kamerami brata się w uścisku z jej best friendem Władimirem, wodzem ludobójczego imperium.

Tron wysadzany bursztynami od prezydenta to nie jest jakiś tam niewinny birthday gift, to jest zaproszenie, a mówiąc językiem koszarowym – wypięcie nawilżonej kiszki. Na zaplecku brakuje tylko parafrazy deklaracji konfederatów sprzed bez mała ćwierci milenium: „Nic innego nie zostaje, tylko uciec się z ufnością do Wielkiego Donalda, zabezpieczając się tak na wspaniałości tego wielkiego monarchy, jako i na traktatach, które go z Rzczpltą wiążą" czy jakoś tak. Nie można już dosadniej wyrazić pragnienia podległości – tymczasem ten lizusek na sterydach potem lezie na czele Marszu Niepodległości, a wpatrzone w niego bęcwały z racami spijają mu z ust słowa o suwerennej i silnej Polsce.

Tego się nie da skleić i pogodzić człowiekowi rozumnemu, nie mam już żadnych wątpliwości, że elektorat Nawrockiego to nie tylko ludzie resentymentu, ale przede wszystkim zgraja nieuków, umysłowych niedorajd i zwyczajnych durniów. Mam dupoko w głębie niepoprawność polityczną tego stwierdzenia – kto szanuje obecnego prezydenta Rzeczypospolitej, ten pucuje bursztynowy podnóżek Putinowi – ten sylogizm nie jest nijakim nadużyciem.

Premier zaprosił prezydenta na spotkanie opłatkowe, z którego ten drugi się wykpił, a szkoda, bo zżera mnie ciekawość, jaki prezent pod choinkę wymyśliłby Batyr dla swojego ukochanego wroga. Symbolika tronu z bursztynu jest aż nazbyt oczywista, na żadne subtelne aluzje tu liczyć niepodobna, chlebem i solą witamy obcego imperatora na czele, jedyny zaś mebel, na którym prawactwo chciałoby ujrzeć Tuska, to krzesło elektryczne.

Myśli w poczynaniach Pałacu Prezydenckiego widzę tylko dwie: przyświeca tym ciemniakom wyłącznie żądza zrobienia za złość Tuskowi i chęć przypodobania się Trumpowi – wszystkie konsekwencje uboczne są tego warte. Dlatego jednego dnia Batyr wetuje ustawę, która miała wdrażać unijny projekt kontroli nad hejtem i deepfake'ami w sieci, a drugiego Batyrowa przemawia zatroskana o bezpieczeństwo dzieci w internecie. „Dzieci to nasza przyszłość", czyta z kartki pani Marta, lecz nie doczytuje już tego, co tam drobnym drukiem mąż pewnikiem dopisał („ale amerykańskie big techy to nasza teraźniejszość").

Notabene Elon Musk musiał niedawno wybrać się do kina na skądinąd świetny film Martina McDonagha „Dziki Koń Dziewięć", którego bohaterami są dwaj agenci CIA, zawodowi destabilizatorzy demokracji, którzy osobiście stali za zamachami stanu tam, gdzie wybrano niewłaściwych z punktu widzenia Białego Domu przywódców. Świeżo po przygotowaniu puczu Pinocheta udają się na Wyspę Wielkanocną, gdzie starszy z nich, toczony przez terminalną chorobę, chce zakończyć swój żywot (w tej roli fenomenalny John Malkovich, obecny faworyt do Oscara za rolę główną). Przy okazji nie bez wyrzutów sumienia wspomina Lumumbę i innych niewygodnych dla Ameryki demokratów, do których stracenia się przyczynił.

Głos Ameryki nadaje komunikaty „Izwiestii" i „Komsomolskiej prawdy". Świat zwariował.

Wpuść kabotyna do kina, to nie odróżni komedii od horroru – Muskowi się przywidziało, że Ameryka dokonała zamachu stanu także w Ukrainie, zaraz gotów pomarańczową rewolucję przypisać pomarańczowemu Potusowi – w ten sposób tłumaczy gniew Putina i przyczyny wojny. „To my, Amerykanie, obaliliśmy demokratycznie wybranego prorosyjskiego prezydenta Ukrainy". Głos Ameryki nadaje zatem komunikaty „Komsomolskiej prawdy" i „Izwiestii". Świat zwariował. ■

eprasa.pl 1561774341

JOLKA

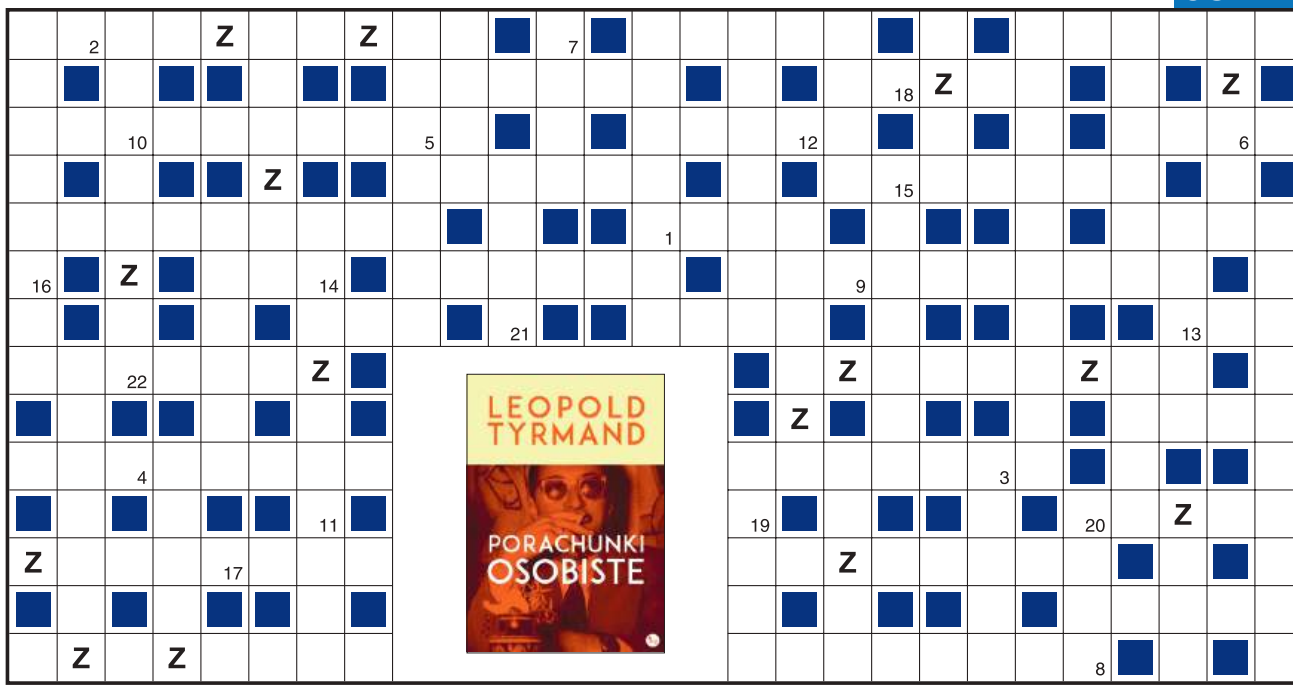

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Z ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- …czasowo niedostępny, więc zadzwoń później
- Pakt Bezpieczeństwa Pacyfiku w skrócie
- miasto w Rumunii, było siedzibą rządu Kossutha
- słowiański gród i przylądek na Rugii
- „…o Januszku”, serial Henryka Bielskiego
- Aleksandryjska lub Pergamońska
- forma wyboru aktora do roli w filmie
- mechanizm ustalania cen paliwa jak dawne stacje benzynowe
- przeciwieństwo żołnierza
- grzeje główkę malca
- chyli się go przed kimś jako wyraz uznania
- koc dla konia
- nie ma go bez ognia
- E w KEP pod przewodnictwem abp. Wojdy
- i drugoplanowa rólka, i odcinek serialu
- grecki bóg z łukiem i strzałami
- do tej rzeki spadł Faeton
- opera Händla i Glucka według libretta Metastasia
- piosenkarz soulowy Marvin…
- wafel z ciasta naleśnikowego
- muzułmański teolog, prowadzący wspólne modlitwy w meczecie
- pomarańczowy barwnik roślinny
- miejscowość lecznicza lub wypoczynkowa
- solny albo siarkowy
- żywica do wyrobu przedmiotów dekoracyjnych
- figowy zasłaniający
- tłucze się po piekle
- dwa nagie ofiarowane Jagielle
- Prokop ze „Znachora”, Kokeszko z „Samych swoich”
- związani z klasztorem, ale bez pełnych ślubów
- malowidło lub nędzy i rozpaczy
- cofanie się wojska
- słodki, gazowany napój
- zachowanie się na pokaz, demonstracyjne
- skończy w popielniczce
- gdzie wody ledwie po kostki
- o dobrodusznym, łagodnym i łatwowiernym
- przeszkoda dla skaczącego wzwyż
- poprzeczny, społeczny lub geologiczny
- specjalista od chorób umysłowych
- urządzenie wykrywające lecące obiekty
- …i Józio, dziecięce zjawy z „Dziadów”
- nosowe: ą, ę
- wielka bryła z pękającego lodowca
- powierzchnia pod kątem
- ceni dobrą kuchnię
- u krabów mogą być niesymetryczne
- część nogi między biodrem a kolanem
- plama na honorze, uchybienie godności
- pierożek w barszczu
- gaszone do zapraw murarskich, tynkarskich
- gra też prowadzona na szachownicy
- zadaszona, często przeszklona dobudówka
- pętla ze sznura, drutu na zwierzynę
- nieprzyjaciel
- uderzenie piłki, podanie lub serwis
- godzina... – początek działań
- tuja inaczej

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1301”. Do rozlosowania książki „Porachunki osobiste” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 29 listopada 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1298” z nr. 45: *Nikt się mistrzem nie rodzi.*

Nagrody otrzymują: Janina Krunis-Traczyk z Warszawy, Barbara Niemiec z Goleszowa, Zdzisław Pietruk z Międzyrzeca Podlaskiego.

eprasa.pl 1561774341

Grom z jasnego nieba

Nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać.

Jak pamiętamy, prezydent Karol Nawrocki leciał do Senegalu z oficjalną wizytą, kiedy doszły do niego informacje o wydarzeniach związanych z Trybunałem Konstytucyjnym. Rozkazał więc zawrócić, gdy jego samolot był nad Hiszpanią. Przyleciał do Warszawy, wtargnął do siedziby Trybunału, posiedział kilka godzin na kanapie i na tym się skończyło.

Niczego w Warszawie nie zmienił. Za to lekką ręką zerwał przygotowaną wizytę. Warto było?

Nawrocki leciał do Senegalu, żeby wziąć udział w otwarciu IV Igrzysk Olimpijskich Młodzieży, spotkać się z przywódcami państw afrykańskich, którzy też do Dakaru zjechali, no i odbyć dwustronne rozmowy z prezydentem Senegalu Bassirou Diomaye Faye.

Ale gdy wczytamy się w zapowiedzi prezydenckiego ministra Marcina Przydacza, w to, co ogłaszał w piątek tuż przed odlotem, a także przejrzymy prasę prawicową i relacje prawicowych blogerów, włosy na głowie stają dęba.

Na początku było spokojnie. Przydacz mówił: „Stamtąd, z Senegalu, wiele państw pozyskuje krytyczne minerały, także i nawozy. Więc ta relacja dwustronna w kontekście gospodarczym jest niezwykle ważna". Oraz: „Należy również patrzeć na tę wizytę przez pryzmat przekonywania tych mniej zaangażowanych dotychczas partnerów w poparcie Polski na forum Unii Afrykańskiej, a później na forum G20. Celem takim bardzo bezpośrednim jest oczywiście to, aby w Miami na szczycie G20 Unia Afrykańska nie tyle nas nie blokowała, co raczej nas popierała w naszej ambitnej polityce, jeśli chodzi o funkcjonowanie w grupie G20".

Snuł więc wielkie plany typu gospodarka, światowa dyplomacja… A na koniec była bomba. Dosłownie. Bo dodał, że w prezydenckim samolocie lecą do Senegalu dowódca Komponentu Wojsk Specjalnych gen. dyw. Michał Strzelecki oraz doradca prezydenta, wieloletni żołnierz jednostki GROM płk Karol Piskorski. „Ten wymiar współpracy w zakresie bezpieczeństwa, działania antyterrorystycznego, ewentualnych operacji w zakresie ewakuacji polskich obywateli jest niezwykle ważny", podkreślał Przydacz. On to mówił, a prawicowi dziennikarze i blogerzy szaleli.

Oto jedna z relacji: „Oficjalnym powodem wizyty są igrzyska, jednak obecność dowódców Wojsk Specjalnych i jednostki GROM wskazuje na znacznie głębszy wymiar misji głowy państwa. Prezydent Karol Nawrocki rozpoczął kluczową podróż do Afryki Zachodniej, gdzie stawką jest bezpieczeństwo polskich obywateli, walka o pozycję w G20 oraz wypychanie rosyjskich wpływów z kontynentu".

Albo taka: „Przydacz ujawnił, że Karol Nawrocki wyleciał na wizytę roboczą do Senegalu z całą paką byłych GROMOWCÓW i żołnierzy służb specjalnych. Nie powiedzą tego publicznie, ale to sygnał dla Rosji. Afryka od wielu dekad jest celem nieoficjalnej inwazji służb specjalnych rosyjskich, a byli wagnerowcy niczym lokalni watażkowie w wielu miejscach Afryki rządzą upadłymi państwami. Niezwykle zaniedbany przez Europę i USA kierunek geopolityczny. Jednym z niewielu światowych przywódców, który na tym kierunku prężnie działał antyrosyjsko, był Prezydent Andrzej Duda. Cieszy, że Prezydent Karol Nawrocki nie tylko to kontynuuje, ale podwyższa na zupełnie nowy poziom. Fenomenalnie".

Dzielny Karol miał więc przepędzić Rosjan z Afryki. I zawrócił. Znów się nie udało…

Attaché



Władimir Putin i Donald Trump spotkali się na szczycie Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku w chińskim Shenzhen. 19 listopada 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1561774341







MARCIN ROMANOWSKI,
UNIWERSYTET WARSZAWSKI

TYGODNIK ANGORA PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ I ŚWIATOWEJ

Bogdan Święczkowski walczy o przysłowiowe życie. Groźba uchylenie immunitetu oznacza utratę statusu i wynagrodzenia, a także otwiera drogę do odpowiedzialności karnej. Sędziowie, którzy go wspierają, wiedzą, że może ich dotyczyć sprawa manipulowania składami. Zdumiewa mnie, że bronią ich tzw. neosędziowie Sądu Najwyższego na czele ze Zbigniewem Kapińskim i Marią Szczepaniec. W cieniu sporu o Trybunał na naszych oczach umiera Sąd Najwyższy. Neosędziowie bronią swoich pozycji, bo prawidłowo działający Trybunał może uznać ich powołanie za bezprawne.

PIOTR MALEPSZAK,
PEŁNOMOCNIK RZĄDU DS. CPK

RZECZPOSPOLITA

Zapowiedział pan zmiany w zarządach spółek.

– Ten proces się nie zakończył. Powinien trwać nadal, ale niestety część osób ma polityczną ochronę. Mówię o tym otwarcie: tracimy czas z niektórymi osobami, które nie nadają się do roboty. (…) Jeżeli ktoś w 2023 r. mówi, że za cztery lata otworzy lotnisko i linię kolejową, a nie ma żadnego formalnego dokumentu – nawet studium wykonalności – to jest to na poziomie szaleństwa albo czystego cynizmu. W wykonaniu niektórych polityków obstawiam raczej to drugie. Tego typu podejście – co pokazują niezliczone przykłady inwestycji na świecie – kończy się albo całkowitą porażką, albo powstaniem czegoś źle zaprojektowanego, co nie przynosi zakładanych korzyści. Spójrzmy chociażby na elektrownię w Ostrołęce czy przekop Mierzei Wiślanej.

ARTUR ŻAK,
POLAK ZE LWOWA

gazeta DUŻY FORMAT

Stowarzyszeń, organizacji działających na rzecz polskiej mniejszości mamy we Lwowie dwadzieścia parę. Wszyscy się znamy. Jeżeli chodzi o możliwość stowarzyszenia się, to ukraińskie prawo jest wybitnie liberalne. De facto stowarzyszenie mogą założyć już dwie osoby. Co jest ewenementem. Mamy w mieście kilka szkół z polskim językiem nauczania. Działają w ramach ukraińskiego systemu edukacji. Nie ma problemu z nauczaniem po polsku. Problem jest z polskimi nauczycielami od fizyki, chemii, geografii... Niestety, nie widzę kolejki pedagogów patriotów, którzy chcieliby przyjechać do Ukrainy i uczyć nasze dzieci w języku ojczystym. Jeżeli komuś tak leży na sercu los polskości we Lwowie, to zapraszamy. Praca czeka.

MAŁGORZATA OHME,
PSYCHOLOŻKA, DZIENNIKARKA

VIVA!

To był dla mnie bardzo trudny rok. Po pierwsze, weszłam w okres perimenopauzy, ze wszystkimi objawami. Pierwszy raz w życiu od półtora roku jestem sama. Wcześniej byłam w związkach na zakładkę, ani sekundy samotności. Pierwszy raz w życiu mówię otwarcie, że zawiodłam się na ludziach. Zawsze stałam po stronie nadziei, byłam własnym katem – to moja wina, mój błąd, moja odpowiedzialność. Nie tym razem. To JA doświadczam jakiejś niesprawiedliwości. Rozstałam się z ważną zawodowo osobą po 15 latach, z przyjaciółką, bliskim znajomym. Nazwałam ten rok czasem totalnego czyszczenia. Jestem w środku życia.

FOT. AMEM, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

eprasa.pl 1561774341

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



		N				

* włoskie ciasto w Lombardii

				D		

* uzbrojony w piłkę

			B				

* warczy na planszy

ROZWIĄZANIA: MONZA, PIKADOR, SZABLISTA



Aby język giętki...

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
O ANNIE KORWIN-PIOTROWSKIEJ
Trzeba ogromnej osobistej odwagi i własnych mocnych przekonań, by iść na front. Bo przecież pani sędzia nie musiała.

PIOTR VOELKEL O INTERNECIE
Powinniśmy całkowicie wykluczyć w Europie anonimowe wypowiedzi w internecie.

GEN. MIECZYSŁAW CIENIUCH O ILUZJI
Stworzenie półmilionowej armii o najwyższych standardach to iluzja.

O. PAWEŁ GUŻYŃSKI O JASNEJ GÓRZE
Daje się wykorzystywać Sakiewiczowi, który w rozpaczliwy i karykaturalny sposób próbuje ratować resztki swojej wiarygodności.

AGNIESZKA HOLLAND
O RAFALE TRZASKOWSKIM
Pokazał w ubiegłym roku, że jest chorągiewką na wietrze, która wieje w zależności od tego, co pokazują trendy sondażowe.

MAREK KOŹMIŃSKI O REPREZENTACJI
Odpowiedzialności nie może brać wyłącznie trener. Tej drużynie brakuje mentalnego przywódcy. Nie są nimi Lewandowski ani Zieliński.

BOGNA SWOROWSKA O SILVER MODEL
Nie będę tuszować wieku. Angażują mnie na pokazy dla siwych włosów i zmarszczek. Taką mnie chcą.

KINGA DĘBSKA O SZCZĘŚCIU
Zrozumiałam, że gdy nie jesteśmy same ze sobą szczęśliwe, to żaden facet nam nie pomoże.

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Dział promocji:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 1561774341

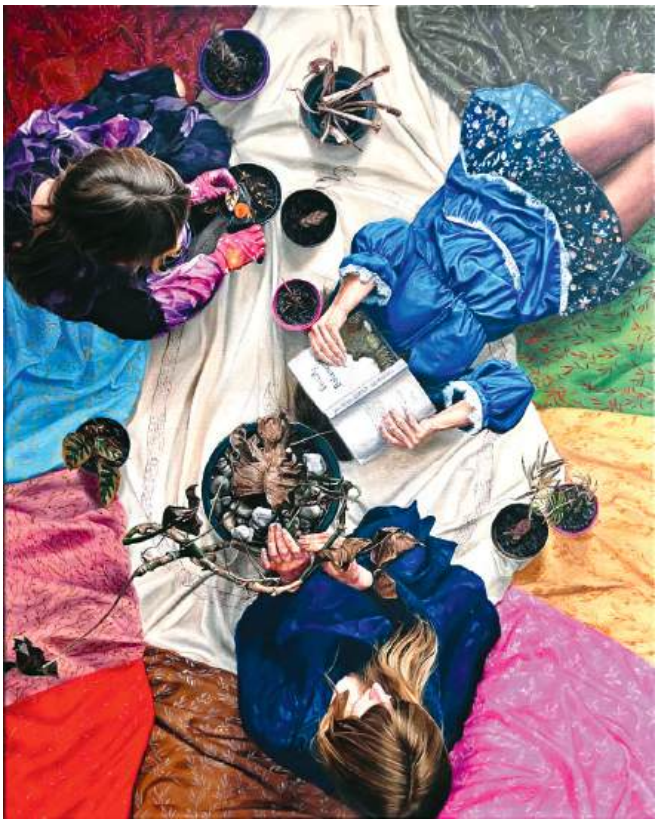

Kamila Gruszecka





Niedokończona podróż z przyjaciółkami

Twórczość Kamili Gruszeckiej koncentruje się na kobiecej wspólnocie, duchowości i rytuałach dnia codziennego. Artystka, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, buduje przestrzeń refleksji nad doświadczeniem kobiet i znaczeniem relacji. Bohaterki są ukazane w codziennych, intymnych i symbolicznych sytuacjach, przywołujących uniwersalne emocje i życiowe doświadczenia. Tytułowa podróż jest metaforą nieustannego stawania się – procesu, w którym kolejne zakończenia otwierają przestrzeń dla zmian, a to, co minione, trzeba zostawić za sobą, by odnaleźć siebie na nowo.

Galeria ZPAP Dom Liter
Gdańsk, ul. Piwna 67/68
do 30 listopada



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1561774341

XXXIV TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM ARKADY KUBICKIEGO



ORGANIZATOR

FUNDACJA HISTORIA i KULTURA

PARTNER

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

historiaikultura.pl

26-29 listopada 2026

32 EDYCJA NAGRODY KLIO



OGŁOSZENIE LAUREATÓW 32. EDYCJI NAGRODY KLIO 26 LISTOPADA 2026

XXXIV TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM, ARKADY KUBICKIEGO

ORGANIZATOR

FUNDACJA HISTORIA i KULTURA

MECENAS NAGRODY KLIO

STOWARZYSZENIE AUTORÓW I WYDAWCÓW COPYRIGHT POLSKA

eprasa.pl 1561774341

AfryKamera

I AM BECAUSE WE ARE



21.

FESTIWAL FILMÓW AFRYKAŃSKICH
AFRICAN FILM FESTIVAL

23 → 29.11.2026

WARSZAWA | WARSAW

ONLINE + INNE MIASTA W POLSCE | OTHER CITIES IN POLAND

ORGANIZATOR

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW:

Warszawa

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Filmoteka Narodowa Instytut Audiowizualny

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

PATRONI MEDIALNI:

PARTNERZY